

KARINA BOROŃWICZ



I TU
JEST
BŁOŚ

POGRZEBANY

I TU
JEST
BIEŚ

POGRZEBANY

KARINA BOŃOWICZ

I TU
JEST
BIEŚ

POGRZEBANY

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest niezamierzone i przypadkowe.

*Jeśli wstajesz rano
i w gazecie nie ma
twojego nekrologu,
to znak, że czas do pracy.*

Edward

Kiedy pisałem książkę, nie mogłem kochać się z Marią. No nie... to nie to, co myślicie. Akurat w TYCH sprawach nikt (a przynajmniej ja i – mam, do diabła!, nadzieję – Maria) nie ma powodów do narzekań. No po prostu nie mogłem i już! Moi koledzy po fachu – Stephen King i kobieta, która pisze trzysta sześćdziesiąt pięć romansów rocznie – utrzymują, że pracując nad jedną książką, myślą już o kolejnej. To chyba coś w rodzaju uzależnienia. Pisarze są jak palacze, którzy zaciągając się papierosem, myślą już o następnym. Albo jak seksoholicy, którzy... no, to działa na podobnej zasadzie. W każdym razie, kiedy ja zaczynałem pisać, myślałem – w przeciwieństwie do seksoholików – tylko o tym, żeby jak najszybciej skończyć. Myślałem o rzeczach, które będę robił, kiedy skończę pisać. Na przykład o tym, że skoczę ze spadochronem/zostanę misjonarzem w Ekwadorze/adoptuję dziecko z Afryki/zrobię sobie zdjęcie z Angeliną Jolie, ale PRZEDE WSZYSTKIM będę kochał się z Marią. Bo na razie...

Na szczęście, Maria przeczuwała, kiedy TO się zbliża. Stawałem się wtedy nie do zniesienia: drażnili mnie wszyscy, którzy za głośno oddychali, zakręcony słoik buraczków doprowadzał mnie do furii i wciąż płakałem po Ryśku z *Klanu*. Jednym słowem, zachowywałem się dokładnie tak, jak powinna zachowywać się Maria raz w miesiącu. I to tylko raz. Niestety, Maria zachowywała się tak przez wszystkie dni miesiąca, wszystko wskazywało więc na to, że najwyraźniej nie odróżnia ich od siebie. Dlatego Maria (z PMS-em czy bez, co – jak widzicie – nie ma żadnego znaczenia) nie zamierzała mi tego ułatwiać. Wycofywała się mało dyskretnie. Najpierw ostentacyjnie („Bujaj się, frajerze!”) przenosiła się na swoją stronę łóżka, potem demonstracyjnie („Ty farbowany impotencie!”) opuszczała sypialnię. Z łazienki zaczęły znikać jej kosmetyki, przez co okazało się, że nasza łazienka jest większa, niż przypuszczałem, a z lodówki – litry dietetycznej coca-coli (koniecznie w dietetycznej puszcze. Stąd wiadomo, że lodówka pierwotnie służyła do przechowywania żywności, a nie jedynie protein, antyoksydantów i lakieru do paznokci. Ostatnim krokiem była kartka zostawiona na kuchennym stole, na której Maria (pismem tak niewyraźnym, że można by nim było wypisywać recepty, zwłaszcza te, które wychodziłyby spod ręki lekarza z Emiratów Arabskich) skreśliła kilka słów. Tych samych, co zwykle: „Ty pieprzony grafomanie! Jestem tam, gdzie zawsze. Oby TYM RAZEM poszło Ci szybciej. P.S. Jeśli znów zapchasz zlew albo zatrzaśniesz drzwi, będziesz sam dzwonił do administracji!!! M.”.

No cóż... Zabrało mi trochę czasu, zanim nauczyłem się jej odmawiać. Wiem, że każdy, kto nie jest gejem, a poznał Marię, ma mnie teraz za idiotę. Albo za geja. Gdybyście tylko wiedzieli, jaką cenę mogłem zapłacić za te kilka (albo kilkanaście – zależy od dnia) chwil przyjemności... Zresztą Maria była

wytrawną uwodzicielką, i to już jako piętnastolatka. Na szczęście obydwójce byliśmy nieletni, więc obyło się bez prokuratora.

Miałem wtedy szesnaście lat, Maria – piętnaście. Służyłem jako ministrant u świętego Jana, bo ubzdurałem sobie (a może przeczytałem na drzwiach w męskiej toalecie, z których to drzwi czerpałem całą moją wiedzę na temat dojrzewania, jak również na temat słów w językach obcych, głównie łacińskich), że robi to wrażenie na dziewczynach. Otóż nie robiło. Okazało się, że tym, co naprawdę robi na nich wrażenie, jest siłownia, a jeszcze bardziej stojący przed siłownią bankomat. O tym jednak dowiedziałem się nieco później. Maria przysłała do zakrystii, chociaż kościół nie był jej nigdy po drodze (zwłaszcza kiedy na drodze do kościoła stanął Lidl). Musiałem mieć strasznie głupią minę (albo po prostu nadal stałem w tej śmiesznej ministranckiej sukience, co mi pewnie szyku nie dodawało), bo Maria parsknęła śmiechem już na dzień dobry. Na szczęście zaraz było podniesienie, więc musieliśmy zająć się klęczaniem. Albo udawaniem, że klęczymy. Przynajmniej ja na pewno udawałem, bo kątem oka wciąż obserwowałem Marię i zastanawiałem się, po co właściwie przysłała. Sądząc po długości jej sukienki, chyba nie po to, żeby się modlić o pokój na Bliskim Wschodzie. Jezu, ależ krótka była ta sukienka! Myślę, że Jezus też to zauważył. I wtedy... Nie no, jeśli myślicie, że właśnie wtedy usłyszałem głos Boga czy coś w tym stylu, to grubo się mylicie. Usłyszałem za to głos NATURY. A właściwie zew pokwitania, które już od jakiegoś czasu nie pozwalało mi budzić się co rano bez zażenowania. W tamtej chwili, nawet gdyby przemówił do mnie sam gipsowy święty Jan stojący w rogu zakrystii, a zaraz potem Jacek Santorski, i tak bym żadnego głosu nie usłyszał. Pół metra przede mną rozciągał się widok jakich mało: uda Marii ledwo przykryte falbanką (i po co ta falbanka?) czerwonej sukienki w białe groszki. Zaszurałem kolanami po brudnej podłodze, żeby powąchać jej włosy, które – jak sobie wyobrażałem – miały zapach wiśni i magnolii (to niezupełnie prawda, a właściwie wcale, bo włosy Marii pachniały szamponem brzoźowym za sześć pięćdziesiąt z Rossmana). Tymczasem Maria, która widziała na pewno niejednego amerykańskiego film „na temat”, upozowała się odpowiednio, układając usta w ciup, który to ciup był już od dawna przedmiotem moich bardzo mrocznych i bardzo NIELETNICH fantazji. Zanim jednak doświadczyłem tego, co trzy czwarte chłopaków z mojej klasy miało już za sobą (i nie mam tu na myśli nagłego ataku mutacji), drzwi otworzyły się z hukiem i do zakrystii wpadł proboszcz.

– To tu się nie puka? – autentycznie zdziwiła się Maria (jakby widok księdza w zakrystii był czymś niepojętym), a ja ze wstydu zrobiłem się tak purpurowy, że śmiało mógłbym konkurować nie tylko z szatą świętego Jana, ale i z peleryną świętego Mikołaja. Proboszcz miał minę, jakby za chwilę zamierzał nam zrobić bierzmowanie, a zaraz potem dać ostatnie namaszczenie. Nie pozostawało nic innego, jak tylko pokornie spuścić głowę... i dać nogę!

Biegliśmy bez tchu przez trzy przecznice, zatrzymując się dopiero przy sklepie rzeźnickim. Kiedy ja byłem już bliski konieczności reanimacji, Maria stała oparta plecami o ścianę sklepu i wyraźnie znudzona kręciła sobie włosy na palcu. Gdyby nie to, że właśnie zbiegliśmy z zakrystii (kto wie, czy proboszcz nie zadzwonił już na 112 i za chwilę nie zjawią się tu antyterrorysty, TVN24 i ludzie z programu *Mam talent*), a ja byłem nadal w komży, rzuciłbym się na Marię, przycisnął do szyby sklepu rzeźnickiego i na oczach wszystkich świńskich RYJÓW zrobiłbym to, czego nie udało mi się dokonać w zakrystii. Nie wiem, dlaczego tego wtedy nie uczyniłem. Przecież świeże półtusze wieprzowe nie mogły mi nic zrobić. Gorzej z rzeźnikiem, którym zupełnie przypadkiem był mój ojciec...

– Ojciec mnie zabije – powiedziałem w końcu, bo uznałem, że muszę coś powiedzieć, zanim Maria, wciąż owijająca włosy na palcu, zrobi sobie trwałą ondulację. Prawda była taka, że najpierw zabije mnie proboszcz, a potem ojciec. A potem dostanę szlaban i nie wyjdę z domu do samej emerytury. A już

na pewno do emerytury ojca. I proboszcza.

– Żałujesz? – syknęła Maria, przydeptywając mi tę nieszczęsną sukienkę, przez którą trudno mi było w tej chwili zachowywać się jak stuprocentowy mężczyzna.

– Oczywiście, że nie!

Ależ żałuję! Oczywiście, że żałuję! Żałuję, że nie mogłem się z nią całować w zakrystii na oczach gipsowego świętego Jana! I co ja teraz powiem chłopakom???

– No, to resztę zostaw mnie! – zabrzmiało to tak, jakby miała z ukrywającym się u rzeźnika oddziałem IRA podłożyć bombę pod kościół i to tylko dlatego, że nigdy jej się nie podobało imię Jan.

– Dokąd idziesz? – przestraszyłem się (tak na wszelki wypadek) i uczepiłem jej ręki, jakby to właśnie ode mnie zależało istnienie nie tylko kościoła świętego Jana, ale wszystkich kościołów na świecie.

– Puszczaj! Powiedziała, że to załatwię!

I załatwiła. Poszła prosto do proboszcza. A właściwie do jego konfesjonału, gdzie wyznała, że całowała się ze mną w zakrystii w czasie mszy i że wcale tego nie żałuje. Rzecz jasna, ksiądz zgrzytał zębami, ale przecież nie chciał beknąć za złamanie tajemnicy spowiedzi. I nie mógł zrobić dla nas wyjątku, co zapewne (w połączeniu z długimi godzinami spędzonymi w konfesjonale) przypłacił HEMOROIDAMI.

Tak więc widzicie, że Maria była uwodzicielką nie tylko wytrawną, ale i odpowiedzialną. I znieawidzoną przez proboszcza. A może nawet przez wszystkich proboszczów na świecie. Co nie zmienia faktu, że przy Marii wciąż myślałem o seksie. Nawet w kościele. Zwłaszcza w kościele. Dlatego czułem się bezpiecznie dopiero wtedy, kiedy Maria opuszczała sypialnię. I to się właśnie nazywa bezpieczny seks. Kiedy dla własnego bezpieczeństwa, a może nawet bezpieczeństwa całego bloku, miasta, a kto wie?, także i kraju po prostu go nie uprawiasz. Mimo to jednak nie mogę się już doczekać, kiedy skończę pisać.

Maria

Nie mogę się doczekać, kiedy przestanie pisać. Kiedy wreszcie skończy tę wybitną książkę, którą przeczytają przed snem (albo podczas gotowania powideł) trzy gospodynie domowe w całym kraju, i znów będziemy mogli się kochać. Nie wiem tylko, czy nie będziemy musieli zaczekać, aż one skończą czytać. Chryste... Mogłam się związać z hydraulikiem, rybakiem dalekomorskim, rolnikiem z Pomorza. Ewentualnie z Bradem Pittem. Ale nie! Ja musiałam, oczywiście, związać się z Edwardem! Dobrze, że przynajmniej nie pisze wierszy... Gdyby pisał, do łóżka poszlibyśmy pewnie w następnym wcieleniu, bo Edward na pewno NIGDY nie znalazłby rymu. Ja rozumiem, że pisarz musi obowiązkowo być zneurotyzowany, ale gdyby był dla odmiany ZEROTYZOWANY, to chyba nic by się nie stało, prawda? Ale nie, nie Edward. Kiedy wszyscy chłopcy na świecie chcieli zostać strażakami, policjantami albo Chuckiem Norrisem (tak, tak, to były jeszcze takie czasy, kiedy bardziej opłacało się być policjantem niż złodziejem, nawet podczas zabawy), Edward chciał zostać wybitnym pisarzem. Marzył o tym, od kiedy skończył dziesięć lat. Przez kolejne dwadzieścia próbował dowiedzieć się, jak to się robi. Czytał biografie słynnych pisarzy i próbował wszystkiego po kolei: pisał – stojąc – jak Hemingway (szybko jednak zorientował się, że jest to możliwe jedynie na korytarzu PKP, i to tylko po świętach), zapisywał całe zdania – jak Robert Frost – wewnątrz butów (dopóki zdania nie skończyły mu się szybciej niż buty), jak Dickens spał z głową zwróconą na północ (zanim okazało się, że żadna to północ, lecz zachód) etc., etc. Tak, Edward zajmował się wszystkim tym, co mogło go uczynić wybitnym pisarzem. Wszystkim,

tylko nie pisaniem, rzecz jasna.

– Siedem???

– Siedem. Tak jest chyba napisane, nie? – wycedziłam przez zęby. Czyżbyśmy po wejściu do Unii Europejskiej siódemkę – ze względów ideologicznych – zapisywali po rzymsku, a nie po arabsku? No, tak. Bo skąd niby ta brzydka jak noc (albo raczej jak jasna cholera) aptekarka z przetłuszczonymi włosami ma wiedzieć, że ja, Maria, żona grafomana Edwarda, przychodzę tu regularnie po imponującą ilość RELANIUM. Jest nowa. Nie ma dziś Anny. Anna, która kocha książki Edwarda (co nie najlepiej o niej świadczy, tak między nami mówiąc), bez zmruczenia oka wydałaby mi ciężarówkę relanium. Czy Edward nie mógłby się łaskawie uzależnić, jak normalni ludzie, od czegoś, co nie jest na receptę? Wiem, wiem, nie jego wina. Uzależnił się przypadkiem. Skąd mógł wiedzieć, że jego nerwowa matka trzymała relanium w pudełku z aspiryną, zapomniawszy – pewnie z tych nerwów – o wyjęciu z niego uprzednio aspiryny? Edward łykał od czasu do czasu aspirynę (nie wiedząc, że co druga to relanium) i coraz bardziej mu się to podobało. Kiedy prawda wyszła na jaw, było już za późno i Edward za nic w świecie nie chciał nikomu, a zwłaszcza nikomu ze służby zdrowia, oddać swojego nałogu. Ani tym bardziej zamienić go na aspirynę.

– To żona TEGO pisarza – wyjaśniła szeptem brzydkiej farmaceutce jej równie brzydka koleżanka. A więc to już oficjalne: Edward jest czytany przez trzy gospodynie domowe i dwie aptekarki. Swoją drogą, dziękuję uprzejmie za taką reklamę. Dostanę teraz zniżkę? Do siódmego opakowania wyciskarka do ślimaków gratis? A może niech od razu nadadzą Edwardowi tytuł „Króla Relanium” i firma je produkująca zacznie umieszczać na opakowaniu jego podobiznę w stylizacji „na Don Wasyla”.

– TEGO pisarza???

– upewniła się farmaceutka z przetłuszczonymi – coraz bardziej przetłuszczonymi – włosami.

Tak, tak, właśnie TEGO. TEGO grafomana, mitomana, histeryka i idioty. Upycham do torby (na szczęście każda damska torba bez wyjątku pomieści absolutnie wszystko, łącznie z kochankiem, zwłokami niewiernego męża i zeszytem A4, który – jak wiadomo – nie mieści się nigdzie) kolejne opakowania tabletek, bez których TEN pisarz pewnie ssałby swój kciuk w jakimś zacisznym pokoju na drugim końcu miasta. Pokoju, rzecz jasna, bez ani jednej kłamki. Jak tak dalej pójdzie, sama odkręcę wszystkie kłamki w naszym mieszkaniu. Na jedno wyjdzie.

Kiedy pisał, nie mógł się (podobno!) ze mną kochać. Słyszałam o pisarzach-biseksualistach, -seksuolichach, -syfilitykach i -elektrykach, ale nigdy nie słyszałam o pisarzach, którzy zakładali sobie – i to osobiście! – pas cnoty i połykali klucz na czas pisania książki, żeby nic (czyli w tym wypadku ja) ich nie rozpraszało. W ogóle nie słyszałam, żeby jakikolwiek mężczyzna takie coś kiedykolwiek zrobił. Facet w pasie cnoty? Błagam... Zostałby od razu nominowany do nagrody Darwina. A potem zapewne od razu beatyfikowany. Słyszałam za to, że podobno sportowcy nie mogą uprawiać seksu przed olimpiadą, bo zużywają przez to za dużo energii i się dekoncentrują (i mogliby nie zauważyć, że minęły właśnie cztery lata i czas na kolejną olimpiadę). No ale Edward nie jest sportowcem. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Chyba że uzależnienie od relanium – które już dawno wpisał sobie w CV w rubryce: zainteresowania – uznano w ostatnim czasie za dyscyplinę olimpijską. Gdyby Edward przygotowywał się do zawodów w łykaniu relanium na czas, to owszem, mogłabym zrozumieć jego obawy. Ale tak? No cóż. Śmierć frajerom. I żonom frajerów też.

Wiecie, czym pachnie śmierć? Nie wiecie? To wam powiem. PIENIĘDZMI. No i oczywiście sosną, modrzewiem albo dębem. Albo każdą inną świeżo zheblowaną deską. Oczywiście najlepsza byłaby deska dębowa. Na wysoki połysk. W kolorze rustikal. Skąd to wiem? Kto jak kto, ale córka przedsiębiorcy pogrzebowego powinna wiedzieć takie rzeczy.

– A minister zdrowia ostrzegął – westchnął protekcjonalnie ojciec, zanim zaczął z rozmarzeniem w oczach mieszać formalinę. Jak wynika z aktu zgonu, Katarzynę, księgową z trzydziestoletnim stażem i kurzajką między brwiami, pochowamy razem z Przewlekłą Obturacyjną Chorobą Płuc, w skrócie POChP, czyli POCholeręPalileś/-aś. Na szczęście, nasza dębowa trumna na wysoki połysk w kolorze rustikal pomieści je obie. Ojciec skończył mieszać formalinę, przybrał taki wyraz twarzy, jakby miał za chwilę przystąpić do zamiany wody w wino, i pociągnął usta Katarzyny karminową szminką z Rossmana. Ojciec jest najlepszym balsamistą w okolicy. I, jak widać, daltonistą.

– Dlaczego każdej kobiecie malujesz usta na ten sam kolor? – skrzywiłam się, patrząc, jak karmin na ustach Katarzyny zajadle gryzie się z zielonym cieniem na jej powiekach, z którym najwyraźniej nie chce być pochowany. Ojciec mógłby naprawdę podszkolić się trochę z wizażu. Kobieta – martwa czy nie – zawsze chce wyglądać dobrze.

– Żeby wyglądała jak żywa – odpowiedział niezrażony krytyką ojciec.

– No to gratuluję. Dzięki tobie wygląda jak transwestyta. I to bynajmniej nie żywy, ale martwy.

To, że ojciec nie zna się na kolorach, nie powinno nikogo dziwić. Jak sama nazwa wskazuje, kolor jest kolorowy. Ojciec od zarania dziejów chodzi w uniformie przedsiębiorcy pogrzebowego, któremu raczej daleko do jakiegokolwiek koloru.

– Sugerujesz zmianę szminki? – spytał, przyglądając się uważnie ustom Katarzyny. – Wiesz, całe miasto przyjdzie ją oglądać...

Tak, tak, wiem. WSZYSCY. Bo wszyscy (zwłaszcza nasze trzy sąsiadki, etatowe żałobniczki, które kiedyś wynajmowaliśmy za dwie dychy, żeby przychodziły na pogrzeby, gdzie było mało ludzi, a potem z nudów zaczęły przychodzić na wszystkie) są wstrząśnięci śmiercią Katarzyny. Była taka miła, miała takiego porządnego męża, taką wspaniałą pracę, takie ładne pokrowce na siedzenia w samochodzie, taką uroczą wycieraczkę przed wejściem, bla, bla, bla... No i po co umarła? Na pewno każdy z was zna taką Katarzynę. Dziewczynki takie jak ona szyją ubranka dla misiów (misie, oczywiście, mają imiona, chociaż za cholerę nie wiem, jak się ustala misiom płeć). Są uczennicami z różowym (koniecznie!) piórnikami. Potem uznają, że przyszedł czas na pierwszy tusz do rzęs, pierwszy pocałunek i pierwszego papierosa (niekoniecznie w tej kolejności, chociaż tak jest – zdaje się – najrozsądniej). A potem stwierdzają, że trzeba (!) z kimś (!) się spotykać, więc umawiają się z chłopcem z równoległej klasy, a najlepiej z klatki obok, żeby mieć go cały czas na oku. Kiedy zadecydują, że już pora, idą z nim na studniówkę i do łóżka (w ten sposób traci się cnotę nie tylko na amerykańskim balu maturalnym, ale też na przasnej imprezie w remizie albo na sali gimnastycznej). Znajdują praktyczną pracę, żeby wystarczyło na mikrofalówkę i lakier do paznokci (oczywiście, wszystko zależy od marki: i mikrofalówki, i lakieru, więc „żeby starczyło” bywa bardzo względne). Wychodzą za męża. Biała suknia, baloniki, tort z parą młodą DO ZJEDZENIA (w pakiecie z karaoke w wykonaniu wujka Zenka i zbiorowym zatruciem podejrzaną wódką z Czech). Między odwiedzinami teściów, telenowelą a zakupami w hipermarkecie zachodzą w ciążę. Czytają podręczniki dla przyszłych mam, kompletują ubranka (według odwiecznego i odwiecznie niezrozumiałego dwukolorowego podziału). Rodzą. Koniecznie naturalnie (nawet jeśli po kwadransie puszczają położnej łacińską wiązaną, i to bynajmniej nie życzeń, domagając się znieczulenia). Chodzą na wywiadówki i szkolne przedstawienia. W niedzielę pieką SERNIK, a w środę kurczaka (albo odwrotnie). Chwalą się świadectwami dzieci i zdjęciami wnuków (na zasadzie: który szybciej zacznie

chodzić/siadać na nocnik/onanizować się). Kiedy nie mogą odczytać cen w marketach, kupują okulary na łańcuszku, a potem i tak ich nie noszą, bo wstyd, więc nadal kupują kilogram mąki, która w domu okazuje się proszkiem do prania. I to na dodatek kolorowego. Robiąc konfitury, zapominają o dodaniu cukru. Starannie odmierzają pastylki: te na ciśnienie, te na wątrobę. Wreszcie umierają. Koniecznie na wznak i koniecznie ze splecionymi rękoma. Żeby mój ojciec miał mniej pracy. Taka miła, miała takiego porządnego męża... bla, bla, bla. Może nie chciała pracować w księgowości, piec co niedzielę sernika i kochać się po bożemu? Jak na moje oko umarła z NUDÓW, a nie na Przewlekłą Obturacyjną Chorobę Płuc.

– To co? – Ojciec trącił mnie w ramię. – Może różową?

Ojciec mówi, że każdy ma taką śmierć, na jaką sobie zasłużył. To chyba oznacza, że do jednych przychodzi ona jako stara kobieta z papierosem w zębach, z twarzy podobna zupełnie do teściowej, a do innych jako apetyczna blond pielęgniarzka w malinowym błyszczyku na ustach. To znaczy ubrana tylko w malinowy błyszczyk. Do jeszcze innych jako pracownik urzędu skarbowego albo facet z reklamy MARLBORO. Oczywiście każdy – w zależności od płci – wolałby być witany przez pielęgniarzkę albo faceta w kowbojskim kapeluszu z reklamy papierosów. Nie licząc, rzecz jasna, tych uśmierconych przez pielęgniarzki, które pomyliły kabel od radia z kablem od respiratora, i tych, którzy tyle wypalili za życia, że mogliby śmiało przejść na rentę jako palacz kotłowy. To by było trochę nie na miejscu. Ja bym chciała być witana przez George'a Clooneya, ale nie wiem, czy nadałyby za witaniem tylu kobiet. Poza tym George Clooney JESZCZE żyje.

– Nina?

– Co?

– Co z tą szminką?

– Spróbujmy różową.

Zaczęło się od śmierci babci. Po babci był kurier DHL-u, któremu pomyliły się imiona dziewczyn, kasjerka, którą trafił szlag, chłopak, któremu dziewczyna powiedziała: „Jedź, lewa wolna”, kierowca autobusu, który myślał, że mąż sąsiadki nadal jest w delegacji etc., etc. Wszystkich ich ojciec ubierał, malował i krzyżował im ręce na piersiach. Kiedy trzeba było, zszywał powieki albo związywał różańcem dłonie, które nie chciały trzymać się jak należy (albo po prostu leżały nie tam gdzie trzeba). Oszukiwał. Regulował brwi, golił wąsy (paniom też), różowił policzki, a kobietom malował usta szminką, oczywiście z Rossmana (wyjątkiem wśród mężczyzn był tylko dziadek kościelny, ale – wiercie mi – naprawdę tego potrzebował). Wszystkie bez wyjątku były chowane z karminową szminką na ustach. Dla ojca nie było żadnej dyskusji i żadnych świętości w tej kwestii.

– No, i pięknie – powiedział z dumą nad martwą siostrą Łucją z karminowymi ustami, która przywiozła mi z Peru ponczo, a sobie żółtą febrę. Miałam trzynaście lat i myślałam, że zakonnice nie umierają. Myślałam też, że nie golą się pod pachami. Co za rozczarowanie... W obydwu przypadkach.

Jakub

Żyję z kłamstwa. To prawda.

Poniedziałek

– Powinna pani unikać przetworzonych produktów – tłumaczę pracownicy firmy konsultingowej, cierpiącej na wrzody żołądka. W przepisowym kostiumie i szpilkach, siedzi tak sztywno, jakby połknęła pastorał biskupi i za nic nie chciała go oddać. Biskupowi, rzecz jasna. Chyba nawet nie zauważyła, że

jest na zwolnieniu lekarskim. A, przepraszam. Nie na zwolnieniu, na urlopie. Pracownicy korporacyjni NIGDY nie biorą L4, tylko urlop. Może dlatego nie używają słowa „zwolnienie”, bo kojarzy się im z rozwolnieniem, którego oni PRZECIEŻ nie mają.

– Warzywa na parze, drób, unikać słodczy i napojów gazowanych – wyliczam, pożerając trzecią zupkę chińską.

Wtorek

– Nie może pani brać tylu środków przeciwbólowych, ZANIM rozboli panią głowa – pouczam emerytowaną nauczycielkę fizyki i połykam raz, dwa, a, dobra!, trzy aspiryny.

Środa

– Kawa to sztuczne pobudzenie. Niewskazane przy pańskim ciśnieniu – mówię do kierowcy tira, który podejrzliwie patrzy na OSIEM puszek po coca-coli i SZEŚĆ kubków po kawie stojących na moim biurku.

Czwartek

– Zalecam przerwy co czterdzieści minut, wystarczy wstać od komputera, zrobić kilka skłonów – zalecam telemarketerowi dużej sieci komórkowej. Drży mu prawy kciuk. To od wciskania spacji. Chyba... Wolę nie myśleć, że mógłby istnieć jakiś inny powód. A potem gram z Arturem z interny w World Wars 2 przez cały nocny dyżur. Aż do zwichnięcia nadgarstka. Mojego albo jego.

Piątek

– Następnym razem nie zapomnij zabrać ze sobą spodni – upominam przeziębionego nastolatka, biegającego w szortach w pięciostopniowy mróz. A potem idę po kawę przez dwie przecznice, ubrany tylko w fartuch lekarski, z przyjemnością obserwując reakcje mijających mnie kobiet. Cóż, za fartuchem panny szybkim ruchem, czy jak tam to leciało...

Sobota

W końcu lekarz może sobie pozwolić na luksus niezdrowego życia.

Niedziela

Gdybym tylko mógł zasnąć... Nie sypiam od tygodnia. Nie, od dwóch. Właściwie to nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałem naprawdę. Nie mówiąc już o tym, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałem z KIMKOLWIEK.

Edward

– Nie, dziękuję. Nie mamy telewizora – odpowiedziałem uprzejmie facetowi próbującemu namówić mnie przez telefon na nowy pakiet telewizji kablowej, który uchroni mnie przed rakiem, poprawi życie seksualne i zapewni pokój na świecie i... od razu przełączyłem na HBO.

Bo widzicie, jest tylko jedna rzecz, która – gdyby prawie nie robiło tak wielkiej różnicy – jest prawie tak dobra jak seks. KŁAMSTWO. Łgałem nieprzytomnie i namiętnie, od kiedy tylko pamiętam. Nie chciałem grać z chłopakami w piłkę, chodzić do kościoła i odwiedzać ciotki. Więc kłamałem, że strzyka mi w kolanie, że w kościele widziałem szczura, że ciotka Marta podszczypuje mnie w tyłek na powitanie.

A potem musiałem zacząć spisywać swoje kłamstwa, żeby się nie pogubić, co komu powiedziałem. Najpierw zapisałem gruby zeszyt. Potem następny. I jeszcze jeden. I tak już zostało. Pewnego dnia przestałem. Rodzice kupili mi komputer.

Nina

– Boli.

– Gdzie?

– Tu. – Położyłam zachęcająco otwartą dłoń między piersi, na które on nigdy nie patrzy. Za chwilę (oczywiście odwracając wzrok) przyciśnie stetoskop do mojego ramienia (tak, wiem, trudno trafić w dekolt z odwróconym wzrokiem, nawet jak się jest facetem; ZWŁASZCZA jak się jest facetem) i przez dziesięć sekund będzie gapił się w okno. Tak jakby było tam coś znacznie bardziej ciekawego niż mój biust. Jezu, a może jest?! Może po prostu inny biust? No, przykro mi, że serce u kobiety znajduje się między miseczkami stanika i niestety – nie da się go badać przez ucho. Czy ktoś mu kazał iść na medycynę?! Trzeba było zostać marynarzem. Albo gejem.

– Oddychaj.

Ciekawe, ile ma lat? Zaczęłam do niego przychodzić po tym, jak doktor G., którego odwiedzałam od piętnastego roku życia, postanowił odwiedzić mnie. A właściwie mojego ojca. I to bez zapowiedzi. I to raczej na dłużej. Przeżyliśmy razem moje dojrzewanie, myślałam, że przeżyjemy moją menopauzę (pod warunkiem, że menopauza nie przeżyje mnie), ale niestety – doktor G. wolał zawał ode mnie, więc nie mogę chować urazy. A teraz TEN TU zajął jego miejsce (w tym także parkingowe), chociaż mogłabym przysiąc, że jest niewiele starszy ode mnie. Czy on w ogóle ma pozwolenie na ten stetoskop? I czy wie, jak go używać? Dobrze, że mnie nie bada zza drzwi. Albo przez okno. Albo e-mailem.

– Płuca czyste.

A więc to rak płuc.

– Ciśnienie bez zmian...

A co, jeśli umrę i nigdy nie zrobię tych wszystkich rzeczy, których normalnie i tak bym nie zrobiła? Mam tu na myśli skok na bungee, wycieczkę na safari i zjedzenie nieumytego jabłka.

– EKG w normie...

A jeśli to serce? Może tak naprawdę mam je po prawej stronie? Słyszałam o takich przypadkach. Człowiek całe życie chwyta się za serce (w przypadku kobiet – za biustonosz, w przypadku mężczyzn – za biustonosz stojącej obok kobiety), a jego wcale tam nie ma i zawał czai się po drugiej stronie.

– Echo serca w porządku...

Tak, to na pewno serce. Ciotka Zyta umarła na serce. To pewnie rodzinne.

– Kto umarł? – spytał, krzyżując ręce na piersi. Wyglądał tak, jakby bardzo, ale to bardzo zmęczyło go NIEBADANIE moich piersi. – Kto TYM RAZEM umarł? – poprawił się.

Kto umarł? Czy to na pewno pytanie do mnie? Poczytaj sobie nekrologi w porannej gazecie, idioto.

– No? – ponaglił mnie.

– Księgowa – burknęłam. W końcu to żadna tajemnica. Nie wiem tylko, co to ma do rzeczy.

– Pozwól, że zgadnę. Na zawał, wylew, płuca? – Czy mi się wydaje, czy on się uśmiecha... Akurat w Przewlekłej Obturacyjnej Chorobie Płuc, o ile mi wiadomo, nie ma chyba nic śmiesznego. Poza tym mógł się uśmiechać, kiedy badał mnie stetoskopem. To by miało jeszcze jakiś sens. Teraz jego uśmiech jest co najmniej nie na miejscu.

– Nina?

– Co? – Wiem, wiem, mówi się „słucham”.

– Pytam, czy księgowa umarła na płuca.

– Tak – poddałam się. – No i?

Czy on bada mnie, czy księgową (bo już się pogubiłam)? Nie, no niezły jest, to mu trzeba przyznać. Nawet doktor House potrzebuje godziny czasu antenowego na postawienie diagnozy. Ale TEN TU nie potrzebuje aż tyle, bo nie wie, co mi jest!!! Za to od razu zdiagnozował księgową.

– Wyniki są w porządku. Myślę, że na dziś skończymy, dobrze?

A nie mówiłam, że NIE WIE?

– Do jutra! – usłyszałam, zanim zamknęłam drzwi. – Jutro też przyjmuję od ósmej.

Czy wspominałam może, że to idiota?

Jakub

– Dziękuję.

Na biurku łąduje sterta kart pacjentów, chociaż jest dopiero ósma. Przerzucam je szybko, żeby się upewnić, że dziś również między panią D. z reumatyzmem a panem S. z wyciętym woreczkiem żółciowym (którzy przychodzą codziennie i przychodzić będą do mojej emerytury, bo to, że mnie przeżyją, jest pewne jak w banku) zobaczę kartę Niny. Nina przychodzi do mnie od pół roku. Z za wysokim albo z za niskim ciśnieniem, z zawałem, udarem, miopatią, dyskopatią, a nawet z tęgorojcem dwunastnicy, tężyczką krzywiczno pochodną, łokciem tenisisty i trzema miliardami INNYCH schorzeń (czasami mam wrażenie, że ona nie tylko zna całą encyklopedię chorób, ale jest w stanie napisać ją od początku). Jestem pewien, że nadejdzie taki dzień, kiedy wyczerpie jej się repertuar damskich przypadłości i zacznie uskarżać się na prostatę, żylaki powróżka nasiennego, skręt jąder albo cokolwiek innego, co przyprawi mnie o którąś z wymienionych przypadłości. Podręcznikowy przypadek hipochondrii. Zbyt cwany dla pierwszego lepszego psychoterapeuty, do którego wysłał ją ojciec.

– Czy słyszałaś o hipochondrii? – spytał ją doktor D. – Hipochondrycy nazywani byli chorymi z urojenia.

– Czyli, jak rozumiem, to też sobie uroiłam? – spytała Nina, wyjmując z ust gumę do żucia i przyklejając nią do biurka doktora wizytówkę zakładu pogrzebowego jej ojca.

– Na wypadek, gdyby pan kiedyś schodził... chciałam powiedzieć: przechodził.

Tak więc czekam na Ninę. Mój poranek to czekanie na Ninę. Mój tydzień to wyczekiwanie Niny. Moje życie to wieczne wypatrywanie Niny. Tym bardziej że NIC INNEGO się w moim życiu nie dzieje. Poza tym widziałem na mieście kolejny nekrolog.

Nina

Psychoterapia – na którą musiałam chodzić, bo szkolna pedagog (zanim ojciec ją pochował) powiedziała, że wykazuję niepokojące zainteresowanie sprawami ostatecznymi – zakończyła się totalną klęską. Oczywiście, terapeuty.

– Co to była za lista? – spytał mnie na pierwszym spotkaniu, kiedy musiałam się przyznać, że omal nie wyrzucono mnie ze szkoły (właściwie to nawet nie musiałam, bo sprawa była dość głośna i relacjonowana pewnie przez wszystkie telewizje na świecie, łącznie z Al-Dżazirą). Terapeuta miał SWETEREK w serek (bynajmniej nie homogenizowany) i ze wzorem w ROMBY. I dwa zdjęcia na biurku. Na jednym był Freud, na drugim pies.

– Co to ma do rzeczy? – Wyciągnęłam papierosa, rozglądając się mało dyskretnie za popielniczką. Miałam siedemnaście lat i jeszcze się nie zacięłam. A potem już nie miałam okazji, bo sąsiad z naprzeciwka umarł na raka krtani, ubiegając tym samym ojca i jego pogadankę na temat szkodliwości tytoniu.

– Tu nie wolno palić – powiedział przez zaciśnięte zęby terapeuta. Oburzone były nawet romby na jego sweterku. – Proszę odpowiedzieć.

– Dyrektor był prawdziwą łajzą – powiedziałam bez owijania w bawełnę.

– Więc co to była za lista? – powtórzył takim tonem, jakby przemawiał do mnie drutem kolczastym, a nie językiem ojczystym. Och, czyżbyśmy się niecierpliwili?

– To była lista osób, które chciałam zabić – odpowiedziałam łaskawie. Swoją drogą, nic dziwnego, że dyrektor się wkurzył. Był na samym szczycie mojej listy. Zresztą nie mam pojęcia, o co zrobili tyle szumu (łącznie z wezwaniem kuratora i proboszcza, chociaż sama nie wiem, do czego był potrzebny ten ostatni, no bo chyba nie do odprawienia egzorcyzmów?). Lista była bardzo, ale to bardzo hipotetyczna i służyła bardziej ojcu niż mnie. Wypisałam po prostu nazwiska tych, którzy nas potencjalnie odwiedzą w najbliższym czasie. Nie moja wina, że sama najchętniej doprowadziłabym ich do stanu agonalnego (a zaraz potem skremowała, żeby więcej na nich nie patrzeć). I że dyrektor, który – notabene – miał prawie sześćdziesiąt lat i był po dwóch zawałach, uplasował się na zaszczytnym pierwszym miejscu. Przynajmniej w jakiejś dziedzinie zajął pierwsze miejsce.

– Zabić? – upewnił się terapeuta.

Boże, czy on naprawdę musi to robić? Czy nie może mnie spytać po prostu: „Czy chcesz o tym porozmawiać?”, jak to robią na amerykańskich filmach, a ja wtedy grzecznie odpowiem: „Nie, dziękuję”. A potem wrócę do domu, a on będzie żył długo i szczęśliwie. Dopóki znów się nie spotkamy, ale wtedy on już raczej nie będzie miał mi nic do powiedzenia, a dla pewności zaszyjemy mu z ojcem usta.

– Nie miał pan nigdy ochoty kogoś zabić?

– Nie.

No tak. Jasne. Nie wierzę. Każdy ma od czasu do czasu ochotę kogoś zabić. KAŻDY. Sąsiadkę, która jest tak wścibska, że podsłuchuje cię przez ścianę swoją własną szklanką, w której kiedyś pożyczylaś jej cukier. Pieszego na pasach, który postanowił przejść przez nie w tempie transmisji internetu w Kongo albo Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie chyba nie ma w ogóle żadnego internetu. Urzędniczkę na poczcie, która zrobiła sobie przerwę i kanapkę z paprykarzem szczecińskim akurat wtedy, kiedy tobie się spieszy. Dziewczynę, która założyła taki sam T-shirt jak ty. Chłopaka, który nie chciał się z tobą umówić... Zwłaszcza jeśli okaże się, że nie chciał, bo już umówił się z dziewczyną w TWOIM T-shircie.

– Naprawdę nigdy nie miał pan ochoty kogoś zabić? – Spojrzałam mu w twarz uważnie, z niedowierzaniem. Dlaczego on patrzy na mnie tak, jakbym właśnie przyznała się do zabicia siedmiu krasnoludków? I królowy Śnieżki. Swoją drogą, zawsze mnie strasznie irytowała. Udawać, że się nie żyje, tylko po to, żeby jakiś facet cię pocałował? Żalodne.

– Nie.

Kłamie.

– Jasne. I pewnie nigdy nie sikał pan pod prysznicem? – spytałam wprost.

Teraz popatrzył na mnie tak, jakbym mu właśnie oznajmiła, że wiem, jak skończy się *Moda na sukces*.

– Słucham??? Oczywiście, że nie!

Dobrze, wyjaśnię mu.

– Istnieją dwa typy ludzi: sikający pod prysznicem...

– I...?

– Kłamcy. – Wstałam i strzepnęłam popiół prosto na dywan. Dywan, oczywiście, był w ROMBY.

Edward

No, dobrze. Mam wszystko, czego mi trzeba: ciszę, spokój, relanium, absolutny brak Marii. Mogę zaczynać. Zaczynam. Uwaga: zaczynam! Wiedziałem, że nikogo to nie obchodzi. Zacząłem! I nic. Mam wrażenie, że wciąż jestem na tym samym zdaniu. Boże, Boże, czy czas się zatrzymał? Einstein miał rację. Czas jest względny. Przynajmniej dla mężczyzn. Dla kobiet jest ZAWSZE bezwzględny. Wiem, co mówię. Maria bała się starości, od kiedy skończyła szesnasty rok życia. Wiedziała, że nigdy już nie będzie miała piętnastu lat. I to ją załamało.

Maria

Starzeję się. Starzeję się, od kiedy skończyłam szesnaście lat. Na pewno starzałam się wcześniej, tylko że nie zwróciłam na to uwagi. Tak to już jest. Najprawdopodobniej z braku czasu zapominasz, że rubryka z datą urodzenia w dowodzie nie jest jednak ruchoma. Trudno się dziwić, nikt przecież nie zagląda codziennie do własnego dowodu. Chyba że masz demencję i musisz przypomnieć: sobie – jak się nazywasz, a policjantom, którzy znaleźli cię w zoo ubranego w piżamę i to w dodatku nie twoją – gdzie mieszkasz. A więc zestarzeję się i być może nawet tego nie zauważę. Dlatego wolałabym, żeby ktoś, kto zauważy to wcześniej, uprzejmie mnie o tym poinformował, a potem najlepiej od razu zastrzelił. Ktoś może jest chętny? Bo, niestety, nie mogę o to prosić Edwarda. Znając go, na pewno musiałabym dożyć głębokiej starości, a on nie podałyby mi nawet szklanki wody, nie mówiąc już o szklance, od której mogłabym sobie odrysować brwi.

Edward

Notariusz trochę się zdziwił, kiedy Maria pokazała mu własnoręcznie sporządzoną umowę, w której upoważniała mnie do zamordowania jej, kiedy tylko zauważę u niej pierwsze oznaki starzenia się.

– Chodzi o eutanazję? – spytał notariusz.

– Skoro tak pan to nazywa – mruknęła Maria. – Po prostu chcę mieć gwarancję, że ktoś mnie zastrzeli, kiedy tylko mój mąż zacznie mnie poklepywać po twarzy zamiast po tyłku, żeby się upewnić, że nie umarłam.

Notariusz zawahał się tylko przez moment.

– Trafia państwo do wyjścia, prawda?

Jakub

Budzisz się i zasypiasz. Zasypiasz i budzisz się. I tak co kwadrans. Jak masz szczęście, co pół godziny. W ten sposób nigdy nie śpisz naprawdę. Masz za to szansę obejrzeć powtórki wszystkich seriali. I sąsiada z naprzeciwka w siatkowanym podkoszulku i dziurawych gaciach, uprawiającego seks „na królową Śnieżkę” z leżącą w papilotach i rozwiązującą krzyżówkę żoną.

Edward

Kłamiesz i mówisz prawdę. Albo nie: najpierw mówisz prawdę, a potem kłamiesz. I tak na zmianę. A potem zapominasz, co było najpierw. Dlatego rada dla wszystkich, którzy uwielbiają kłamać: zaczynajcie spisywać swoje kłamstwa. Żaden człowiek nie ma aż tak dobrej pamięci.

Nina

Jeśli myślisz, że śmierć to koniec życia, spójrz na mojego ojca. Mój ojciec żyje. I ja też żyję. Żyjemy dzięki śmierci. I ze śmierci. Cudzej, rzecz jasna. Boże, to zabrzmiało tak, jakby mój ojciec był nie tylko moim ojcem, ale i ojcem chrzestnym... Tak czy siak, interes się kręci. Gdyby tylko nie istniały te wszystkie brudne klamki... Brrr... Producenci żelu antybakteryjnego, bądźcie błogosławieni między producentami!

Maria

Jeśli myślisz, że to niemożliwe, żeby można było się zestarzeć od wczoraj, spójrz na mnie. Czy to możliwe, że jestem starsza niż wczoraj? Niż przedwczoraj? I dwa dni temu? Czyli pojutrze menopauza, parkinson i alzheimera? Akurat ten ostatni jest dość sprzyjający. Nie pamiętasz, że jesteś stara i właśnie zrobiłaś pod siebie. Wiedziałam, że kto jak kto, ale Niemcy znają się na chorobach.

Nina

– Boli.

– Gdzie?

– Tutaj. Kiedy zginam. – Podniosłam kolano na wysokość jego twarzy. Jezu, gdyby mógł, badałby je patykiem, nie wychodząc zza biurka... Do diabła, chyba widział już wcześniej damskie kolano? Nie, no musiał widzieć. No przynajmniej raz, na studiach, podczas zajęć w prosektorium. Chyba że to było męskie kolano. Nieee... Niemożliwe. Jak znam studentów medycyny – którzy mają dziewczynę tylko wtedy, kiedy klikną prawym klawiszem myszki i zaznaczą opcję „zapisz jako” – nie przepuściliby takiej okazji, jaką jest zobaczenie nagiej kobiety. Nie szkodzi, że martwej. Chociaż w zasadzie tylko martwa pokazałaby im się nago. Martwa dziewczyna to jedyna, która nie powie im „nie”.

Ciekawe, czy ma dziewczynę? No przecież go nie spytam... A jakby go tak spytać? Boże, i po co mi to wiedzieć? I tak faceci są do dupy. I zrobieni na jedno kopyto. I nie wiem, dlaczego kobiety wciąż szukają tego jedyne, skoro oni wszyscy są TACY SAMI? I w ogóle po co kobietom mężczyźni? Boże, z facetami jest jak z kibelem w PKP: najlepsze wyjście – nie wchodzić. To znaczy, co ja mam w końcu zrobić? Jak mam się dowiedzieć, czy ma dziewczynę, czy nie? Przecież nie jesteśmy w podstawówce i nie będę wysyłać koleżanek na przespiegi. Chociażby dlatego, że moje koleżanki z podstawówki, czyli ostatnie, jakie w ogóle miałam, mają ważniejsze rzeczy na głowie, jak na przykład ciągnięcie swoich chłopaków od psychiatry do psychiatry, bo każdemu z nich się wydaje, że jest BOGIEM. Albo znalazły księcia z bajki i teraz muszą mu przysuwać fortepian, jeśli zostawił na nim cygaro. Z drugiej strony... Może jednak nie wszyscy mężczyźni pochodzą od świni... Dobra, spytam go.

– Myślisz, że niezbędny będzie implant stawu kolanowego? – spytałam na wszelki wypadek, kiedy moje kolano zaczęło go interesować jeszcze mniej niż przed chwilą. O ile to w ogóle możliwe. Popatrzył na mnie tak, jakbym mu kazała operować właśnie tu i teraz.

- Tak.
 - Tak???
 - Za jakieś sześćdziesiąt lat. I nawet wtedy nie jestem pewien.
- A więc jednak operacja.

Jakub

– Powinieneś się rozerwać – powiedział Artur z interny, robiąc przy tym taką minę, jakby informował mnie o tym, że zostały mi trzy dni życia i to jeszcze (przez grzeczność) znacznie zawyżając tę cyfrę. – Nie wiem, idź do pubu, do kina, na kręgle. Pouprawiaj seks. Na litość boską, jest piątek.

Problem polega na tym, że nie mam z kim pouprawiać seksu. Nie znam chyba żadnych dziewczyn poza moimi pacjentkami. Chyba że z Matyldą. Nie, to moja pacjentka. No to z Lidią. To też moja pacjentka. To może z Wiktoria. Nie, to nie jest moja pacjentka, ale jedyna chemia, jaka mogłaby między nami zaistnieć, to pigułka gwałtu. Czy jest ktoś, z kim mógłbym robić te wszystkie rzeczy, które mężczyzna robi z kobietą, i nie mam tu wcale na myśli brania kredytu na mieszkanie? Właściwie to... jest. Przejrzałem ją NA WYLOT: od rentgena płuc przez USG macicy do próbek moczu. Nie ma więc mowy o kupowaniu kota w worku. Ilu z was może się tym pochwalić? Problem w tym, że wcale jej się nie podobam.

Nina

Nie podobam mu się. Nic dziwnego. Mężczyźni w moim życiu dzielą się na tych, którzy mnie chcą, i na tych, których chcę ja. I to nigdy nie są ci sami mężczyźni.

Moją pierwszą randkę uważam za NIEBYŁĄ. Poszłam na nią z moim najlepszym kumplem, Pablem, który zupełnie przypadkiem był synem organisty. Z tym to organistą mój ojciec wypijał (i nadal wypija) co czwartek kieliszek koniaku. Pablo na pewno miał jakieś imię, ale niestety nikt (w tym także jego własna matka) nie mógł sobie przypomnieć jakie. Tak więc Pablo zabrał mnie do kina, bo: po pierwsze, w tym (!) wieku trzeba (!) kogoś (!) zabierać do kina; po drugie, musiał udowodnić kumplom, że nie jest frajerem, co to nie umie dziewczyny do kina zabrać; po trzecie (i to był chyba powód najistotniejszy), chciał zrobić na złość ignorującej go Pauli. Bo Pablo, od kiedy osiągnął wiek męski (a stało się to ZADZIWIAJĄCO szybko), zaczął dzielić swoje życie na to spędzone w łóżku i to, kiedy próbuje tam zaciągnąć jakąś dziewczynę. Tak, Pablo był jak czekoladowy batonik – słodki i wiedział, od czego zacząć: od bioder. Chciałabym powiedzieć, że Pablo był rudym/piegowatym/pryszczatym/nastoletnim okularnikiem zafascynowanym fizyką kwantową, którego głowę regularnie sflukiwano w sedesie dla rozrywki, ale nie mogę, bo Pablo w wieku siedemnastu lat wyglądał jak chłopak z reklamy džinsów. I to tych najdroższych. Tak, to był jeden z tych, co za dziesięć lat będą wyglądali jak mężczyźni z reklamy bielizny Calvina Kleina, za dwadzieścia jak faceci z reklamy sportowej wody toaletowej, a za trzydzieści jak biznesmeni z reklamy garniturów Hugo Bossa. Niestety, Pablo był przystojny. Nie wszystko jednak wyglądało tak różowo, bo wybierając stanie w kolejce po kaloryfer na brzuchu, Pablo nie stanął w kolejce po mózg. Ale ani jemu, ani trzycyfrowej liczbie dziewczyn, które spotykały się z nim raczej nie po to, żeby poczytać razem Biblię, zupełnie to nie przeszkadzało.

Druga randka też nie należała do udanych. Chłopiec, którego imienia nijak nie mogę sobie

przypomnieć, przyszedł punktualnie. Otworzył mu ojciec, z balsamem w ręku. Z balsamem do ciała. NIEŻYWEGO ciała. Nie znam szczegółów ich konwersacji, ale chłopakowi chyba coś dało do myślenia, bo w kinie siedział w dużej odległości ode mnie i dość sztywno. Już był sztywniakiem czy może mój ojciec wytłumaczył mu, że dopiero nim będzie?

Trzecia randka była najlepsza ze wszystkich. Poszłam na nią z chłopakiem, który w ogóle mi się nie podobał. Nie musiałam spędzać trzech godzin na wybieraniu T-shirta spośród dwóch identycznych. Nie musiałam błyskać intelektem, humorem ani nawet udem. Pełen luz. Nie wiem, jak bawił się ten chłopiec, któremu nie zostawiłam, co prawda, swojego numeru, ale za to pokaźny rachunek za kolację. Nie zdążyłam zapytać, bo gdy widziałam go ostatnio, zmywał akurat naczynia w knajpie, zaraz po tym, jak okazało się, że nie było go jednak stać na kolację ze mną. O Boże, czyżby to było PRZEDWCZORAJ???

Zapamiętać: Każda randka z kimś, kto ci się nie podoba, to może i zmarnowany czas, ale za to zawsze jedna darmowa kawa do przodu. Albo cztery kawy.

Edward

Nie idzie mi. Nie napisałem ani linijki. Może powinienem poczytać Szekspira. Maria mówi, że trzeba czytać Szekspira.

Maria

Trzeba czytać Szekspira.

Edward

Maria wyklada literaturę angielską. Mówi o Szekspirze. Wciąż, nieustannie, w kółko i na okrągło mówi o Szekspirze. Szekspir przyprawia studentów o ból głowy.

Maria

Nie obchodzi mnie, że bolą ich głowy od Szekspira. Lepiej niech ich bolą od Szekspira niż bez powodu. Nie wiem tylko, jak kogoś, kto nie ma mózgu, może boleć głowa. No chyba że to ból fantomowy. Zresztą, o czym my tu w ogóle dyskutujemy? Bardziej interesujące jest to, jak to się stało, że zostałam żoną Edwarda, TEGO pisarza. Dlaczego za niego wyszłam? Bo miał takie śliczne dołeczki. Nie wiem, czy to jest dobra odpowiedź, ale żadna inna jakoś nie przychodzi mi w tej chwili do głowy. Na szczęście w trakcie ceremonii ślubnej nie pytają o powody zawarcia małżeństwa.

Edward

Dlaczego ożeniłem się z Marią? Bo miała taki seksowny pieprzyk na szyi. A może to wcale nie był pieprzyk... Cokolwiek to było, doprowadziło mnie najpierw do szaleństwa, a potem do ołtarza.

Maria

Ludzie z miłości są w stanie zrobić wszystko. Oczywiście z miłości do pieniędzy i władzy.

Jakub

Piątkowy wieczór minął JAK ZWYKLE. Przed telewizorem. Z dużą ilością alkoholu. Po którym, oczywiście, i tak nie zasnąłem. Teraz muszę tylko przygotować jakąś zgrabną historię dla Artura na poniedziałek. A wy? Jak zmarnowaliście swój weekend?

Edward

Mówiłem już, że nie napisałem ani linijki? Może powinienem się napić? Podobno wszyscy pisarze piją.

Jakub

Powiedziałem Arturowi, że piątkowy wieczór spędziłem z dziewczyną. Dlaczego skłamałem? Dlaczego skłamałem, że mam dziewczynę? Nie mam żadnej dziewczyny. Nie mam czasu na dziewczynę. A nawet jeśli bym miał, nie wiedziałbym, co z nią robić w czasie wolnym. Którego przecież i tak mam niewiele.

Edward

Niestety, picie też mi nie idzie.

Jakub

Nie muszę się już martwić tym, że skłamałem. Artur i tak mi nie uwierzył.

Edward

No i dalej mi nie idzie. Może powinienem zapalić? To nic, że od jakiegoś czasu ktoś chamsko dopisuje obsceniczne teksty na paczkach, że palenie zabija i takie tam. Nie przeszkadza mi to. Nie pamiętam tylko, gdzie Maria zwykle chowa papierosy. O proszę, a co my tu mamy? Paczka w koszu na brudną bieliznę i na czarną godzinę. Otóż i nadeszła CZARNA GODZINA. Jaki tym razem napis mamy na opakowaniu? „Palenie sprzyja ciężom pozamacicznym”. No, i świetnie, nic mi w takim razie nie grozi. A więc, Edwardzie, na zdrowie! Tak, wiem, nie zaczyna się zdania od „A więc”.

Jakub

A więc nadal nie śpię. Ale próbuję. Koniecznie NA WZNAK. To na wypadek, gdybym zszedł w nocy i żeby pracownikom zakładu pogrzebowego ojca Niny łatwiej było mnie ułożyć w trumnie. Dlatego zawsze uważam, żeby wieczorem nie robić niczego nieprzyzwoitego. Nie chciałbym być pochowany z ręką w gaciach.

Edward

Zaczynam dzień od golenia i relanium. Patrzę w lustro i mówię: Cześć, mam na imię Edward i jestem uzależniony. Od relanium, mitomanii i mojej żony, Marii. Cześć, Edward – odpowiada mi lustro (a raczej odpowiadam sam sobie).

Nina

Zaczynam dzień od listy leków przyklejonej taśmą samoprzylepną do lustra w łazience. Przesuwam palcem od góry do dołu. Na co dzisiaj mamy? Na migrenę, na oczy, na zęby, na ciśnienie. NA ŻYCIE. Przeciw migrenie, przeciw ślepotcie, przeciw paradontozie, przeciw zawałowi. Przeciw śmierci. NA ZAPAS. Na wszelki wypadek. Na zdrowie! Cześć, mam na imię Nina i boję się kilku rzeczy. Cześć, Nina.

Jakub

Zaczynam dzień od kawy i aspiryny. Albo od aspiryny i kawy. Nie pamiętam, co było na początku. A tak, na początku był Chaos... Cześć, mam na imię Kuba i nie sypiam od trzech miesięcy. Ani sam, ani tym bardziej z kimś. Cześć, Kuba.

Maria

Zaczynam dzień od lustra w łazience. Patrzę, o ile postarzałam się od wczoraj. Porównuję to z tym, o ile postarzałam się od przedwczoraj. I zapisuję. Cześć, mam na imię Maria i chyba się starzeję. Chyba? Na pewno! Cześć, Maria.

Nina

– Cześć, Maria – westchnęłam, kiedy Maria pojawiła się w drzwiach z dwiema walizkami i bardzo głupim wyrazem twarzy.

– Znowu?! – ryknął ojciec.

– Przechodziłam właśnie – mruknęła, starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej niewyraźnie. Jasne. Przechodziła. Z walizkami. Przyglądam się z niesmakiem (największym, na jaki mnie w tej chwili stać), jak Maria z zadziwiającą wręcz zręcznością przepycha walizkę przez próg. Nogą. Nogą, oczywiście, obutą w WIELOFUNKCYJNE szpilki, którymi możesz obrócić prosiaka na różnie, a gdyby ci było mało, to po kolacji możesz sobie nimi jeszcze podłubać w zębach. Jak jej się, do diabła, udało przejechać (przejsć? przebiec?) pół miasta w obcasach i w spódnicy tak wąskiej, że chyba wkładała ją

ŁYŻKĄ DO BUTÓW, taszcząc ze sobą wypchaną walizkę? Najwyraźniej jednak Maria urodziła się po to, żeby nosić szpilki. A może nawet urodziła się w szpilkach, wybijając podczas przychodzenia na świat oko wyglądającej jej z niecierpliwością położnej. Jestem pewna, że śpi w tych przeklętych szpilkach. A już na pewno w pełnym makijażu. Nic dziwnego, że proboszcz jej nie lubi. Lubi za to mnie, co wcale dobrze o mnie nie świadczy.

Maria jest moją siostrą i żoną tego idioty Edwarda, to znaczy Edwarda, TEGO pisarza. Wpada co jakiś czas na jakiś czas, żeby ten cymbał, jej mąż, mógł się w spokoju oddawać pisaniu tych bredni dla zidiociałych kobiet, którym wciąż marzy się rycerz, tyle że z kartą kredytową zamiast miecza i czterystoma końmi, ale mechanicznymi, który na dodatek maluje, pisze wiersze i gra na MANDOLINIE.

– Nina, talerz! – ryknął ojciec z przedpokoju.

Jasne, talerz! Bo Maria, oczywiście, musi się zawsze zjawić w porze kolacji. Nie wiem, skąd wie, kiedy ojciec wyciąga z piekarnika kurę, ale czasami mam wrażenie, że czeka pod drzwiami na odpowiedni moment, żeby zapukać i załapać się na najlepszą część tej kury, prawie wyrywając ją ojcu z gardła. Bo przecież Maria ZAWSZE musi dostać to, co najlepsze. Dlatego jestem pełna wdzięczności dla naszego Pana, który w swojej nieskończonej mądrości pozwolił Marii poślubić tego idiotę, Edwarda (któremu raczej daleko do jakiegokolwiek doskonałości), żeby przekonała się, że w życiu nie zawsze trafia nam się najlepszy kawałek kury. Maria na dodatek nie umie gotować, co tłumaczy jej częste wizyty u nas w okolicach posiłków. Jak widać, „boski” Edward, TEN pisarz, też nie jest najlepszy w te klocki (a w jakie klocki on może być dobry?), bo zwykle jej wtedy towarzyszy, a podczas wyciągania z piekarnika dziczyzny wygląda tak, jakby właśnie był w trakcie przeżywania religijnej ekstazy.

– Mówiłem ci, żebyś wyszła za syna organisty – powiedział ojciec, krojąc (tym razem) pieczeń rzymską. Z miną, jakby właśnie brał udział w Ostatniej Wieczerzy.

– Tato, on jest w wieku Niny – zauważyła całkiem przytomnie Maria.

– Nie bądź drobiazgowa – mruknął ojciec, nie przerywając nabożnego skupienia, z jakim kroił mięsiwo.

– Poza tym nie wiem, czy pamiętasz, ale to chyba jego znalazłeś kompletnie pijanego śpiącego w jednej z twoich trumien – przypomniała oschle.

Ojcu nie drgnęła nawet powieka, kiedy rzucił na talerz Marii solidny kawałek pieczeni.

– To było nieporozumienie. Wszystko sobie wyjaśniliśmy – oświadczył urażony, jakby godzenie się z Pablem było transmitowane w głównym wydaniu wiadomości, a Maria to przegapiła. Że też ona zawsze musi się czepiać! Rzeczywiście, Pablo, który pewnego razu obiecał pomóc ojcu przy zwłokach (czytaj: zmusił go do tego jego ojciec – organista, który co czwartek wypija z moim ojcem kieliszek koniaku), będąc na totalnej bani, przysnął w jednej z trumien, uprzednio jednak zdążył wyjąć z niej nieboszczyka, co, uważam, było naprawdę miłe z jego strony. Nie wiem, co powiedział mojemu ojcu po przebudzeniu, ale nagła i nieodwracalna amnezja Pabla obejmująca czas od otwarcia oczu (trumny?) do niespodziewanego znalezienia się w kontenerze na śmieci przed zakładem pogrzebowym z pewnością była sprawką mojego ojca. No, ale zawsze to syn organisty, a nie wątpliwej sławy pisarz, który obgryza paznokcie przy stole i na pytanie mojego ojca: „Do jakiego kościoła należysz?” odpowiada: „No, do tego z krzyżem na czubku”.

– Ona jest dla niego za stara – wybełkotałam z ustami pełnymi pieczeni. Nie miałam wcale zamiaru ratować Pabla przed ewentualnym ożenkiem z moją siostrą, żeby było jasne. Nikomu tak źle nie życzyłam, tj. nikomu nie życzyłam poślubienia ani Marii, ani Pabla. Chciałam jej tylko zrobić na złość. Wiedziałam, że Maria ma szmergla na punkcie starzenia się, który to szmergiel każe jej być wiecznie na jednej z miliarda pięciuset diet (jak na przykład tej, która polega na odwiedzaniu najdroższych restauracji

w mięście i jedzeniu tylko tego, na co cię stać, a jak się łatwo domyślić, zwykle stać cię JEDYNNIE na wodę mineralną, i to tylko niegazowaną), ćwiczyć malezyjskie tańce ludowe, które podobno hamują proces starzenia tudzież wypróbować wszystkie najbardziej idiotyczne porady zaczerpnięte z internetu (w tym spanie w za ciasnych majtkach na głowie, które daje podobno efekt naciągniętej skóry na czole; swoją drogą, to samo mogłaby jej zapewnić fryzura na „za mocno ściągnięty koński ogon”).

– Czy on nie jest przypadkiem w wieku Niny? – Uśmiechnęła się zjadliwie Maria. Aha, karty się odwróciły. Teraz pije do mojej małżeńskiej fobii. Wie doskonale, że wolałabym ODGRYŹĆ sobie własną głowę, a potem ją ZJEŚĆ (nie wiem, czy to do końca możliwe...), niż wyjść za męża. Ojciec zawahał się na chwilę, zastygając z wielkim kuchennym nożem w ręku. Jestem pewna, że właśnie się zastanawia, czy dobrze się upozował przed wygłoszeniem krótkiej mowy na temat wątpliwego argumentu o różnicy wieku. Ojciec kocha wszelkiej maści wystąpienia, dlatego w ostatnim czasie zrobił kurs mistrza ceremonii, żeby nie tylko zapewniać oprawę pogrzebów, ale i je prowadzić. Tak, ojciec jest urodzonym showmanem.

– Mogłaby wyjść za niego i przejąć rodzinny interes – kontynuowała z satysfakcją Maria, nie wiedząc jeszcze, że jest bliżej strzału we własne kolano niż w dziesiątkę.

– Myślałem, że ty przejmiesz rodzinny interes – westchnął ojciec z miną „cierpiącego za miliony”. – Że będziemy przekazywać go sobie z pokolenia na pokolenie. Moje córki wyjdą za męża i przejmą zakład, a potem ich dzieci, a potem dzieci ich dzieci. Będę miał komu zapisać ziemię...

– W ziemi są wolne rodniki... – zaczęła Maria.

– A czy ja ci każę grzebać się w ZIEMI?! – wrzasnął ojciec, zapominając na chwilę o minie „niewiasty u grobu Pańskiego”. – Nie jestem grabarzem, żebym ci przekazywał w spadku łopate!!! Może w takim razie Nina wyjdzie za męża i przejmie zakład... – znów wpadł w ckiwy ton.

– Przejmę go tak czy siak – wymruczałam, grzebiąc widelcem w sałatce ziemniaczanej. – Nie muszę wychodzić za męża.

Zaraz, zaraz, on chyba nie zamierza dać mi do podpisania cyrografu, zgodnie z którym tylko szybkie małżeństwo zagwarantuje mi odziedziczenie zakładu? Eee... nie sądzę. Najwyżej zawrę fikcyjny związek małżeński z Pablem na czas odczytywania testamentu. Czasami ojciec ma naprawdę dziwne pomysły. Nawet jak na niego. Boi się, że POGRZEBIEMY interes czy co? Zupełnie niepotrzebnie. Nie ma takiej opcji, żeby ten interes kiedykolwiek upadł. Poza tym jego zakład nie nosi nazwy „Ryszard&Synowie”, jak wszystkie inne zakłady wokół, lecz bardzo oryginalną „Ryszard&Córki”. To już chyba powinno budzić żywe zainteresowanie klientów. To znaczy, żywych klientów.

– To kiedy mogę liczyć na wnuka? – spytał ojciec ni z tego, ni z owego.

– Jeśli o mnie chodzi, to nigdy, więc to chyba pytanie do ciebie – wybełkotałam do Marii, z ustami pełnymi żurawiny.

– Oczywiście, że do niej – zauważył ojciec. – Przecież ty nie masz jeszcze męża.

Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby ojciec nie wiedział, że do posiadania dzieci nie jest potrzebny mąż. Ani nawet mężczyzna. Na szczęście zadzwonił telefon, więc Maria nie musiała odpowiadać (choć chętnie bym posłuchała, co ma do powiedzenia na ten temat). Swoją drogą, myśl o tym, że moja siostra i Edward, TEN pisarz, robią wnuka na specjalne zamówienie ojca, sprawia, że odehciewa mi się deseru, chociaż jeszcze kwadrans temu odliczałam minuty do chwili, kiedy będę mogła zjeść dwie (Maria nie jada niczego, co składa się ze śmietany i cellulitu) porcje mrożonego tortu z wiśniami. Ale teraz nawet wizja ulubionego deseru nie jest w stanie mi osłodzić potencjalnego widoku siostry i szwagra podczas aktu PROKREACJI (zwanego też w kręgach innych niż kościelne aktem REKREACJI). Wolałabym wbić sobie w oczy dwa zatemperowane ołówki, niż wyobrazić sobie, że dziecko Marii i Edwarda nie zostaje jednak znalezione w kapuście.

– Zakład pogrzebowy „Ryszard&Córki” – wyrecytował swobodnie ojciec, chociaż stał tak sztywno wyprostowany, jakby miał zaraz po przedstawieniu się odśpiewać hymn państwowy. Wszystkie telefony przyjmował na stojąco. Wstawał nawet wtedy, kiedy odbierał komórkę. To z szacunku. Jak sam kiedyś wyjaśnił, nie przystoi mu siedzieć, kiedy wszyscy jego klienci leżą. Każdego nieboszczyka nazywał klientem, żeby było jasne.

– Dlaczego ojciec siedzi w domu w uniformie pogrzebowym? – spytała mnie szeptem Maria.

– A w czym ma siedzieć? W stroju tenisisty? Jest przedsiębiorcą pogrzebowym, to siedzi w uniformie pogrzebowym – skrzywiłam się. Maria czasami zadaje takie głupie pytania.

Maria

Czy ja zadaję głupie pytania? Patrzę na leżący na fajansowym talerzu kawał mięsa, którym hojnie obdzielił mnie ojciec, i zastanawiam się, czy zwymiotować od razu, czy jednak odczekać chwilę. Nienawidzę czerwonego mięsa. Powiem to jeszcze raz drukowanymi literami: NIENAWIDZĘ. I to już nawet nie chodzi o to, że wygląda obscenicznie. To mi akurat nie przeszkadza. Od kiedy jednak dowiedziałam się, że czerwone mięso sprzyja procesom starzenia w organizmie, ja i ten rodzaj mięsa żyjemy w separacji. Najwyraźniej jednak ojcu – który na szczęście musiał odebrać telefon i na nieszczęście musiał wrócić i kontynuować kolację – te argumenty były zgoła obce.

– Nie, dziękuję – zaprotestowałam, zanim olbrzymi i krwisty (Chryste...) kawał pieczeni wylądował na moim talerzu. Pierwszy zignorowałam. Przy drugim ośmieliłam się jednak zabrać głos.

– Co to ma znaczyć?! – ryknął ojciec.

– Nie jem czerwonego mięsa, tato – zauważyłam nieśmiało.

– Od kiedy?

– Od piętnastu lat.

– Dlaczego? – Ojciec wyglądał na naprawdę przejętego.

– Bo gnije między zębami.

– Eee... głupstwa i przesady.

W przeciwieństwie do mnie, ojciec żywi głębokie uwielbienie dla czerwonego mięsa. Czasami zastanawiam się, czy zupełnie przypadkiem nie minął się z powołaniem albo niechcący nie pomylił profesji. Zdecydowanie powinien zostać rzeźnikiem. O mięsie wiedział więcej niż mięso samo o sobie. Pamiętam dziką awanturę w restauracji, którą zrobił (i to bynajmniej nie przy dziczyźnie), kiedy okazało się, że stek nie odpowiada jego wyobrażeniom.

– Chodzi panu o to, że nie jest wystarczająco martwy, czy o to, że nie moczy na talerzu? – upewnił się kelner, który najwyraźniej miał dość tyrad ojca na temat sposobu ubijania i przygotowywania mięsa z serii *Niekończąca się opowieść 8*.

– A pan jak wolałby skończyć? – zapytał uprzejmie ojciec. – Bo to, że się jeszcze raz spotkamy, jest tak jakby nieuniknione. Tylko że pan będzie wtedy martwy.

Zapamiętać: Zanim wezwiesz policję, upewnij się, że facet, który grozi ci śmiercią, nie jest przedsiębiorcą pogrzebowym.

Kelner miał pecha. Ojciec dwa dni wcześniej chował matkę właściciela restauracji i biedny kelner nie wiedział jeszcze, że zanim ojciec ryknął: „Proszę z kierownikiem!”, wyrok śmierci już czekał na niego razem z wypowiedzeniem. Czasami ojciec przypomina mi bossa sycylijskiej mafii (i nie mam tu wcale na

myśli czarnego garnituru i idealnie ASYMETRYCZNEGO przedziałka, ani tym bardziej złotych sygnetów i zębów, których na szczęście nie nosi, to znaczy sygnetów, nie zębów, zęby ma zwykle przy sobie, to znaczy w ustach), który zna każdego w tym mieście i każdy w tym mieście zna jego. Martwy czy jeszcze żywy, zwykle każdy trafi w jego ręce. Prędzej czy później.

Spróbowałam się skupić na sałatce z ziemniaków, ale widok ojca pożerającego kolejny kawał pieczeni przyprawił mnie niemal o torsję. Zerknęłam na Ninę, która z taką zaciętością walczyła z pieczenią, że już nie byłam pewna, czy przypadkiem nie zamierza jej uśmiercić po raz drugi. A kto wie, może nawet wskrzesić... Że też ona się nie starzeje od tych węglowodanów! Zerknęłam jeszcze raz, żeby się upewnić, czy nie próbuje zatuszować pierwszych oznak starzenia – jak każda normalna kobieta – przy użyciu GIPSU i szpachelki. Nie, Nina nie ma na sobie ani grama makijażu. Nie ma też na sobie ani jednej zmarszczki. Dziwne... Ma dwadzieścia cztery lata, powinna się już starzeć, tymczasem wciąż wygląda tak, jakby dopiero co wróciła ze swoich osiemnastych urodzin (łącznie z cieniami pod oczami i lekko „podchmielonym” wzrokiem). A więc jednak starzenie się nie ma nic wspólnego z genetyką, skoro pochodzimy od tego samego ojca, a żadne z nich nie starzeje się tak szybko jak ja. Nawet ojciec. No chyba że się wcześniej zabalsamowali.

– Co jest? – wymruczała z pełnymi ustami, gdy zauważyła, że się jej przyglądam. Nienawidzę, kiedy mówi do mnie z pełnymi ustami. Zwłaszcza z ustami pełnymi mięsa, które już na pewno jest w postępującym procesie gnilnym. – Mam coś na twarzy?

Tak, Nina, chociaż bardziej chodzi o to, czego NIE MASZ na twarzy. Nie masz zmarszczek, do licha! I jesteś irytująca, ale to szczegół. Teraz mi się przypomniało, dlaczego tak często w dzieciństwie zamykałam cię w pralce. To pewnie od tego czasu w instrukcjach obsługi pralek pojawiła się – oczywiście, drobnym drukiem – informacja: NIE WKŁADAĆ DZIECI DO BĘBNA. Dosyć tego! Wychodzę. Zanim DOKŁADNIE sobie przypomnę, dlaczego tak wcześniej się stąd wyprowadziłam.

– Dokąd idziesz? A deser?! – wrzasnął święcie oburzony ojciec, kiedy tylko odsunęłam krzesło. Uznałam, że jestem za stara na dzwonienie do siebie spod stołu, żeby móc zająć czymś ojca i uciec do swojego pokoju. A już na pewno jestem za stara na wpychanie jego kolacji za kaloryfer (którą zwykle potem odkrywali faceci od pomiaru podzielników). Na miłość boską, mam prawie trzydzieści lat! No właśnie. Z tego wszystkiego zapomniałam o zażyciu kapsułek z kwasem hialuronowym. Nie, nie chcę deseru, chcę po prostu wrócić na parę tygodni do swojego dawnego pokoju i w spokoju przeczekać (przehibernować?), aż mój mąż, który jest skończonym idiotą, napisze wreszcie to wybitne dzieło, które zapewni mu rozgłos na dożynkach, festynach wiejskich i zabawach tanecznych w klubie „Pod Wczorajszą Makrelą” w Pucku.

– Idę do swojego pokoju – zakomunikowałam i odwróciłam się na pięcie, by odejść. Powtórzę raz jeszcze: nie po to się wyprowadzałam, żeby teraz, w ramach powrotu do korzeni, brać udział w absurdalnych rytuałach ojca i Niny podczas kolacji polegających na modleniu się za wszystkich przeszłych i przyszłych (ZWŁASZCZA przyszłych) klientów zakładu pogrzebowego „Ryszard&Córki”.

– To niemożliwe – powiedział ojciec, splatając ręce. Minę miał iście pogrzebową. Co za nietakt z mojej strony, przecież on wrócił dziś z pogrzebu. I to z niejednego. Zupełnie nie wiem, o co mu chodzi. Jak to: niemożliwe? Przypieszyłam kroku, mając pewność, że nawet w betonowych butach znajdę się tam szybciej niż on w pogrzebowym uniformie, który wygląda tak, jakby wycięto go z tektury. Jak to: niemożliwe? To w końcu mój ojciec! Powinien mnie wspierać, nawet jeśli mu oświadczyłam co najmniej osiemdziesiąt tysięcy razy, że nie przejmę zakładu, nawet jeśli nie podoba mi się jego fryzura „na księcia Karola” i nawet jeśli...

– Dlaczego w moim pokoju stoi trumna? – spytałam ze ściśniętym gardłem.

– Bo na dole nie było miejsca – odpowiedział ojciec, jakby chodziło o wstawienie deski do prasowania. – Będiesz spać z Niną.

Nie byłam pewna, czy trumna jest pusta, czy nie, i czy nie wolałabym jednak spać w niej niż z Niną. Uznałam jednak, że odłożę robienie awantury w tej sprawie do jutra, kiedy będę już po zażyciu kwasu hialuronowego i być może stanę się kolejnym wcieleniem dalajlamy i w ogóle nie będę się już musiała niczym przejmować. Z drugiej strony, dzięki stresowi spalamy dużo kalorii. Chociaż dzięki orgazmom jeszcze więcej. Zwłaszcza tym UDAWANYM. A więc będę spać z Niną. Super. Przecież każda dorosła kobieta nie marzy o niczym innym, jak tylko o spaniu w jednym łóżku z własną siostrą. Zwłaszcza kiedy ma się z kim sypiać, tyle tylko, że trzeba poczekać, aż ten ktoś napisze dwieście stron totalnych bzdur, zanim zacznie się z tobą kochać. Gdyby viagra potrzebowała tyle czasu do rozpoczęcia stosunku, ile potrzebuje Edward, to byłaby ustawowo zakazana, bo z pewnością przyczyniłaby się do wzrostu liczby nie małżeńskich zdrad, lecz ZABÓJSTW. Dlaczego on nie może się pospieszyć z tą cholerną książką???

Edward

Powinienem trochę zwolnić z tą książką. Zarówno w tym przypadku, jak i w przypadku sezonu grzewczego dla krocza, czyli czasu wkładania KALESÓNÓW, pośpiech nie jest wskazany. Mimo to czuję chłód. Chłód lufy pistoletu wydawcy, który myśli chyba, że pisanie książki jest równie proste jak robienie dzieci. Otóż nie jest. Poza tym to ja odwałam całą czarną robotę. To ja jestem pisarzem! I to w końcu ja sprawiłem, że wszystkie gospodynie domowe zaczęły mieć lepsze życie seksualne, nawet jeśli w praktyce oznacza to mylenie własnego małżeńskiego łóżka z małżeńskim łóżem sąsiada. To ja jestem pisarzem i to ja będę dyktował warunki!

– Musisz zrozumieć, że... – Rozmowę z wydawcą zacząłem bardzo ostrożnie.

– Gównu mnie to obchodzi – usłyszałem po drugiej stronie słuchawki. – Masz czas do końca miesiąca, potem możesz liczyć już tylko na półkę w sklepie „Wszystko po 5 zł”!

No tak...

Mój debiut był totalną porażką. Najbardziej przyjazna recenzja brzmiała mniej więcej tak: „Owszem, poleciłbym tę książkę moim przyjaciółom, gdybym przyjaźnił się z Saddamem Husseinem i Osamą Bin Ladenem”. Problem polegał na tym, że ilekroć zaczynałem pisać, bardzo szybko orientowałem się, że ktoś kradnie mi pomysły. Kradli nie tylko tytuły, ale całe zdania, ba! nawet całe rozdziały. J.K. Rowling ukradła mi Harry’ego Pottera, Stieg Larsson – całą trylogię „Millenium”, a Stephanie Meyer – moje własne imię, nadając je swojemu bohaterowi, co uważam za jedno z bezczelniejszych posunięć ze strony moich kolegów po fachu. Tacy niby koledzy... Musiałem być sprytniejszy niż oni wszyscy, żeby zdążyć napisać coś, zanim mi to ukradną. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko przycziąć się i odnieść (a potem znieść) oszałamiający sukces. Ale żeby móc się przycziąć, najpierw musiałem znaleźć miejsce dla siebie. No i znalazłem. W kącie. W kącie wielkiej literatury. Chciałbym powiedzieć, że zanim nastąpił przełom i nagle okazało się, że na koncie bankowym mogą jednak istnieć cyfry NIEPOPRZEDZONE minusem, miałem się – jak wielu wybitnych pisarzy – różnych mało opłacalnych, ale za to intrygująco wyglądających w CV zajęć. Wiecie, zgodnie z zasadą: od frajera do bohatera. Niestety, w moim CV znalazłoby się tylko jedno takie zajęcie. Znalazłoby, gdyby nie to, że – ze względu na moją wrodzoną skromność – zawsze je jakoś pomijałem. Otóż przez rok pisałem scenariusze do filmów porno. I szło mi całkiem nieźle. I sprawnie. Mniej sprawnie szły mi za to rozmowy na ten temat.

– To co tam, synku, piszesz ostatnio? – spytała mnie mama podczas rodzinnego obiadu. Ze stresu

prawie połknąłem sznurek z pieczeni, który uprzednio bardzo długo wydłubywałem.

– Książkę dla dzieci – odpowiedziała za mnie Maria. Kłamstwo szło Marii zawsze lepiej niż mnie. Przełykała je bez problemu. Podobnie jak sznurek, który był jedynym niemięsnym elementem obiadu. Maria – ku rozpaczy mojej mamy – nie jadła czerwonego mięsa i nie zachodziła w ciążę, a – co gorsza – zupełnie jej to nie przeszkadzało, nawet kiedy mama robiła taką minę, jakbym zupełnie przypadkiem był JEDYNYM kandydatem do tronu i cały naród martwił się, że umrę bezpotomnie i nie będzie miał kto przejąć władzy w królestwie.

– Musimy ją przeczytać – ucieszyła się mama.

Przeczytać??? Co tu jest do czytania! To już nawet reżyser z producentem zwrócili mi uwagę, że piszę zbyt rozbudowane kwestie dialogowe.

– Dlaczego ten hydraulik TYLE gada? – zainteresowali się. – I kiedy on się wreszcie rozbierze?

– To nie mleczarz, żeby się od razu afiszował z nabiąłem – wyjaśniłem.

– MNIEJ gadania, WIĘCEJ nabiąłu – kategorycznie zażądał reżyser. – I niech on, na Boga, zdejmie te okulary. Widziałeś kiedyś hydraulika w okularach?

– W zasadzie tak – odpowiedziałem zupełnie szczerze.

– To musiało być niemieckie porno. Tylko ich stać na taką perwersję – westchnął reżyser.

No więc siedziałem i pisałem. W dzień – scenariusze, w nocy – książeczkę dla dzieci. To znaczy dla mojej mamy. Cały czas musiałem się pilnować, żeby nie pomylić kolejnego scenariusza z książeczką, co nie było łatwe, zwłaszcza kiedy musisz napisać od nowa dzieje królowny Śnieżki i siedmiu krasnoludków. Niestety pewnych błędów nie udało mi się jednak uniknąć...

– Do czego tej królownie potrzebny jest hydraulik? – spytała mama. – I dlaczego przyszedł ze swoim nabiąłem, skoro czekała na mleczarza?

– Dlaczego ten hydraulik pyta: „Kto pił z mojego kubeczka”? – spytał reżyser. – Jezu, stary, jesteś większym perwolem, niż przypuszczałem...

No, tak... To nie do końca miało tak wyglądać... Modliłem się tylko, żeby nie kazano pisać scenariusza do *Ali Baby i czterdziestu rozbójników*, bo zaczynali mi się kończyć hydraulicy. Na szczęście, po pół roku moje wysiłki w końcu zostały nagrodzone. Nie, nie dostałem nagrody przemysłu pornograficznego za całokształt twórczości. Ani tym bardziej nagrody publiczności od zrzeszenia hydraulików. Za to moje doświadczenie w pornobiznesie w końcu na coś się przydało. Książka, nad którą pracowałem między scenariuszami pornosów (a właściwie między scenariuszami pornosów i książeczką dla dzieci), odniosła PRAWDZIWIY sukces. Co prawda, tylko wśród gospodyń domowych i tylko takich 50+, ale zawsze to jakiś sukces. To pewnie dlatego, że z pracy przy pornobiznesie zapamiętałem jedną podstawową zasadę: mniej gadania, więcej nabiąłu. No i akcja musiała dziać się w KUCHNI. Aż dziw, że to chwyciło. Nagle okazało się, że pani Krysia z panią Stasią marzą o czymś więcej niż tylko o elektrycznej obieraczce do jajek i że tylko ja jestem w stanie im to dać. Bo pani Krysia z panią Stasią mają prawo nie tylko do bezpłatnej opieki dentystycznej, ale też do szalonego życia seksualnego, nawet jeśli to szaleństwo polega na tym, że od tej pory uprawiają seks z Marianem czy innym Stefanem w CZWARTKI zamiast w soboty. Szkoda tylko, że pani Krysia z panią Stasią polepszyły sobie życie seksualne kosztem mojego... Ale to zupełnie inna historia. Dobra, znowu nic nie napisałem. Idę spać. Jutro coś napiszę. Może. Nie obiecuję. Ciekawe, co robi Maria... Pewnie kładzie się spać. I co ma na sobie? Dziwne, jej koszula nocna, w której wygląda tak, jakby zachorowała i została wysłana do lekarza, leży pod łóżkiem, a to oznacza, że Maria ma w tej chwili na sobie wielkie NIC! Jezuuuu... Może jednak spróbuję dzisiaj coś jeszcze napisać.

Nina

Maria przygotowywała się do snu tak, jakby wyjeżdżała na trzy miesiące w głąb amazońskiej dżungli, bez dostępu do wody pitnej i depilatora.

– Zgaś, do cholery, to cholerne światło! – poprosiłam jeszcze uprzejmie. – Co ty tam robisz?

– Zmywam makijaż. – Usłyszałam z łazienki.

A nie, to przepraszam, to rzeczywiście potrwa. Nie wiem, co Maria nakłada na siebie, żeby wyglądać tak idealnie, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby właśnie zdejmowała twarz i wieszała ją obok ręcznika. Boże, co ona tam robi??? Jak tak dalej pójdzie, to za chwilę odkręci sobie drewnianą nogę i wyjmie szklane oko. A na koniec wyjmie BATERIE, i wtedy będę już miała stuprocentową pewność, że nie jest prawdziwa. Jak ja mam spać z nią w jednym łóżku? Przecież nie ogoliłam nóg. Na szczęście zdążyłam zażyć wszystkie leki. Nie wiadomo, kiedy ona skończy...

Maria

Boże, znowu ta lista z lekami... Nie można nawet przejrzeć się w tym lustrze jak należy, bo od czasu, kiedy Nina przykleiła ją tam po raz pierwszy (a miała wtedy jakieś piętnaście lat), lista trochę się wydłużyła. Co ja mówię? Zwiększyła swoją długość trzydziestopięciokrotnie. Co najmniej. Kiedy ją ostatnio widziałam, nie była taka długa. A już NA PEWNO nie było na niej niczego na zeszywniające zapalenie stawów kręgosłupa i amylazę trzustkową. Co to, do diabła, jest??? Nina przyjmuje dziennie takie dawki leków, że apteka powinna ją uhonorować medalem zasługi. Za to, że utrzymuje się przy życiu. I że utrzymuje aptekę, oczywiście. Pamiętam doskonale, że Nina jako dziecko dobierała leki kolorami. Kiedy tylko nauczyła się czytać – nazwami. A od kiedy zaczęła oglądać seriale medyczne – właściwościami. Żeby było jasne, Nina nie ma ŻADNEJ z chorób, na które się skarży. Nigdy nie miała. Tyle tylko, że po każdym odcinku *Doktora House'a* łapała kilka przypadłości naraz. Po porannych wiadomościach przypisywała sobie następne. A po wizycie u lekarza, gdzie chodziła sprawdzić, czy ma rację (i nie przyjmowała do wiadomości, że jest inaczej), a właściwie po wizycie w kolejce do lekarza, przydarzało jej się następne pół tuzina nowych chorób. Tak naprawdę to zanim weszła do gabinetu, miała już tyle schorzeń, że w zasadzie powinna trafić już tylko do naszego ojca, a nie do lekarza. Nie mam pojęcia, jakim CUDEM jej wątroba jest jeszcze na swoim miejscu. Nie mówiąc już o wątrobie lekarza... Nina z pewnością leży mu na wątrobie i odbija się czkawką.

– Idziesz czy nie?!

Mało przyjemny dla uszu głos Niny przypomniiał, gdzie jestem i kto tu rządzi. To oznacza, że – czy tego chcę, czy nie – muszę iść spać, chociaż jest dopiero dziesiąta. Po dziesiątej ojciec wykręca korki, żeby nic nie zakłócało ciszy nocnej. Chociaż NAPRAWDĘ nie wiem, co ma światło do ciszy nocnej. Jezu, GDZIE jest moja koszula nocna? To niemożliwe, żeby jej ze sobą nie zabrała! A jednak, nie zabrałam. Trudno, pożyczę od Niny. Mam nadzieję, że ma jakąś piżamę. A jeśli śpi nago??? Nie, to niemożliwe. Nie Nina. Znając jej wyjątkowo hipochondryczny, to znaczy higieniczny tryb życia, śpi zawinięta w FOLIĘ ALUMINIOWĄ. Albo w jałową gazę. O, to wygląda całkiem nieźle...

– Zostaw to!!! – ryknęła Nina. – To do trumny!

Jezu, ona ma już halkę do trumny??? Dobra, już dobra, pożyczę coś innego.

– To też! – wrzasnęła, zanim sięgnęłam po wieszak.

– Może jednak masz coś, co nie jest do trumny, ale do spania? – spytałam ostrożnie.

– Weź mój T-shirt. Wisi obok garsonki kwiaciarki – westchnęła zrezygnowana Nina.

– Jakiej znowu kwiaciarki? Aaa... kwiaciarki.

No, tak. Mogłam się tego spodziewać. W szafie Niny wiszą ubrania klientów. Martwych klientów.

– Dlaczego trzymasz te rzeczy w szafie?

– A gdzie mam trzymać? W lodówce? Ubrania trzyma się w szafie, nie?

– Ale dlaczego trzymasz je w SWOJEJ szafie?

– Bo twoja szafa jest już pełna.

Bosko. Ciekawe, jak ona się rano ubiera? Skąd wie, co jest czyje i czy przypadkiem nie pozbawiła kogoś sukienki do trumny? A, zapomniałam. Nina nie nosi sukienek, bo uważa, że sukienki nosi się tylko wtedy, kiedy trudno inaczej ustalić płeć. O, a to co? Czyżbym się jednak pomyliła co do niej?

– A to? – spytałam, wyciągając czarny koronkowy komplet bielizny. – Nie powiesz mi chyba, że to też jest kwiaciarki?

– Nie, piekarza.

– Co??? Chciał być w tym pochowany???

– Nie, ale jak jego żona dowie się, że przechowuje u nas prezent dla jednej ze swoich trzech aktualnych kochanek, to może i go w tym pochowamy.

A więc w szafie Niny, oprócz jej ubrań i ubrań zmarłych, znajduje się jeszcze bielizna kochanki piekarza. Świetnie.

Zapamiętać: Nie pożyczamy ubrań z szafy Niny. Ani tych, co należą do żywych, ani tych, co należą do zmarłych.

– Jezu, zamierzasz się położyć w tym roku czy może znaleźć ci jednak coś do trumny?! – usłyszałam spod kołdry. I to by było na tyle. Dobra, już dobra, kładę się.

Świetnie. NIE OGOLIŁA nóg.

Nina

Mam nadzieję, że ona nie zapomni, z kim śpi, i nie zacznie się do mnie nagle przytulać przez sen. Jeśli umrzemy w nocy, będzie skandal. Dwie martwe kobiety w głębokim uścisku? I na dodatek siostry! Ojciec by tego nie przeżył.

Jakub

Co robicie, kiedy nie możecie zasnąć? Liczycie barany? Próbowałem. Próbowałem nawet policzyć wszystkie barany z rzędu. Nie dałem rady. Na dodatek w trakcie zacząłem się zastanawiać, kto jest teraz ministrem obrony narodowej. Czy to ktoś z BRODĄ? Tak więc liczenie skończyło się jeszcze większym poirytowaniem. Musiałem wstać i sprawdzić, kto jest tym przeklętym ministrem.

Potem zdecydowałem się na jogę. Naprawdę. Zapisałem się na zajęcia. Założyłem nawet TRYKOT. Przez dwadzieścia pięć minut próbowałem zrobić skłon i dotknąć dłońmi własnych stóp, przez kolejne dwadzieścia pięć minut próbowałem się wyprostować. A potem był już koniec zajęć. Moja frustracja zaczęła narastać. Ostatecznie nie dosięgłem stóp, a nie jestem w ciąży, nawet spożywczej. Nawet nie chcę myśleć o tym, jak wygimnastykownicy muszą być ci, którzy potrafią sobie obgryzać paznokcie u stóp.

Później próbowałem sportu. Kupiłem DRES. Przejrzałem ofertę siłowni, która mieści się w moim bloku. Zmusiłem się, żeby wyjść z domu, co było największym wysiłkiem fizycznym, jaki musiałem podjąć w ostatnim ćwierćwieczu. Byłem gotowy do działania. Poszedłem, próbowałem (z miernym skutkiem) unieść sztangę, zanim okazało się, że to nie sztanga, ale kij do sztangi. Wyszedłem w asyście pogardliwych spojrzeń wszystkich obecnych tam pakerów i ciecica. Nie muszę chyba dodawać, że nie byłem zadowolony.

Próbowałem więc dalej, korzystając z repertuaru porad znajomych i z biblii każdego, kto ma dostęp do stałego łącza. Przed snem piłem naprzemiennie gorące mleko i wino, żułem korzeń waleriany, medytowałem nad podgrzewaczem z IKEA i posążkiem Buddy z nadwagą. I dalej nic, sen nie przychodził. Pewnie się teraz zastanawiacie, dlaczego, będąc lekarzem, nie sięgnę po zdobycze współczesnej medycyny i nie sieknę sobie trzech magicznych pigułek hydroksyzyny. Bo od tego właśnie zacząłem, żeby się przekonać, że współczesna medycyna ujęła mnie w ulotce w części poświęconej skutkom ubocznym. I zawsze okazywałem się być tym 1%, u którego występował rzadko (a właściwie wcale) dość mało popularny skutek uboczny tabletek nasennych, czyli BRAK SNU.

Boże, gadam i gadam, a jest już druga w nocy.

W nocy oglądałem telezakupy Mango. Godzinami patrzyłem z podziwem, jak panowie z treską zachwalają sprzęt kuchenny albo sportowy – tak potrzebne do życia jak pracownik na etacie do pchania karuzeli. Oglądałem powtórki talk show. I to tych najgorszego gatunku. Znacnie to na pewno: „Uprawiałam seks z kosmitą”, „Mam dziecko z Michaeliem Jacksonem”, „Jeśli sypiasz z bratem męża, zadzwoń na numer podany na dole ekranu” itp. Oglądałem psychodeliczną rybkę pływającą na dziecięcym kanale MiniMini. Z góry na dół. Z dołu do góry. Dopóki mnie nie zemdlilo. Froterowałem podłogę. Wyrzucałem wszystkie przeterminowane przyprawy, a te, które zostały, uszeregowałem alfabetycznie (miałem tylko problem z curry, bo pisze się przez „c”, a czyta przez „k”). Rozpakowywałem prezenty od rodziców z zeszłej Gwiazdki. Spinki do krawata, które tam znalazłem, dołączyłem do trzydziestu pięciu par już zalegających w szufladzie. Robiłem pranie. Nie zawsze z powodzeniem.

Zapamiętać: Nie mieszać białego z kolorowym, jeśli nie chcesz, żeby twoje wyjściowe koszule wyglądały jak flaga brytyjska.

I dalej nie spałem. Ani sam, ani z kimś. To drugie bardzo bolało Artura, który zaniepokojony moim życiem seksualnym, a właściwie jego brakiem, za wszelką cenę próbował mnie zeswatać chociaż na jedną noc. A właściwie TYLKO na jedną noc. Artur właśnie zostawił mi wiadomość na automatycznej sekretarce o treści: „Czekałem na ciebie trzy godziny w pubie, wałku, a ty znowu dałeś ciała. Pamiętaj, że narząd nieużywany zanika. Na litość boską, jesteś lekarzem, więc chyba zdajesz sobie z tego sprawę! Czyba nie chcesz obudzić się pewnego dnia z głębokim rozczarowaniem w gaciach”? Czy ja wiem... Czyba powinienem mu przypomnieć – jak lekarz lekarzowi – że narząd zbyt często wykorzystywany zużywa się, a nawet odpada. A to by mogła być prawdziwa tragedia dla kogoś, kto w tempie przygotowywania zupki błyskawicznej zdobywa numer dziewczyny podrywanej w barze, a potem – zapewne w tym samym tempie – pokazuje jej swój popisowy numer. Na koniec wykręca jej kolejny numer, znikając bez wieści, oczywiście, w tym samym tempie.

Jezu Chryste, która to godzina? Aha. Pięć po drugiej. Świetnie.

Maria

– Dzień dobry. Co na śniadanie? – spytałam i zaraz tego pożałowałam.

– Widziałaś? Skurczybyk pochował pana C., właściciela warzywniaka, i tego pijanego rowerzystę o jednej godzinie, rozumiesz? Za jednym zamachem! – ryknął ojciec, a Nina skwapliwie pokiwała głową.

No to smacznego. Dziś na śniadanie świeżutki NEKROLOG. Jeszcze ciepły, prosto z drukarni. Świetnie. Jak mogłam o tym zapomnieć? Ojciec i Nina zaczynają dzień od kawy i nekrologów (to znaczy Nina zaczyna dzień wcześniej, bo zjedzenie wszystkich pigułek zgodnie z listą przyklejoną do lustra w łazience trochę czasu zajmuje). Przeglądają po kolei wszystkie gazety codzienne. Oczywiście, OD TYŁU. Najpierw sprawdzają wszystkie nekrologi: naszej rodzinnej firmy i konkurencji. Potem z wypiekami na twarzy przeczesują najświeższe wiadomości, zaczynając od kroniki kryminalnej, gdzie – jak wiadomo – najszybciej można znaleźć trupa. To znaczy potencjalnego klienta. A na tego ZAWSZE mają chrapkę. Co nie zmienia faktu, że jestem głodna, a coś czuję, że po „obiecującej” wczorajszej kolacji nie czeka mnie nic dobrego. To znaczy nowego. Zerknęłam na talerze ojca i Niny: bekon, kiełbaski, jajecznica, a potem już tylko miążdżyca i zawał... Prawdziwe angielskie śniadanie, którego głównym składnikiem jest cholesterol. Czekać tylko, aż za chwilę pojawi się książę Harry w szlafroku. Albo i BEZ niego.

– Pochował teściową komendanta policji – zauważyła kwaśno Nina znad kawy i gazety. Miała na sobie rozciągnięty czarny T-shirt z Metallicą i spodnie od piżamy. Ojciec, jak zwykle, siedział w uniformie. Czy on go w ogóle zdejmuje do spania? Pewnie nie. Na wypadek, gdyby ktoś postanowił umrzeć w nocy. W końcu ojciec oferuje swoje usługi dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc jak by to wyglądało, gdyby, nie daj Boże, odebrał telefon w środku nocy w samej piżamie. Albo w podkoszulku i gaciach. Albo... Boże, przecież nie będę się teraz zastanawiać, w czym śpi mój ojciec. Wolę przyjąć, że śpi w uniformie. I w tej głupiej fryzurze „na księcia Karola”. Mógłby pójść do fryzjera.

– POCHOWAŁ FRYZJERA – odnotował cierpko ojciec.

No to wszystko przepadło.

– Kto? – ośmieliłam się w końcu wtrącić.

– Jak to kto? Tłusty Albert. – Nina rzuciła mi takie spojrzenie, jakbym spytała, czy papież nadal ubiera się na BIAŁO.

No tak. Tłusty Albert. Największa konkurencja ojca od... pewnie od czasów pierwszych zakładów pogrzebowych na świecie. Albert zwany był Tłustym nie dlatego, że był tłusty, ale dlatego, że miał wiecznie TŁUSTE włosy. I to nie dlatego, że ich nie mył, tylko dlatego że nikt mu nigdy nie powiedział, że nie powinien nakładać tyle żelu, gliceryny czy co on tam nakładał. Miał też przedziałek, który od wieków zaczesywał pośrodku (kto nie wierzy, może spróbować zmierzyć linijką). Ojciec i Tłusty Albert konkurowali ze sobą tak żażarcie, że czasami zastanawiałam się, czy będą też rywalizować o to, kto pochowa najstarszego człowieka na świecie (choć z pewnością taki człowiek mieszka sobie w Japonii i nie ma pojęcia o istnieniu ani ojca, ani Tłustego Alberta) i matkę Tłustego Alberta. Bo Albert wciąż mieszkał z matką. Tak przynajmniej mówią. Nikt zresztą tej matki nigdy nie widział. Swoją drogą, co to za matka, która nie zwróci uwagi własnemu synowi, że ma tłuste włosy?

– Czy to mleko jest odtłuszczone? – spytałam, zaglądając nieufnie do kartonika. Oczywiście, że nie. Nawet gdybym była całkiem ślepa, mogłabym ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że to 3,2%. Czy

w tej kuchni zjem coś, co nie jest węglowodanem albo tłuszczem nasyconym?

– Kiełbasę? – spytał ojciec i nie podnosząc głowy znad gazety, podał mi talerz.

– Idę do pracy – westchnęłam.

– A ja do lekarza – poderwała się nagle Nina.

– Co ci jest? – rzuciłam jej podejrzliwe spojrzenie.

– Nic – odpowiedziała równie nieufnym spojrzeniem spode łba.

– Kto umarł? I na co? – spytałam, marszcząc brwi. Jestem więcej niż pewna, że „pożyczyła” sobie chorobę od kogoś z nieboszczyków i właśnie niesie ją do lekarza.

– Może jednak pojedziesz autobusem zamiast metrem? – zasugerował mi ni stąd, ni zowąd ojciec, składając w nabożnym skupieniu gazetę. Coś mi się wydaje, że pochował albo właśnie będzie chował kogoś, kto wpadł pod metro. Albo wypadł z metra. Albo potknął się w metrze i już się nie podniósł. Taki właśnie był ojciec. Bardzo szybko można było się domyślić, kto tym razem jest na tapecie. Wiedzieliśmy to z Niną na długo przed tym, ZANIM zobaczyliśmy zwłoki w kostnicy. Kiedy zabraniał nam chodzić na basen, oznaczało to, że właśnie pochował topielca. Kiedy zakazywał nam jeździć na rowerze, był to jawny znak, że przekreślił się rowerzysta. Kiedy nie pozwolił nam iść do kina, mogłyśmy być pewne, że ktoś zadławił się popcornem albo zachłysnął coca-colą. Albo umarł ze strachu. Albo ze śmiechu. A kiedy zabronił nam umawiać się z chłopakami... A nie, to chyba nie miało nic wspólnego z żadnym pogrzebem. Rzeczywiście, przypominam sobie, to akurat podsunął ojcu jego znajomy, ginekolog, który straszył swoje córki sztucznym brzuchem. Zawsze kiedy któraś z nich szła na randkę, kazał jej przez pół godziny nosić brzuch, a potem przez kolejne pół zajmować się dzieckiem z gumy, które miało urwaną nogę i guzik wyłączający jak najbardziej niegumowy płacz. A wszystko to z troski, bo jak twierdził, zbyt wiele porodów nastoletnich matek przyszło mu odbierać, żeby teraz mógł spać spokojnie, kiedy jego córki są poza domem, a właściwie poza WŁASNYM łóżkiem. Nie powiem, poskutkowało: jedna z córek została zakonnica, druga siedzi za napad z bronią w rękę na autobus szkolny.

– Dobrze – westchnęłam raz jeszcze. W końcu nic mi chyba nie grozi, skoro córka ginekologa siedzi w pace. Poza tym nie zamierzam jechać autobusem szkolnym. – Dobrze, pojedę autobusem.

Nina

Już widzę, jak jedzie autobusem...

Maria

Oczywiście, że nie pojedę żadnym autobusem. Pojadę metrem. Albo nie, mam lepszy pomysł...

– Pożycz mi samochód.

– Mowy nie ma. – Odpowiedź Niny była zgodna z moimi przypuszczeniami.

– Pojedziesz samochodem ojca. No, proszę cię, nie bądź zgred – odwołałam się do jej poczucia przyzwoitości, które (od kiedy podkablowała mnie ojcu, że regularnie golę jego elektryczną maszynką do golenia swój kaszmirowy sweter) jest raczej NIEOBECNE.

– Będę zmywać po tobie naczynia przez tydzień... – spróbowałam przekupstwa. No dobra, to mogłoby zadziałać, gdybyśmy były jeszcze w podstawówce...

– Właściwie to jest jedna rzecz, którą mogłabyś dla mnie zrobić... – zaczęła Nina po namyśle.

Super! Chociaż czy ja wiem... To w końcu Nina. Czego ona może ode mnie chcieć? Mam rozładować tira z jej lekami na następny miesiąc? Odebrać od rzeźnika całą krowę na kolację? A może wyprasować

rzeczy do trumny z jej szafy? Wiem, wiem. Poniosło mnie trochę. Pewnie chodzi o jakiś drobiazg. Odebranie płaszcza z pralni, pożyczenie butów na obcasach, kupienie po drodze pietruszki...

– Zastąpisz mnie jutro w kostnicy.

No to wytoczyła ciężkie działo.

– Zwariowałaś?!

– Nie, to nic trudnego. Musisz tylko udawać, że wiesz, o co chodzi, i uważać, żeby nie palnąć nic głupiego – powiedziała to tak, jakby chodziło o wizytę w muzeum sztuki współczesnej, gdzie nigdy do końca nie wiadomo, kiedy kupa jest sztuką, a sztuka kupą.

– Ty naprawdę zwariowałaś! Mam się zajmować umarlakami??? – Nie wierzę, że ona mi to proponuje. Chociaż po tym, co zobaczyłam w jej szafie...

– O nie, moja droga, umarlaków nigdy w życiu bym ci nie powierzyła. Zwłaszcza po tym, co zrobiłaś z moim kotem – powiedziała z grobową miną.

– To był wypadek.

– Jasne.

Że też ona musi to pamiętać! Czy to naprawdę moja wina, że kot okazał się posiadać skłonności samobójcze i po kilku nieudanych próbach zdecydował się jednak doprowadzić rzecz do końca, odczekawszy uprzednio, aż Nina wyjedzie na wakacje? Inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć jego wyskoku. I to z pierwszego piętra. Prosto na ulicę. Owszem, nie powiem, spadł na cztery łapy, ale po tym, jak przejechał go samochód, miał ich już sześć. W pierwszej chwili chciałam udawać, że nie mam z nim NIC wspólnego (ignorując zupełnie fakt, że kot miał obrozę, na której Nina informowała uczciwego znalazcę, żeby zwrócił kota na adres zakładu pogrzebowego „Ryszard&Córki”). Potem jednak uznałam, że Nina na pewno chciałaby się z nim pożegnać, więc włożyłam go do zamrażarki. To znaczy najpierw do worka foliowego, a potem do zamrażarki. A potem o nim zapomniałam. A ojciec jest współwinny. Tak, tak, nasz ojciec! Mógł jej powiedzieć, że kot uciekł/stał się psem/robi karierę w Hollywood, a nie jak gdyby nigdy nic wyciągnąć go na kolację. Wiem, wiem, to był akurat mój błąd. Skąd ojciec mógł przypuszczać, że między mrożoną wołowiną a fasolką najspokojniej w świecie leży sobie KOT?

– Co tu robi ten kot? – spytał ojciec, ostrząc nóż. – Mamy tu chińską restaurację czy co? Zresztą, jeden pies. – Machnął ręką i sięgnął po wołowinę.

Nina okazała się mniej łaskawa. Dwa dni później, kiedy jedliśmy kolację, rzuciła od niechcienia: „Zupełnie nie czuć tych podrobów, które dodałam do tej wegetariańskiej zapiekanki, prawda?”. Oczywiście chwilę później – dzięki mnie – wszyscy mieli okazję nie tylko poczuć, ale i zobaczyć te podroby. Niektórzy nawet raz JESZCZE.

– Dobrze, już dobrze. Posiedzę za ciebie w tej cholernej kostnicy – poddałam się. – Ale wcale nie będzie mi się to podobać – uniosłam się honorem.

– Proszę. – Nina podała mi kluczyki z taką miną, jakby zmuszono ją do przypięcia mi Orderu Imperium Brytyjskiego za wszystko, co do tej pory zrobiłam dla brytyjskich kotów, jeśli nie dla kociej rasy w ogóle. – Samochód stoi przed zakładem.

No i super. Dała mi kluczyki do karawanu.

Jakub

Od ósmej czekam na Ninę. Dlaczego jeszcze jej nie ma? Czy nikt dzisiaj nie umarł??? Nie, to chyba niemożliwe, prawda? Prawda???

Zapamiętać: Poranek bez Niny jest gorszy niż poranek z Niną.

Nina

No to jestem spóźniona. A muszę jeszcze zdążyć na pogrzeb o dwunastej. Spokojnie. Obliczmy. Jest wpół do dziesiątej. Jeśli pojedę metrem, co zajmie mi jakieś dwadzieścia minut, powinnam zdążyć odebrać akty zgonu, zamówić wieńce i wpaść do apteki. Tak swoją drogą, muszę się też pospieszyć z zażywaniem ibuproenu, bo termin ważności kończy się za trzy dni. Dobrze, to będzie jedenasta trzynastka. Oczywiście o ile nie przejedzie mnie po drodze tramwaj. Dlatego warto mieć zawsze kwadrans w zanadrzu na wypadek uprowadzenia/wygrania w totolotka/poznania kogoś wyjątkowo atrakcyjnego, chociaż to ostatnie jest akurat tak samo realne, jak to drugie. Dobra, jeśli nie spotka mnie żadna z tych trzech rzeczy, skoczę odebrać garnitur ojca z pralni. I buty. I sernik na stypę. To oznacza, że na lekarza zostanie mi... pół minuty? A jeśli tym razem to coś naprawdę poważnego? Jeśli nie dożyję pogrzebu? Zwłaszcza tego o dwunastej? A to wszystko dlatego, że metro jest PONIŻEJ godności nóg Marii. No to pojedzie karawanem. Przynajmniej przypomni sobie dzieciństwo. I młodość, co będzie zapewne bardziej traumatyczne. Ojciec podwoził nas do szkoły karawanem. Karawanem też nas odbierał. Na wywiadówki też zajeżdżał karawanem. I karawanem zawiózł Marię na studniówkę. I oczywiście odebrał, żeby przypadkiem nie sprawdził się CZARNY sen znanego nam wszystkim ginekologa. Dla mnie samochody nie miały marek, ale kolory, dlatego było mi wszystko jedno, czym jeżdżę. Jeździliśmy z Pablem karawanem do kina i do McDonalda. Woziliśmy nim zakupy i płytki do łazienki organisty. Kiedyś nawet Pablo pożyczył karawan, żeby pojechać z jakąś dziewczyną za miasto. Dziewczynie chyba się podobało, bo był to najdłuższy związek w życiu Pabla. Trwał aż dwie godziny, z czego półtorej zabrało mu pojechanie po dziewczynę i odwiezienie jej do domu. Jezu, chyba tym razem naprawdę mam raka. Wiedziałam, Maria za długo wczoraj paliła światło. Trzeba było wykręcić korki jeszcze przed dziesiątą. Teraz mam za swoje. I mam syndrom białego fartucha. Kocham służbę zdrowia. Kręcą mnie terminy medyczne. Mam nadzieję, że tę PERWERSJĘ nazwą kiedyś MOIM imieniem. Niemniej jednak to straszne. Czy trzeba koniecznie płacić składkę zdrowotną, żeby jakiś (a właściwie jeden i to konkretny) mężczyzna w białym fartuchu dotykał cię za darmo? I o co w takim razie chodzi z tymi, którzy nie chcą cię dotykać podczas badania? Czy nikt im nie płaci? I gdzie, do licha, idą w takim razie moje składki???

Jakub

Tym razem nie miałem nawet szansy, żeby zapytać, co jej jest, bo Nina wpadła do gabinetu w takim pośpiechu, jakby zostało jej pięć minut życia i tylko ja byłbym w stanie je przedłużyć/skrócić/urozmaicić (COKOLWIEK to znaczy, chociaż mam nadzieję, że wymagałoby metody usta-usta). Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za parawan (gdzie mogłoby być intymnie, gdyby nie okno bez żaluzji na główną ulicę i pani Mariola czy inna Irena w kamienicy naprzeciwko, która chyba nie żyje i została wystawiona przez rodzinę tylko dla pobierania emerytury, bo to niemożliwe, żeby cały czas siedziała w oknie), po czym zaczęła rozpinać bluzkę (o Boże, ona NAPRAWDĘ to robi!), żeby w końcu wcisnąć moją dłoń między swoje piersi.

– Czujesz?

Czy czuję?! Trzymam rękę między piersiami Niny, która ma na sobie czarny koronkowy stanik (taki, o jaki nigdy bym jej nie podejrzewał), a ona mnie pyta, czy CZUJĘ???

– Tak – odpowiedziałem bez wahania.

– Tak?!

– Tak... to znaczy... nie! Nic tam nie ma. – Płatałem się w zeznaniach, bo zapomniałem na chwilę, że Nina nie przychodzi tu przecież wkładać dla obopólnej przyjemności mojej ręki między swoje piersi, tylko przywlokła znów jakąś chorobę, która na pewno nie istnieje. To znaczy, oczywiście, istnieje, ale tylko w jej chorej wyobraźni. Wyobraźnia to jedyne, co jest w przypadku Niny chore.

– Na pewno? – spytała, przyglądając mi się podejrzliwie.

Boże... To nie jest normalne. To ZDECYDOWANIE nie jest normalne. A już na pewno to nie jest humanitarne. Nabawię się przez nią ciężkiej nerwicy. Na litość boską, to prawie jak stosunek przerywany! A, zapomniałbym, od pół roku łączy nas NIEPRZERWANY stosunek przerywany.

– Na pewno?! – ryknęła Nina.

– Na pewno – powtórzyłem, nie wiedząc, czy odpowiadam sobie, czy jej.

– Ale jesteś pewien? Rano zdawało mi się, że coś wyczuwam... – Zmarszczyła brwi, wkładając rękę pod stanik. Jak będzie mi tak wiercić dziurę w brzuchu, to trafi prosto przez żołądek do serca.

– NIC TAM NIE MA – wycedziłem, tłumiąc poirytowanie (a może jeszcze coś innego...). Po co, na Boga, wkładać rękę faceta między swoje piersi, a potem ją natychmiast wyciągać, chociaż ręka wolałaby – nawet pod groźbą odgryzienia – pozostać tam na zawsze? Boże, Boże, czy do biustu musi być zawsze dołączona kobieta? Dobrze. Czas na grę wstępną.

– Kto umarł?

– Nikt.

Jasne. Tego, że ktoś umarł, jestem pewien, jak tego, że nigdy nie włożę kałesonów. Pytanie tylko na co. Chyba muszę zacząć przeglądać nekrologi. Kiedy ustalę, kogo dziś chowa jej ojciec, łatwiej mi będzie postawić diagnozę.

– Na pewno?

– Dobrze się czujesz? – Spojrzała na mnie tak, jakbym właśnie ją spytał, jaki jest wzór na pole kwadratu. Chociaż, jak znam życie, Nina odpowiedziałaby, że taki sam jak zwykle. Boże, jak mam z nią rozmawiać? Jeśli przejdzie ci przez myśl, że Nina ci się podoba, usiądź, policz do dziesięciu i poczekaj, aż ci przejdzie.

– Czego ty tam znowu szukasz? – Załamane się, bo Nina wsadziła właśnie głowę do swojej torby. Jezu, co kobiety mają w tych torbach? Czasami myślę, że święty Graal, kamień filozoficzny i zaginiona arka, której szukał Steven Spielberg razem z Harrisonem Fordem, odnalazłyby się właśnie w damskiej torebce.

– Słownika.

– Co?

– Najwyraźniej rozmawiam z idiotą, nic nie rozumiesz.

Czy ona jest bez mózgu, czy tylko bez serca? OK. Pamiętajmy, że nie dostaję dodatku za pracę w szkodliwych warunkach.

– Wypiszesz mi tramal?

Boże, co ona z nim robi? Karmi kaczkę? Sypie zamiast ryżem na nowożeńców? Daje na tacę? No bo chyba nie zażywa??? Oczywiście, że wypiszę, bo jak znam życie, jutro przyjdzie z chorobą, której nie zna nawet encyklopedia zdrowia, i zrobi mi taką scenę, że sam będę ją błagał na klęczkach o wypisanie czegokolwiek. O choroba jasna!

– Masz – powiedziałem, wrywając receptę z bloczka. – I postaraj się być miłsza. Na to nie mogę wypisać ci recepty, ale potraktujmy to jak poradę lekarską.

– Chcesz, żebyśmy była miła, tak? Musiałbyś mi potem dać L4.

No tak. Tylko Nina musiałaby to odchorować.

Nina

Dlaczego jestem niemiła? Hmm... Dobre pytanie. Może dlatego, że zawsze kiedy próbuję być miła, to mnie MDLI? A wolałabym jednak nie spacerować po ulicy z wiaderkiem i nie siedzieć w autobusie z woreczkiem foliowym. Bo zawsze, kiedy ktoś chce, żebym była miła, rozmowa kończy się kaucją wpłacaną przez ojca? A może dlatego, że miła to może być chwila, kiedy upijasz do nieprzytomności swojego byłego chłopaka, zdejmujesz mu gacie i zostawiasz na poduszce krótką wiadomość: „To była wspaniała noc. ROMAN”. A może po prostu jestem niemiła z natury, a jak wiadomo, z naturą nie masz co walczyć, bo i tak nie wygrasz. Jeśli będę kiedykolwiek wyglądała na zadowoloną, to walnijcie mnie w łokieć, żeby się upewnić, czy nie jestem MARTWA.

Jakub

– Spałeś z nią? – spytał Artur, kiedy odprowadzałem wzrokiem Ninę, która opuszczała mój gabinet z wyłudzoną receptą i wyjątkowo niemiłym (nawet jak na nią) wyrazem twarzy.

– To moja pacjentka – zwróciłem mu taktownie uwagę.

– Ale z tego, co zauważyłem, nie jest zakonnica. – Uniósł brew, jakby zapomniał, że to ja, Kuba, a nie kolejna dziewczyna do ogłupienia na „masz piękne oczy”. Jakby piersi miały oczy... – Jest lesbijką? Ślubowała czekać z seksem aż do ślubu? Nie goli się pod pachami? Stary, obudź się w końcu! To żywa kobieta! Widziałeś chociaż jej cycki?

Widziałem o wiele więcej, niż możesz sobie wyobrazić, Artur, tyle tylko że na zdjęciach. Głównie RENTGENOWSKICH.

– Dziękuję. – Odebrałem od dziewczyny z rejestracji plik kart pacjentów, którzy przyjdą po lunchu. Ciekawe, co tym razem mnie czeka... A tak, zapomniałbym. NIC. Wrócę do domu. Nie, najpierw pójde do supermarketu. Znów kupię w przecenie coś, czego już mam na pewno ze trzy szafki. Wyrzucę śmieci. Zjem zapiekankę, która leży w lodówce od 1992 roku. Upewnię się, czy nie odcięli mi kabłówki. Posłucham, jak sąsiedzi też nie uprawiają seksu. A potem będę żuć korzeń waleriany przed snem. Przed snem, który nadejdzie mniej więcej w tym samym czasie, co likwidacja urzędu skarbowego i Poczty Polskiej. Tak. Mam FASCYNUJĄCE życie.

– Leci na ciebie – zauważył z przekonaniem Artur.

– Nina?

– Jaka znowu Nina? Laska z rejestracji! Dobrze się czujesz, stary? – Artur poświecił mi w oczy lekarską latarką, którą zawsze nosi w górnej kieszeni fartucha.

– Tak. Idziemy jeść?

Oczywiście, że nie czuję się dobrze. Nie śpię od miesiąca. Nikt nie czułby się z tym dobrze. No chyba że stróż nocny.

– Kim jest Nina? – zainteresował się Artur, z ustami pełnymi marchewki z groszkiem. Nigdy nie miałem pewności, czy jedzenie, które serwują w szpitalnej stołówce, obowiązuje ścisły zakaz bycia przyprawionym, dosolonym i zjadliwym, czy to tylko ja, jako jedyny trzydziestolatek na świecie, straciłem przedwcześnie zmysł smaku i powonienia.

– Ziemia do Kuby! – ryknął Artur. – Kim jest Nina?

– Moją...

– Taaak? – zainteresował się.

I co ja mam mu teraz powiedzieć? Że kim ona niby jest? Córką brata mojego listonosza? Poznaną wczoraj przyrodnią siostrą? Misjonarką z Kambodży?

– Pacjentką.

– Uff... To dobrze, bo już myślałem, że niedługo sam będę musiał się z tobą umawiać.

– Błagam cię...

– Musisz z kimś sypiać – wyjaśnił z taką miną, jakby mnie ostrzegał przed otwieraniem okna w samolocie. – To dla twojego dobra. Dla higieny. Dla zdrowia. A zdrowie jest najważniejsze.

– Artur, nie sypiam od miesiąca. Mogę umrzeć.

– Bardziej martwi mnie to, że nie uprawiasz seksu. Na to umrzesz szybciej.

– Proszę cię, świat nie kręci się wokół seksu.

– Jezu, oczywiście, że się kręci. Wszyscy sypiają ze wszystkimi. Jude Law sypia z opiekunką swoich dzieci, Angelina z Bradem, księżę Karol z Camillą Parker Bowles...

Tego OSTATNIEGO mógł mi jednak oszczędzić. No i znowu muszę wziąć aspirynę.

– Stary, masz naprawdę przesrane – powiedział z autentycznym (o ile w przypadku Artura, który prowadzi kalendarz z zapiskami, której kobiecie się oświadczył, której obiecał kolację, ale niekoniecznie ze śniadaniem, cokolwiek może brzmieć autentycznie) współczuciem. – Wyglądasz jak zombie. Brałeś hydroksyzyne?

– Hydroksyzyne, xanax i milion innych rzeczy.

– Musisz iść do lekarza.

– Jezu, Artur, jestem lekarzem.

– Nie o takiego lekarza mi chodzi.

– A o jakiego?

Spojrzeliliśmy równocześnie w kierunku stolika pod oknem, gdzie Julian z oddziału psychiatrycznego oddzielał właśnie rybę od ryby przy użyciu widelca i widelca. Oczywiście, metalowego. Oczywiście, przyniesionego z domu. Julian w żadnym wypadku nie użyłby plastikowego jednorazowego widelca zawiniętego w papierową serwetkę. Jest ponad to. Julian należy do tego typu ludzi, którzy traktują krawat jako integralną część własnej osobowości. I do tego typu ludzi, którzy jadają cappuccino nożem i widelcem. Wszystkich swoich pacjentów pytał, czy odmawiają modlitwę przed posiłkiem i co jest stolicą Syrii. Poza tym wiedzieliśmy, że zbiera WSZYSTKIE paragony i je kseruje.

– Nie – stwierdziliśmy z Arturem w tym samym momencie.

– Dobra, mniejsza o Juliana, znajdziesz kogoś – mruknął Artur, siorbiąc Sprite'a z puszki.

– Nie pójdę do terapeuty.

– Jezu, Kuba, nie każę ci iść na badanie prostaty, tylko pójść z wizytą do miłego, starszego pana, który przyjmie cię w gabinecie z porożem jelenia nad biurkiem i spyta, czy śnią ci się Indianie.

– Daj spokój...

– To ty daj spokój. Ogarnij się, chłopie, bo pewnego dnia obudzisz się z ręką w piżamie.

I mówi mi to facet, który wczoraj napisał w męskiej toalecie, że „onanizm wzmacnia organizm”.

Maria

No dobra. Jadę karawanem. Wielka mi rzecz. Samochód jak każdy inny. Tylko trochę bardziej... czarny. Skąd mogłam wiedzieć, że kiedy Nina mówi: „Weź czarny samochód”, ma na myśli KARAWAN. Ale właśnie taka jest Nina. Nie zna się na samochodach. Zawsze kiedy ktoś ją pytał, jaki ma samochód, odpowiadała, że czarny. Wiem, sama jestem sobie winna, skoro zostawiłam samochód Edwardowi. Nie

wiem tylko po co, skoro on w ogóle nie wychodzi z domu. Ale właśnie tacy są mężczyźni. Gdyby mogli, wjechaliby samochodem do łazienki.

A po umyciu zębów podjechaliby do sypialni. Edward zawsze twierdzi, że samochód jest mu potrzebny. Na wszelki wypadek. Gdyby o pierwszej w nocy przypomniało mu się, że nie ma mleka do kawy. Albo gdyby zjadł tuńczyka z puszki i doszedł do wniosku, że był przeterminowany i właśnie umiera (Edward, nie TUŃCZYK). Mniejsza z tym. Edward to idiota i więcej nie zostawię mu samochodu. Ciekawe, co on tam robi? I czy ta wybitna książka ma się ku końcowi? Bo jak na razie to ku końcowi zbliżam się ja i moja cierpliwość. Trzeba było jechać metrem. Czort mnie podkusił z tym samochodem! Dobrze, zajadę przed uczelnię karawanem. Też mi wydarzenie. A ten co?! Zjeżdżaj, gówniarzu! Kretyn, jak Boga kocham. Oczu nie ma czy co? Pchać się pod samochód jak jakaś cholerna Ofelia. Jezuu, przecież Ofelia się utopiła. Co z tobą, Maria? Do licha, wykładasz przecież Szekspira! Czy on się podniósł, czy nie żyje? Biegać mu się zachciało! Nienawidzę tych idiotów uprawiających jogging. Nie ufam im. To właśnie oni najczęściej znajdują zwłoki. Kiedyś przeczytałam ojcu fragment z kroniki kryminalnej: o małżeństwie, które znalazło ciało podczas porannego joggingu. Ojciec spojrzał na mnie i śmiertelnie poważnie spytał: SUGERUJESZ, ŻE POWINIENEM ZACZAĆ UPRAWIAĆ JOGGING? Jezuu, no i się przewrócił! Chyba mu nie najechałam na stopę? A jeśli najechałam? Mam nadzieję, że żyje. Brawo, jeszcze mi tylko zwłok brakuje do szczęścia. Zaraz, zaraz, czy ja przypadkiem nie wiozę już jakichś???

Jakub

Może Artur ma rację. Może to rzeczywiście problem psychosomatyczny. Może żucie korzenia waleriany faktycznie nic mi nie da. Może potrzebuję swojego osobistego Freuda, który spyta mnie o to, czy podoba mi się własna matka i czy jadam mielonkę turystyczną razem z puszką, czy może jednak z puszką, musztardą i BITĄ ŚMIETANĄ.

– Czy pan mnie w ogóle słucha???

– Tak, oczywiście – przytaknąłem szybko.

Oczywiście, że jej NIE SŁUCHAM. To jest jakiś żart. Trzech pracowników korporacji z rządu. Najgorszy gatunek człowieka, obywatela i pacjenta. Pokolenie ostatniej litery alfabetu. Z jak zajob. Wstają o szóstej rano, żeby uprawiać medytację/deklinację/defekację albo wszystko jedno co, byle brzmiało egzotycznie. Siedząc w pozycji lotosu, surfują po internecie albo powtarzają francuskie/hispańskie/tajwańskie słówka. Jedzą muesli z owocami i popijają energizerami. Przed wyjściem dokleją sobie uśmiech z reklamy Colgate. Pracują w sterylnych biurkach, gdzie wszyscy biorą urlop, aby ukryć fakt, że miewają przeziębienie/biegunkę/opryszczkę. Kupują w supermarketach kilogramy niepotrzebnych, za to bardzo drogich rzeczy. Koniecznie w EKOLOGICZNYCH torbach (chyba tylko po to, żeby zakamufłować obecność miliona woreczków foliowych zwędzonych w dziale z warzywami i wykorzystywanych później do owijania kanapek). Wracają do swoich przytulnych mieszkań, gdzie już od progu wita ich wiejąca szwedzkim chłodem IKEA. Wyjmują z zamrażarki uszeregowane według dni tygodnia gotowe obiady, które traktują wściekłą wiązką elektronów z DROGIEJ mikrofalówki. Zjadają te obiady, coraz szybciej skacząc po kanałach plazmowego telewizora. Idą spać, zastanawiając się, jak to w ogóle możliwe, że są tak fantastyczni, a ich nazwiskiem nie nazwano jeszcze głównej ulicy w mieście i że nie pojawili się w teledysku Madonny.

Jak mówiłem, pracownik korporacji to najgorszy rodzaj pacjenta. A TA kobieta jest najgorsza ze wszystkich, jakich przyjąłem przez całe swoje życie. Nie chce mi się wierzyć, że jest szefową PR

w jakimś koncernie farmaceutycznym. Chyba że jest zatrudniona przez konkurencyjny koncern i robi temu pierwszemu CZARNY PR. Przez pierwsze dziesięć minut myślałem, że jest FACETEM. Dopiero potem zorientowałem się, że żaden facet nie doszedłby z samochodu do mojego gabinetu w szpilkach. No chyba że po pijaku. Albo po zakładzie o grubą kasę. Ale wtedy, jak powszechnie wiadomo, WSZYSTKO jest możliwe. Kiedy tak na nią patrzę, przypomina mi się dowcip, który Artur opowiedział mi podczas lunchu i który w ogóle mnie nie rozśmieszył. Znacie to? Idzie Czerwony Kapturek przez las i spotyka wilka. „Wilku, dlaczego masz takie wielkie oczy?” – pyta. „Nie widzisz, że sram?!” – odpowiada wilk.

Tak, ten opis pasuje jak ulał do owej nieszczęsnej kobiety, która siedzi właśnie naprzeciwko mnie. Ma taki wytrzeszcz, jakby ktoś jej przed chwilą NADEPNAŁ na głowę. I nie ma ust. Albo po prostu zapomniała ich zabrać. A ta jej fryzura... Przez chwilę myślałem, że ma pończochę na głowie. A jeśli nie ma, to powinna ją natychmiast założyć i naciągnąć sobie na twarz. Jak to możliwe, że pracując w zastranej korporacji i podcierając sobie tyłek wypłatą, człowiek nie może sobie kupić nowej twarzy??? Jak ona może z taką twarzą reprezentować cokolwiek innego niż budkę pana Mietka z KEBABEM albo reklamę maści na opryszczkę genitaliów? Boże, ależ jestem okrutny. W końcu to nie jej wina, że wygląda jak po wulkanizacji. Jej też jest na pewno przykro.

– Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, kogo ja znam?! – wrzasnęła.

Aha, jak rozumiem, w ogóle nie jest jej przykro. I wcale jej nie przeszkadza to, jak wygląda.

– Przepraszam, ale z nas dwojga to, zdaje się, tylko ja jestem teraz w pracy, więc z łaski swojej niech mi pani pozwoli wykonywać moje obowiązki – powiedziałem przez zaciśnięte zęby. Uuups, chyba nie powinienem był tego mówić... Jej oczy zaraz znajdują się na moich kolanach, a ja na pewno nie zamierzam ich zbierać i odkładać na miejsce. Chryste, czy ktoś kiedyś dotykał tę kobietę? Nie licząc oczywiście tego, kto MUSIAŁ odebrać poród. Jezu, o czym ona mówiła do mnie przez ten kwadrans? Nie notowałem, oczywiście... Ale pewnie gadała o tym samym, o czym gadają oni wszyscy, kiedy wyjdą wreszcie na powietrze i przeżyją szok, że świat poza korporacją nie wygląda jednak jak krajobraz księżycowy.

– Zrobimy morfologię... Czy jest taka możliwość, że jest pani... w ciąży? – Nie byłem pewien, czy jestem dość silny psychicznie, żeby powiedzieć to bez grymasu obrzydzenia na twarzy, ale niestety, każdą kobietę trzeba o to spytać. Na wszelki wypadek. I żeby Janek z ginekologii nie miał więcej wolnego czasu niż ja. A więc musiałem spytać o ewentualną ciążę. Nawet jeśli TA TUTAJ jest kobietą tylko dlatego, że tak ma w dowodzie. Jedno wiem na pewno – jeśli ona jest w ciąży, to jest to z pewnością drugie w historii NIEPOKALANE poczęcie.

– Słucham?! Pan chyba żartuje! – ryknęła.

– Byłby to świetny żart, gdyby była pani mężczyzną. – Teraz nie byłem pewien, czy mojej zaciśniętej szczęki nie będzie musiał rozwierać Wiktor z chirurgii stomatologicznej, tak bardzo się starałem, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Chyba przydałby się pani urlop – zacząłem nie bez satysfakcji, wiedząc, że w słowniku podręcznym pracownika korporacji nie ma takich słów na literę „u”, jak: „ustęp”, „uryna” czy „urlop”. Zresztą w jej przypadku urlop to drugorzędna sprawa. Jej przede wszystkim przydałaby się lobotomia.

– Co?!

– Urlop jest wtedy, kiedy wychodzi pani z pracy. Na zewnątrz – dodałem dla ścisłości. – Wyjeżdża pani poza miasto...

... przestaje panią boleć głowa i kark. Tak, a potem ZABIJA panią świeże powietrze i już nigdy, przenigdy nikt nie musi pani oglądać. Próbuję sobie wyobrazić jej urlop. To znaczy normalny urlop. Taki, jaki ma pan Józef ze stróżówki, pani Marzenka z warzywniaka i jaki powinienem mieć ja, kiedy w końcu go kiedyś wezmę. Widzę ją, jak wyjeżdża za miasto, zaszczepiwszy się uprzednio przeciwko powietrzu,

glebie i kolorowi zielonemu. I przeciwko panu Romanowi z budki z hot dogami. Jak ma problem ze skasowaniem biletu w autobusie. Jak zwraca się do współpasażera siedzącego obok, zapominając, że nie jest u siebie w biurze i tekstami typu: „Podskakujesz, śmieciu? Na twoje miejsce jest czterdziestu w kolejce” lub „Jeśli myślisz, że urwana głowa to wystarczający powód, żeby iść na L4, to się grubo mylisz” raczej nic nie wskóra. Jak wysiadając z PKS-u, zakłada na wszelki wypadek żółte gumowe rękawice, żeby otworzyć sobie drzwi, które przecież są skażone niekorporacyjnością. A potem wpada w panikę z nadmiaru tlenu i szybko otwiera laptopa, żeby się uspokoić lekturą służbowych e-maili.

– Tu ma pani skierowanie na badanie. – Próbuję zachować minimum profesjonalizmu, chociaż najchętniej walnąłbym głową w ścianę. JEJ głową, oczywiście. Zaraz, zaraz. Są przecież INNE sposoby.

– Trzy próbki stolca z trzech kolejnych dni???

Nie, nie, niech ona nie otwiera tak szeroko oczu, bo będę musiał jej wypisać w trybie natychmiastowym skierowanie do Marka z okulistyki, żeby je wsadził z powrotem.

– Tak, to rutynowe badania, a tu jest jeszcze gastroscopia i kolonoskopia. – Podsunąłem jej uprzejmie druczki. Smacznego.

Zanotować: Prosić w rejestracji o dopisanie rubryki „zawód” w karcie pacjenta. Szczury z korporacji odsyłać do weterynarza. Albo do Artura.

Edward

„Hortensja spojrzała na niego rozplómnionym wzrokiem. Tak, zawsze marzyłam, żeby mój ciekący kran dokręcił ktoś taki ja ty...”. O nie, skończyło się relanium. Jak to się mogło stać? Rzeczywiście, nie jest odnawialne. Gdzieś tu była rezerwowa recepta... Mam nadzieję, że się nie przeterminowała... Tak, pójdę i kupię sobie relanium, a potem wrócę do pisania. O Jezu. To oznacza, że muszę wyjść. Z domu. NA ZEWNĄTRZ. Dobrze, tylko policzę do dziesięciu.

Patrzę na farmaceutkę, która przygląda mi się tak, jakbym tę receptę kupił dosłownie przed chwilą w pobliskim akademiku, skąd wyszedłem w takim zamroczeniu alkoholowym, że nie dość umiejętnie rozmazałem lekarską pieczęć. Boże, czy ona myśli, że jestem tu dla przyjemności? Nawet nie będę opisywał, ile mnie kosztowało wyjście z domu. Wyjście z domu bywa kosztowne. CZASAMI może kosztować nawet ŻYCIE. I co się śmiejecie? Nie oglądacie telewizji? Czasami można wyjść i nigdy nie wrócić. Jak ojciec mojego kumpla z podstawówki, który wyszedł rano po gazetę i papierosy i... tyle go widzieli. Potem się, co prawda, okazało, że wcale nie został uprowadzony ani tym bardziej nie zmienił płci, tylko pomyliły mu się drogi: ta do domu z tą na lotnisko. A że zupełnie przypadkiem miał paszport, torbę podrózną i atrakcyjną blondynkę przy sobie, to postanowił pozostać jednak na złej drodze, na którą zszedł, wychodząc po gazetę. Synowi i żonie wysłał kartkę gdzieś z Brazylii, że owszem – zabłądził – ale gazetę i papierosy kupił. Jak się domyślacie, rodzinę BARDZO to uspokoiło.

Boże, czy ona patrzy na moje włosy, czy tylko mi się wydaje? Czy mam już zakola? Nie wydaje mi się. Wczoraj ich jeszcze nie było, ale cholera wie? Jestem za młody na zakola. Czy to jest fizycznie możliwe, żeby czoło połączyło się z plecami? Dlaczego nie uważałem na biologii? A może to była fizyka? Na fizyce TEŻ nie uważałem. Przede mną siedziała Martyna T., która – i biologicznie, i fizycznie – była lepiej wykształcona niż biologka i fizyczka razem wzięte, więc chyba z grubsza jestem usprawiedliwiony. Boli mnie gardło. To pewnie rak. Nie powinienem był palić tych papierosów z kosza na bieliznę.

Farmaceutka znów mi się przygląda. Tak, pewnie widzi moje zakola i zastanawia się, jak to możliwe, żeby w TYM wieku mieć zakola. Na pewno czuje do mnie obrzydzenie.

– Uwielbiam pana.

– Słucham?

– Przeczytałam wszystkie pana książki. Nikt nie rozumie kobiet lepiej niż pan. Podpisze mi się pan?

– Eeee... jasne, gdzieś tu miałem długopis...

To znaczy, że nie zauważyła, że robią mi się zakola. Uff, a więc nie jest tak źle. Jezu, która godzina? Jak długo tu jestem? Za dużo czasu upłynęło od mojego wyjścia z mieszkania. Już DAWNO nie byłem tak długo poza mieszkaniem. Mogę tego nie przeżyć. Dobra, dam jej tylko autograf i pójdę sobie stąd. Boże, jak tu jest... szeroko. Spokojnie, Edward, tylko spokojnie, to tylko farmaceutka. Podpiszę się i sobie pójdę.

– Ma pani kartkę?

– Chyba nie będzie nam potrzebna kartka.

OK, zaraz będzie po wszystkim. Mam ze sobą relanium. Zaraz wrócę do domu. Tylko podpiszę jej się na... biuście?! Biodrach?! Pośladkach?! Udach?! Jezus Maria, to tylko podpis. Nie musiała się do niego rozbierać...

Nina

– No, to się załamałem – obwieścił ojciec niczym PAPIEŻ podczas „Urbi et orbi”. Punkt dwunasta siedzieliśmy z ojcem u świętego Michała na pogrzebie fryzjera. Ojciec złożył kondolencje wszystkim po kolei, tłumacząc m.in. starszej pani w DONICY zamiast kapelusza, kim jest, to znaczy kim był dla niego zmarły.

– Był moim dobrym kolegą, biegaliśmy codziennie rano... – zaczął ojciec, robiąc jedną ze swoich słynnych pogrzebowych min.

– On nie mógł biegać, miał implant stawu biodrowego – zdziwiła się kobieta w doniczce.

– Właściwie to ja wpadałem do niego co rano na kawę, po tym jak już skończyłem biegać – poprawił się ojciec, z kamienną twarzą.

– Dziwne, nie mógł pić kawy, bo miał nadciśnienie...

– Nie, nie, kawę jego żona robiła tylko dla mnie, on oczywiście nie pił – chrząknął ojciec, próbując ukryć zmieszanie.

– Żona? Przecież on był GEJEM!

– Przepraszam, ale muszę porwać tatę na chwilę – wtrąciłam się, biorąc ojca pod ramię i podprowadzając do trumny, zanim by się okazało, że fryzjer dorabiał sobie masażem erotycznym i kolekcjonował psie kupy.

– Chcemy się pożegnać – oznajmił ojciec, kłaniając się oszołomionej kobiecie i wyciągając (Jezu...) chusteczkę ze swoimi inicjałami. Byle tylko nie wyciągał naszej wizytówki... Oczywiście, z całej naszej trójki tylko kobieta w doniczce znała fryzjera. A my? No, przychodziliśmy na wszystkie pogrzeby, które organizował Tłusty Albert. Nie ma chyba lepszego sposobu na przyjrzenie się z bliska pracy konkurencji niż obowiązkowa rundka do trumny. Jego trumny. To znaczy trumny z jego zakładu. Zresztą jest 1:1, bo Tłusty Albert był stałym NIEPROSZONYM gościem na pogrzebach organizowanych przez nas.

– No to się załamałem – powtórzył dla spotęgowania efektu ojciec, kiedy stanęliśmy nad trumną fryzjera. – Jak on to zrobił?

Fryzjer po pijaku chciał koniecznie uratować kurę, która wpadła do studzienki kanalizacyjnej (nie

pytajcie, CO ona tam robiła ani tym bardziej JAK się tam znalazła). W każdym razie po trzygodzinnej – transmitowanej na żywo przez wszystkie telewizje informacyjne, talk show i telezakupy Mango – akcji, strażacy wyciągnęli martwego fryzjera i żywą kurę.

– Myślę, że użył żelowych wkładek do stanika – stwierdziłam, próbując przyjrzeć się dokładniej twarzy denata.

– Ale jak on zabalsamował twarz? To niewiarygodne. Fryzjer leżał w wodzie trzy godziny, był zupełnie bez twarzy, kiedy go wyciągnęli. – Ojciec był bliski płaczu.

– Myślisz, że używa botoksu? – Przyjrzałam się czołu fryzjera. Nie no, Albert jest naprawdę dobry.

– Czy ja wiem? Kosztowna sprawa – powiedział nieco już spokojniejszy ojciec, opukując dłonie.

– Ciekawe, czym wypełnił policzki... – Pochyliłam się na fryzjerem, próbując dyskretnie wetknąć mu palec w policzek.

– Namacaliście się już? – zapytał grzecznie, ale z niekłamana satysfakcją Tłusty Albert, który wyrósł za nami jak spod ziemi. Chociaż to nie jest chyba dobre określenie...

– Gratulacje – powiedział chłodno ojciec. – Dobra robota.

Tłusty Albert błysnął sztucznymi zębami i żelem. Właśnie puchł z dumy, więc uznałam, że czas się zwijać, zanim pęknie i będzie SMRÓD.

– To co? To pochwalony. – Skinęłam głową Albertowi i wyciągnęłam ojca na zewnątrz. Był tak blady, że nawet fryzjer nie miał przy nim żadnych szans. Musi się szybko doprowadzić do standardów unijnych, bo o pierwszej mamy kolejny pogrzeb. Tym razem nasz.

Maria

– Pani Mario, czy w pani życiu coś się ostatnio zmieniło? – zaczął dziekan, po tym jak próba przemknięcia do sali wykładowej (po uprzednim zdjęciu butów na obcasach, które nadają się do biegania tylko w amerykańskich filmach akcji i to tylko wtedy, gdy aktorkę zastępuje kaskader z Hongkongu, który wcześniej był dublerem Bruce’a Lee) nie powiodła się. Teraz muszę tu siedzieć i udawać, że w ogóle nie patrzę na jego treskę, która wygląda tak, jakby ktoś z premedytacją narobił mu na głowę i w przypiływie fantazji posypał WIÓRKAMI KOKOSOWYMI. Czy chodzi mu o to, że przyjechałam karawanem?

– W jakim sensie? – spytałam ostrożnie. Nie mogę przestać gapić się na jego włosy, chociaż wiem, że nie powinnam, ale patrzeć mu w oczy też mi nie wychodzi. Może dlatego, że ma oczy onanisty. Tak mówi Pablo, syn naszego organisty, o tych wszystkich facetach, którzy mają równocześnie wiecznie maślany wzrok i jedną rękę w kieszeni. Chociaż z drugiej strony, to dość naciągana teoria. Może po prostu czegoś tam szukają. Guza? Szczęścia? Ano właśnie...

– Jakaś tragedia osobista, nie wiem, pogrzeb? – Pochylił się w moją stronę, a ja zamarłam, bo treska przesunęła się nieznacznie w lewo. Słyszałam, że nie powiodły mu się trzy przeszczepy. Podobno zrobił je po tym, jak udało mu się – chociaż naprawdę nie wiem, jakim cudem (jak widać, cuda zdarzają się nie tylko w Licheniu i Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych, kiedy ludziom odrastają nogi i zabiera im się z tej okazji rentę) – poderwać jakąś studentkę, dla której zostawił swoją żonę. Zostawił to złe słowo. Wymienił ją na nowszy, pachnący jeszcze świeżym PLASTIKIEM model. Boże, czy Edward pewnego dnia zrobi to samo? Uzna, że jestem stara; a potem oświadczy, że mogę się z nim pokazywać tylko pod warunkiem, że będzie mógł mnie przedstawiać jako własną matkę? Bo przecież o rok młodsza żona nie jest dość młoda, żeby można z nią było wychodzić na zewnątrz. Dzięki Bogu, Edward nie ma potrzeby wychodzenia dokądkolwiek. ZWŁASZCZA na zewnątrz. Co to w ogóle za moda? Kiedyś jakiś znajomy ojca zagadał nas na mieście: – Nie przedstawiś mnie swojej dziewczynie? – mrugnął porozumiewawczo

najpierw do ojca, potem do mnie. – Nie, nie przedstawię cię swojej dziewczynie, ale jeśli nie masz nic przeciwko, mogę przedstawić cię mojej córce, a następnie prokuratorowi – oświadczył ojciec. Miałam wtedy szesnaście lat i jeszcze wierzyłam w ludzi. Boże, co za czasy...

– Przepraszam z tym pogrzebem, wiem, że pani ojciec prowadzi zakład pogrzebowy. To było trochę nie na miejscu... – Uśmiechnął się przepraszająco.

Nie na miejscu to jest twoja treska, frajerze. Powinieneś ją nosić na tyłku, z którego próbowano przeszczepić ci włosy.

– O co właściwie panu chodzi? – spytałam, starając się nie myśleć o tym, że on i ta plastikowa studentka spotykają się w celu innym niż robienie origami albo dzierganie sweterków na drutach. Zresztą ich upodobanie do rękodzieła i tkaniny artystycznej wyszło na jaw, kiedy pewnego dnia dziewczę zamknęło za sobą drzwi jego gabinetu i próbującej się tam dobić od półtorej godziny sekretarce oświadczyło: „Byłam u dziekana na dywaniku”. „Wiem, masz jeszcze odcisnięte wzorki na plecach”, zauważyła z pełnym profesjonalizmem sekretarka.

– Chodzi o tematy referatów, które od jakiegoś czasu otrzymują pani studenci. – Wyjął zupełnie znikąd (choć mam nadzieję, że z jakiegoś przyzwoitego miejsca) plik papierów. – Na przykład ten: „Dlaczego Hamlet nie chciał pójść do łóżka z Ofelią? Studium mentalnej (a może i nie) impotencji”. Albo ten? „Kobiety udają orgazm, a mężczyźni całe związki – omów na przykładzie *Makbeta*”. Może jednak przydałby się pani urlop...

– Zwalnia mnie pan??? – ryknęłam.

– Nie, nie, nie, pani Mario, skądże znowu taki pomysł? – zaprotestował, cofając się lekko, jakby się bał, że złapie go za włosy. – Pomyślałem, że przyda się pani trochę wolnego. Odpocznie pani, a przy okazji spożytkuje swoją... ekhm... energię na coś... innego.

– Innego?

– Grupy wsparcia, wolontariat w hospicjum, nie wiem, może osiedlowy klub seniora? Wyciszy się pani, zrelaksuje, wróci, powiedzmy, za miesiąc...

A więc to się nazywa urlop na żądanie. On żąda ode mnie, żebym poszła na urlop, tak? WAŁ!

– Przepraszam, ale... – Nagle między drzwiami a futryną pojawiła się głowa sekretarki dziekana. – Czy ktoś umarł?

Dzekan rozłożył ręce.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Przed uczelnią stoi karawan.

– Karawan? – Dziekan uniósł brwi tak wysoko, że razem z nimi uniosła się treska.

– A nie, to mój – odpowiedziałam, machając lekceważąco ręką.

Dzekan i sekretarka zwrócili się jednocześnie w moją stronę.

– Przyjechała pani karawanem??? – Brwi dziekana były już tak wysoko, że jeszcze chwila i oderwałyby się od czoła.

No tak. Może to nie był najlepszy pomysł... To znaczy to, że się przyznałam, a nie że przyjechałam. Chociaż teraz to już nie jestem tego taka pewna...

– Pani Mario. – Dziekan wyglądał na bardzo zaniepokojonego. Mam nadzieję, że chodzi o problem nielegalnych imigrantów z Meksyku albo o postęp, a raczej jego BRAK w leczeniu łysienia u mężczyzn. Bo chyba nie o to, że przyjechałam karawanem, prawda? Prawda???

– Pani Mario, tak sobie myślę... chyba trochę przesadziłem z tym urlopem. Po co miesiąc? Wróci pani, powiedzmy, w przyszłym semestrze? Może nawet później. A tu ma pani... – Pochylił się i wyciągnął coś z szuflady. To znaczy, miałam głęboką nadzieję, że to była szuflada. – ...namiary na bardzo dobrego specjalistę.

Jezu, co to? A, seksuolog. Świetnie.

– Bardzo mi pomógł, kiedy... – Udał zawstydzonego i przeczesał palcami treskę. – No cóż, był taki czas, kiedy byłem tak zmęczony z nadmiaru, no... WIE PANI CZEGO, że nawet nie byłem w stanie się

podpisać.

Ciekawe, jak mu pomógł. Kazał mu się podpisywać drugą ręką? I co teraz? Wymieniamy się wizytówkami? Ciekawe, czy mam przy sobie wizytówkę mojego ojca. To też bardzo dobry specjalista, zwłaszcza wtedy, kiedy nie tylko nie możesz się podpisać, ale i nabrać powietrza. Ale mam też przy sobie – zupełnie przypadkiem – inną wizytówkę. Mojego fryzjera.

– Nie wiem, jak panu dziękować. – Przyjrzałam się wizytówce. – Ja też coś dla pana mam. To naprawdę bardzo dobry specjalista. Bardzo pomocny wszystkim tym, którzy, żeby poczuć wiatr we włosach, muszą rozpiąć rozporek.

No i dobrze. I tak nie zamierzałam tu pracować do śmierci. Ani swojej, ani jego. Nawet jeśli ta druga nastąpi wcześniej. Chociaż, biorąc pod uwagę wyraz twarzy dziekana, nie jestem już tego taka pewna. Jezu, dlaczego ten karawan jest taki wielki? I jak ja mam teraz wycofać z tego pieprzonego parkingu? Uff, udało się. To znaczy PRAWIE...

Nina

– Nina?

– Nie, Stevie Wonder. Czego?

Dlaczego Maria zawsze musi dzwonić w takim momencie, kiedy nie mogę z nią rozmawiać, a nawet gdybym mogła, to i tak bym sobie darowała.

– Mam dwie wiadomości: dobrą i złą! – wrzasnęła mi do słuchawki.

– Boże, nie zaczynaj...

Stałam w pogrzebowej garsonce (własnej, żeby nie było już żadnych wątpliwości) nad trumną kwiaciarki, poprawiając co chwilę T-shirt z Metallicą, który za wszelką cenę próbował wysunąć się spod żakietu i ukazać się światu w całej okazałości. Jezu, jakby tam było COŚ ciekawego... To znaczy na świecie. Mam tylko nadzieję, że nie pojawi się znieczeka sanepid nasłany przez Tłustego Alberta (i w jego asyście) i nie zarekwiruje mi tej nieszczęsnej koszulki jako dowodu rzeczowego, a ja sama nie zostanę obdarowana mniej lub bardziej horrendalną grzywną po tym, jak się już okaże, że w niej spałam. Albert to wyjątkowa menda. Jestem pewna, że to on podrzuca nam te WSZYSTKIE ślimaki, które znajdujemy po deszczu w naszym ogródku. I to, że nam napadało ostatnim razem do piwnicy, to z pewnością też jego sprawka. Nie mówiąc już o ociepleniu klimatu. Chociaż sama nie wiem, czy Tłusty Albert byłby w stanie ocieplić cokolwiek. Nawet własny wizerunek. ZWŁASZCZA własny wizerunek. Jedno jest wiadome: chce nas pogrążyć. Jestem tego pewna jak śmierci, podatków i tego, że zobaczę *Kevina samego w domu* w Boże Narodzenie. Jezu, niedobrze mi. Czy to jest wylew? Po której stronie powinna mnie teraz boleć głowa?

– Nina? Jesteś tam?

– Jezu, jestem.

Zaraz mogę dostać wylewu, a ona blokuje linię!

– Którą wiadomość chcesz usłyszeć najpierw?

– Nie mam czasu na twoje opowieści dziwnej treści. Mamy pogrzeb – powiedziałam DRUKOWANYMI LITERAMI, zastanawiając się, czy moja siostra je usłyszała.

– Nina, ZAWSZE macie jakiś pogrzeb, bo tak się akurat składa, że pracujecie w zakładzie pogrzebowym. Więc którą...

– Nie mam czasu, mówiłam ci już... – syknęłam.

- Będę się streszczać... – Maria nie dawała za wygraną.
- Dobra, jednym zdaniem.
- Poduszki powietrzne w karawanie działają bez zarzutu. Może być?

Maria

– Naprawdę nie wiem, jak to się stało – powiedziałam ze sztucznym, jak autorytet spisującego mnie policjanta, zdziwieniem.

Patrzyłam z niesmakiem – a ze mną cała uczelnia – jak odholowują karawan. To, że nie pojawili się jeszcze ludzie z telewizji, demonstrujący ekolodzy i pracownicy kina strajkujący przeciwko temu, że mają ZA CIEMNO w pracy, uważam za jakieś grube niedopatrzanie.

- Chyba nie myśli pan, że wjechałam w samochód dziekana celowo?
- A zrobiła to pani celowo?

Po tym, jak mnie wysłał na przymusowy, a po otrzymaniu wizytówki fryzjera pewnie i dożywotni urlop? Oczywiście!

- Oczywiście, że nie.
- To pani karawan?
- Tak.
- Na pewno?

Nie, mam takie hobby, że kradnę karawany, a potem rozbijam się nimi po mieście, zdjęwszy uprzednio tablicę rejestracyjną, żeby TRUDNIEJ było mnie złapać. No to chyba nawet mnie nie stać na taką fantazję. Ale wiadomo, policja w tym kraju, gdzie po angielsku mówią wszyscy pracownicy dyskontów spożywczych i sprzątający klatki dla pawianów, a prezydent z premierem nie, słynie z wyjątkowo bujnej wyobraźni. Szczególnie jeśli chodzi o posługiwanie się ortografią i zdrowym rozsądkiem. Mam tylko nadzieję, że w karawanie nie było ŻADNYCH zwłok, bo – znając miejscowych stróżów prawa (którzy ostatnio wezwali pogotowie do płonącego prosektorium, zmuszając biednych ratowników do reanimacji poszkodowanych) – musiałabym odpowiedzieć jeszcze za morderstwo.

– Proszę. – Podałam mu wizytówkę ojca, zastanawiając się przez chwilę, czy zrekompensuje to brak dowodu rejestracyjnego pojazdu, jak również jakiegokolwiek dowodu na to, że mam coś wspólnego z tym karawanem. Na szczęście, na wizytówce widnieje napis „Ryszard&Córki”, więc przynajmniej z grubsza się zgadza. W zasadzie KAŻDY, kto jest Ryszardem, kobietą i córką, może się okazać dzięki takiej wizytówce. Policjant długo się jej przyglądał. Na Boga, czy on myśli, że podrobiłam wizytówkę zakładu pogrzebowego? Chociaż prawda jest taka, że ludzie są w stanie podrobić wszystko. Ostatnio czytałam, że ktoś podrobił własny podpis, wypłacając własne pieniądze z własnego konta, i został natychmiast aresztowany. Poszkodowanego, czyli właściciela konta, którego obrobienie udaremniła nasza dzielna policja, dotąd nie odnaleziono.

– Aaaa... to wy chowaliście moją babcię. – Rozpromienił się w jednej chwili policjant. Wyglądał tak, jakby nagle przypomniał sobie, że tak naprawdę już DAWNO wyjechał z tego kraju i nigdy nie wrócił. Jezu, babcia? Nie mam z tym nic wspólnego! No to teraz się dopiero zacznie... Znam to z opowieści ojca i Niny. Czasami ludzie mają takie wymagania, jak Jennifer Lopez przed występem w Ząbkowicach Śląskich. Wiecie, na zasadzie: osobny pokój na płaszcz i guziki do płaszcza. No i woda w kranie musi być koniecznie PRZEGOTOWANA. Oczywiście, ojciec robi, co może, ale czasami naprawdę rozumiem, dlaczego zdecydowanie woli martwych klientów niż żywych.

- To była wspaniała uroczystość – powiedział policjant, ściskając z namaszczeniem moją dłoń, jakby

miał ją (zaraz po ukłęknięciu) ucałować i to najchętniej w sygnet, którego nie mam. – Wszystko było doskonałe. Pani ojciec tak pięknie przemawiał. I ten chór chłopięcy...

Jaki znowu chór chłopięcy? Oprawę muzyczną zwykle zapewnia naszej firmie organista. Jeśli jest trzeźwy, oczywiście. I Pablo, który chyba nie ma innego wyjścia i pewnego dnia też zostanie organistą. Jeśli wytrzeźwieje, rzecz jasna. No ale im dwóm daleko do chóru. Zwłaszcza chłopięcego. Bo głosy to raczej mają do IRLANDZKICH tańców ludowych niż do chóru.

– Czy muszę coś podpisać? Trochę mi się spieszy... – zaczęłam, zanim policjant zacznie mi streszczać całą uroczystość i wyjmie pamiątkowe zdjęcia na tle nagrobka. Jak mniemam, babcia musiała być dla niego bardzo ważna, zwłaszcza martwa. Pewnie jak zawsze chodzi o mieszkanie. – Rozumie pan... Spieszy mi się, bo...

Przede wszystkim mi się spieszy, żeby nie spotkać przypadkiem dziekana. No tak. Jak zwykle wypowiedziałam to nie w porę. A oto i dziekan we własnej osobie. Na szczęście, mimo wzburzenia, zmierza tu bardzo powoli, żeby zbyt mocno nie poczuć wiatru we włosach. To znaczy w TRESCE. Muszę się dyskretnie ulotnić, zanim dostanę od niego następną wizytówkę. Tym razem adwokata. A może i konkurencyjnego zakładu pogrzebowego.

– Nie, nie, wszystko załatwione, jest pani wolna – zapewnił mnie policjant, który chyba był jeszcze myślami przy tym jakże ważnym dla niego pogrzebie. Rozumiem, mieszkanie musiało mieć naprawdę duży metraż.

– Nie będzie żadnych problemów? – zerknęłam szybko na dziekana, który jakby przyspieszył.

– Nie, zawsze możemy powiedzieć, że próbował wymusić wypłatę odszkodowania – mrugnął do mnie. Aha. Rozumiem, że to z wdzięczności za babcię. Tyle tylko, że my jej nie zamordowaliśmy, a JEDYNNIE ją pochowaliśmy, chociaż w tym momencie to chyba nie ma większego znaczenia. Więc tak to działa. Boże, jak to dobrze czasami, że mam ojca w mafii. To znaczy w zakładzie pogrzebowym.

– Odwieźć panią do domu? – zaproponował policjant ni z tego, ni z owego. No pewnie. Tego mi jeszcze brakowało. Wyjechałam z domu karawanem, a wrócę radiowozem. To chyba nie ta kolejność...

– Nie, dziękuję, pojadę metrem.

– Proszę pozdrowić ojca. I uroczą siostrę.

Ninę? Jezu, chyba nie mam innej siostry... A już na pewno nie mam żadnej UROCZEJ siostry. Jasne, oczywiście, pozdrowię wszystkich. Na pewno się ucieszą, że pozdrawia ich policja.

Boże, zapomniałam, jak straszne jest metro. W metrze ZAWSZE można się natknąć na kogoś MŁODSZEGO od siebie.

– Możecie przestać? – spytałam z niesmakiem jakąś parę, która najwyraźniej zamierzała się reanimować przy pomocy metody usta–nos. – Idźcie być szczęśliwi gdzie indziej.

Niestety ci byli z gatunku „ostry dyżur”. On miał kolczyk w wardze, a ona aparat na zębach. Byłam piekielnie ciekawa, czy będą się w stanie od siebie oderwać. Wiem, wiem, w dzisiejszych czasach niebezpiecznie jest zaczepiać młodzież w metrze. Młodzież może wyciągnąć broń, porwać metro i wziąć zakładników. A potem, żeby się upewnić, że wszyscy nie żyją, rozbić metro w samobójczym akcie. Dzisiejsza młodzież jest naprawdę bardzo, ale to bardzo nieobliczalna.

– A co ty myślisz, że ja jestem taka stara, że trzeba mi ustępować?! – wrzasnęła jakaś babcia do chłopaka w czapce baseballowej założonej daszkami do tyłu. No i to jest właśnie to, czego się obawiam najbardziej. Masz sto dwadzieścia lat, a wydaje ci się, że dopiero co uporałaś się z pryszczami i rodzicami, którzy każą ci wracać o dziesiątej do domu. I, co gorsza, próbujesz jeszcze przekonać innych, że czytasz poranną gazetę, stojąc po drugiej stronie ulicy tylko DLATEGO, bo lubisz przebywać na świeżym powietrzu, a NIE DLATEGO, że niedowidzisz.

– Proszę, niech pani usiądzie. – Zignorowałam to, bo uznałam, że to na pewno nie do mnie. Jakiś chłopak w spodniach tak szerokich w kroku, że mógłby śmiało przemycać między nogami mrożone kurczaki, indyki, a może nawet i BAWOŁY w supermarkecie, poderwał się na mój widok. Nie wierzę, po prostu nie wierzę! A, dobra, co mi tam! Należy mi się. Przynajmniej nie dostanę żyłaków. Podobno robią się od długiego stania, tylko jak ja mam ocenić, czy dziesięć minut to długo, czy nie? Czas bywa bardzo, ale to bardzo względny. Chociaż dla mężczyzn bywa bardzo bezwzględny. Zwłaszcza podczas stosunku. Kątem oka zauważyłam, że chłopak po swoim bohaterskim wyczynie podszedł do jakiejś dziewczyny w za ciasnej kurtce odsłaniającej nerki oraz potężną OPONĘ i oparł się nonszalancko o drzwi, zapominając, że drzwi się czasem otwierają. Pamiętajmy jednak, że jego krok znajduje się wciąż – wbrew biologii, ale za to zgodnie z fizyką (siła grawitacji) – w kolanach, więc chłopię może mieć mózg nie w tej części ciała, co reszta gatunku.

– No cześć, mała, musiałem ustąpić tej starej babie, więc nie mam już dla ciebie miejsca – rzucił od niechcienia.

Aha. No to wszystko jasne. To na wypadek, gdybym jednak miała jeszcze jakieś wątpliwości co do własnego wieku.

– Proszę się nie przejmować, dla nastolatka każdy, kto skończył dwadzieścia lat, jest stary – uświadomiła mnie jakaś pani, która wyglądała tak, jakby jeździła w tym metrze od początków istnienia nie tylko metra, ale i całego miasta, a może nawet i kraju. – Dlatego nie są wiarygodni jako świadkowie przestępstw – dorzuciła.

Aha. Dobrze wiedzieć. W zasadzie nie są też wiarygodni jako przestępcy. Zawsze opiszesz tego, kto ci ukradł torebkę, że był to ktoś DUŻO młodszy od ciebie. Bo chyba się nie przyznasz, że nie jesteś w stanie przebiec trzech metrów bez konieczności sięgnięcia po butlę z tlenem.

Edward

Nie będę już wychodził. To więcej niż pewne. I po co mi to było? Dobrze, że zdążyłem zabrać relanium. Teraz przez tę nieźrównoważoną kobietę z apteki muszę zażyć od razu dwie pigułki. Albo nie, lepiej cztery. To na wypadek, gdyby okazało się, że te dwie pierwsze TEŻ są w szoku. Nie chodziło jej o autograf. Że też ja na to nie wpadłem! W końcu każdy głupi wie, że nie da się pisać po skórze długopisem. No chyba że najpierw poślinisz. Nie, nie, nie! Żadne „poślinisz”!

To teraz masz, Edwardzie, swój SUKCES. Chociaż z drugiej strony... Czy nie tego właśnie chciałem? Być podziwianym? Żeby kobiety zdejmowały na mój widok staniki i majtki, a potem rzucały się na maskę mojego samochodu? Nie wiercie tym wszystkim pisarzom, którzy mówią, że jedyne, czego chcą, to poważanie i miejsce w encyklopedii. Wszyscy pisarze chcą tego samego. Żeby kobiety rzucały się na maskę. W encyklopedii zawsze można być. Możesz wynaleźć samochód na piasek. Odkryć, czemu kobiety malują sobie oczy z otwartymi ustami. Sprawić, że zapanuje pokój na Bliskim Wschodzie. Tak, ZAWSZE możesz być w encyklopedii. Ale kobiety i ich podziw możesz mieć tylko raz na jakiś czas. Zupełnie jak wygraną w totolotka, zanim się okaże, że to były wyniki z zeszłego losowania. Albo że to nie totolotek, ale kwota za nieopłacony abonament radiowo-telewizyjny. Tego właśnie chcą wszyscy pisarze. No i może trochę LEPIEJ zarabiać też chcą. To znaczy w ogóle zarabiać. Wiem, co mówię. Początkowo jako honorarium dostawałem sto egzemplarzy własnej książki. To był dopiero kanał. Po co mi sto sztuk czegoś, co sam zrobiłem? To tak, jakby górnikowi zamiast wypłaty dać tonę węgla. Albo pracownikowi fabryki materiałów opatrunkowych – tonę podpasek.

No a sława... Sława ma też ciemne strony. I BRZYDKIE. Jak sobie przypomnę Zuzannę... Zuzanna była moją własną, osobistą psychopatką. I to na wyłączność. Bo każdy pisarz powinien mieć obowiązkowo własne: biurko, chorobę i psychopatę. A zaczęło się tak niewinnie...

– Ile jest ciebie w twoich książkach? – zapytała kobieta, która wyglądała jak wielki racuch, tyle że z włosami, brwiami i w sukience. Pogryzałem wtedy nerwowo herbatniki za regałem z poradnikami dla wędkarzy na jakimś nieszczęsnym spotkaniu autorskim. Boże, ile jest mnie w romansach dla gospodyń domowych? Czy ja wiem?

Zuzanna pracowała w cukierni (jak widzicie, moje skojarzenie z racuchem nie było więc tak bardzo nietrafione ani nawet odległe). Piekła ciasteczka z moimi inicjałami. Placki z moją podobizną. Torty z moją figurką z MARCEPANA. Chyba nie muszę mówić, jak bardzo mnie i mój poziom cukru we krwi to cieszyło. Maria nie chciała jeść tych słodkości. Chyba bała się, że są nadziewane cyjankiem albo, nie daj Boże, mięsem. Albo CELLULITEM. Ja się nie bałem. W końcu co mogła mi zrobić moja osobista psychopatka? Kto jak kto, ale fanatyczna fanka chyba raczej chce mojego dobra, prawda? Zuzanna pamiętała o wszystkich świętach (łącznie z dniem myśliwego, kominiarza i pierwszym dniem Wielkiego Postu). Przysyłała kartkę i obowiązkowo coś ociekającego miłością i lukrem. Pękałem z dumy. I z nadmiaru kilogramów. Aż pewnego dnia przestała. Kiedy na święto Trzech Króli nie dostałem niczego, jeszcze to jakoś przeżyłem. Przy dniu ogórka małosolnego zacząłem się niepokoić, ale kiedy na walentynki nie przysłała ŻADNA korespondencja ani tym bardziej nic z tłuszczu, mąki i sody oczyszczonej, to się NAPRAWDĘ przestraszyłem. Sprawdziłem nekrologi i informacje o wypadkach komunikacyjnych. Nigdzie nie mogłem znaleźć informacji o Zuzannie. Nie pozostało mi nic innego, jak podjąć jedną z najbardziej dramatycznych decyzji w moim życiu: wyjść z domu. Na zewnątrz.

Poszedłem prosto do cukierni. Zuzanna jak gdyby nigdy nic pakowała jakiejś kobiecie placek jagodowy. Nie wiem po co, bo kobieta wyglądała na jedną z tych, co kupują słodczyce tylko po to, żeby je tylko powąchać. Ewentualnie żeby na nie popatrzeć. Jednym słowem, kobieta była przeraźliwie szczupła.

– O co chodzi? Dlaczego mi to robisz? Nie możesz mnie tak po prostu zostawić! – zawołałem rozpaczliwie, a cała cukiernia oderwała się na moment od swoich pączków i drożdżówek.

– Mam zadzwonić na policję? – spytała kobieta od placka z jagodami. Jezu, w sprawie placka? Że NIEŚWIEŻY?

– W porządku – uspokoiła kobietę Zuzanna, robiąc przy tym taką minę, jakby właśnie rozmawiała z kimś, kto wziął zakładników i żąda spełnienia warunków, na które składają się: milion dolarów, samolot i rurka z kremem. – Przepraszam na moment. – Wytarła ręce w fartuch i podeszła do mnie.

– No więc, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale znalazłam sobie kogoś innego – oświadczyła, zapominając o tym, jak wygląda.

– Jak to: innego?!

– No po prostu innego – wyjaśniła krótko.

A, rozumiem. Woda sodowa uderzyła jej do głowy. Jak to w ogóle możliwe? Pracuje przecież w cukierni. Już prędzej spodziewałbym się, że CUKIER jej uderzy do głowy. Albo że dostanie cukrzycy.

– Co jest ze mną nie tak? – spytałem żałośnie.

– Wszystko jest z tobą w porządku. To moja wina.

– Oczywiście, że to twoja wina. Jak mogłaś???

– Przepraszam. Nie chciałam cię zranić.

Teraz cała cukiernia nie tylko się nam przyglądała, ale już pewnie wyciągnęła chusteczki, żeby nie

smarzać w drożdżówki.

– Ale zraniłaś. Kto to jest?

Ciekawość była silniejsza niż moja urażona duma. Poza tym muszę wiedzieć, gdzie teraz będą sły te wszystkie placki z wiśniami, torty bezowe, tarty z rabarbarem...

– Edward, nie zaczynaj... – Zuzanna zaczęła pobłażliwie, jakby naprawdę zapomniała, że nie jest Angeliną Jolie i że naprawdę robię jej WIELKĄ łaskę, pozwalając, żeby mnie psychopatycznie nękała.

– Muszę wiedzieć. Chociaż tyle mi jesteś winna – zażądałem.

– Dobrze – westchnęła ciężko. – Facet, który napisał książkę telefoniczną.

Nie wierzę, że mi to zrobiła. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy! Wymieniła mnie na faceta, który napisał książkę telefoniczną? No tak, przynajmniej wszyscy w mieście i okolicy ją czytają. Boże, nic dziwnego, że Zuzanna znalazła sobie kogoś BARDZIEJ popularnego...

– Znajdziesz sobie kogoś. – Pogłaskała mnie po głowie, zupełnie jakby przysłała po koleżdzie.

– Nie znajdę! – wrzasnąłem na całą cukiernię. – Myślisz, że to takie proste?

– No to ten ktoś znajdzie ciebie. Nie martw się. Drożdżówkę?

Pewnie. Jasne. Czy ona wie, jak trudno o porządną psychopatyczną fankę? Zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Chyba muszę zacząć oglądać Ewę Drzyzgę.

Maria

NIGDY więcej nie pojedę metrem. To jakiś koszmar. Wyszłam starsza, niż kiedy do niego wchodziłam. Przez całą drogę miałam uderzenia gorąca i poirytowania. Dobrze, niech i tak będzie. Będę najmłodszą na świecie ofiarą menopauzy. Może znajdę się w encyklopedii. Albo przynajmniej na okładce „Vogue”. Pójdę na zakupy, żeby się uspokoić. Zakupy zawsze działają oczyszczająco. Zwłaszcza dla portfela.

Po dziesięciu minutach miałam dość. Menopauza coraz bardziej dawała mi się we znaki. Dlaczego na opakowaniach NIGDY nie piszą, czy mrożony kalafior nie był testowany na zwierzętach? I dlaczego na niegazowanej wodzie mineralnej nie ma informacji o kaloriach? I czy to możliwe, żeby ciastka czekoladowe miały mniej kalorii niż sok pomidorowy??? A nie, to nie kalorie, to cena... A to co? Ocieplacze na jajka? Może powinnam kupić Edwardowi. Nie lubi, jak mu jajka stygną. Ja zresztą też nie. Skąd w ogóle one się tu wzięły, skoro jest już jesień? Pewnie leżą od Wielkanocy, bo wszyscy byli zbyt zażenowani, żeby je sobie włożyć. Do koszyka, rzecz jasna. Boże, ile się człowiek MUSI naczytać, zanim się na coś zdecyduje... Nawet nie chcę wiedzieć, ile czasu spędza na zakupach Nina. Zanim przeczyta wszystkie terminy przydatności na jajkach wielkanocnych, jest już pewnie Boże Narodzenie i trzeba zaczynać całą zabawę od początku. Tyle że z mikołajami z czekolady.

– Eee... przepraszam.

Zagapiłam się. I to wcale nie na ocieplacze na jajka. Zagapiłam się na tyłek stojącego przede mną chłopaka i wjechałam wózkami prosto w jego ciasne sprane dzinsy. Skąd mogłam wiedzieć, że posiadają jakiegokolwiek właściciela? Zupełnie zapomniałam, że zawsze do TAKIEGO tyłka musi być przypięty facet. Dlatego właśnie faceci są do dupy. Od dupy wzwyż jest tylko gorzej. O Boże, nie... A nie mówiłam? Kolejny nastolatek.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał, unosząc ironicznie brwi. Chyba nie przypadłam mu do gustu. Nie oparł się bowiem nonszalancko o poręcz wózka, jak to pokazują na amerykańskich filmach, kiedy to nastolatek, który KONIECZNIE wygląda jak młody Brad Pitt, ma ochotę poromansować ze starszą kobietą, która KONIECZNIE wygląda jak Angelina Jolie. Rozumiem. Jestem dla niego za stara. A może

po prostu jedyne, co mnie łączy z Angeliną, to płeć.

– Masz coś do mnie? – syknęłam, bo zaczęła mnie już ponosić menopauza. Chociaż to może tylko PMS. Boże, niech to będzie PMS! – Jak masz, to napisz na kartce i wsadź sobie w dupę.

Nie wiem, czy zaczął spisywać, bo ja już byłam przy kasie, w której siedział kasjer w wieku około gimnazjalnym, co było tak pewne, jak to, że jedyne piersi, jakie w życiu widział, to jego własne. Wspaniale. Coraz lepiej. Coś jeszcze? Wychodzę. Najpierw ze sklepu. Potem z siebie.

– Przepraszam...

Odwrociłam się, zastanawiając się, czy ktoś życzliwy nie chce mnie przypadkiem poinformować, że wypadły mi wkładki higieniczne z koszyka, i zobaczyłam tego samego chłopaka, któremu dziesięć minut temu kazałam sobie wsadzić to, co o mnie myśli, tam, skąd pochodzą wszystkie głupie pomysły i newsy na Pudelku. Tym razem JEDNAK stał nonszalancko oparty o poręcz swojego wózka i wydobywał z arsenału uwodzicielskich uśmiechów ten z numerem PIĄTYM. Ten zarezerwowany dla babci, która po raz kolejny chce obejrzeć twój pamiątkowy łańcuszek komunijny i zabrać cię na wycieczkę do Lichenia, podczas gdy ty tuczysz kota, do tego masz już kupiony bilet na koncert Behemota i zupełnie nie wiesz, jak jej o tym powiedzieć. A nie, to jest uśmiech z numerem SZEŚĆ.

– Mogę cię podrzucić – powiedział takim tonem, jakby naprawdę miał mi do zaoferowania coś więcej niż dwie puszki coca-coli i paczkę chipsów, które zdążyłam zauważyć w jego koszyku. – Zabiorę cię... – tu zawiesił głos, jakby chciał mnie przekonać, że tak naprawdę jest Danielem Craigiem z *Casino Royale* i tylko przez pomyłkę (krótkowzroczność?) wzięłam go za kogoś innego.

– No dokąd? – udałam względne zainteresowanie.

– Dokąd tylko chcesz. – Młodociany Banderas obniżył głos, chociaż nie byłam wcale taka pewna, czy przeszedł już mutację.

– Zabrać to ty sobie możesz buty do szewca, synku. – Spławiłam go na tyle elegancko, na ile było mnie stać, biorąc pod uwagę to, że stałam tu przed nim z wypchaną po brzegi ekologiczną torbą, na której wierzchu leżał PAPIER TOALETOWY. – Kobietę się zaprasza. Tak samo jak się jej nie przelatuje, bo przelecieć to się możesz samolotem, ani nie posuwa, bo posunąć to sobie możesz stół w kuchni, jeśli tarasuje on drogę do lodówki.

Ja i on??? Wyobrażacie to sobie???

Ja i on w sklepie. On do sprzedawczynie: – Chipsy i piwo poproszę, a dla mojej dziewczyny pieluchomajtki i ziołowe pastylki na wątrobę.

Ja i on w kinie. On do kasjera: – Dwa ulgowe. Uczniowski dla mnie, emerycki dla mojej dziewczyny.

Ja i on w klubie. Bramkarz do niego: – Wpuszczamy od osiemnastu lat. Do mnie: – Ciechocinek jest pół godziny drogi stąd.

Boże. Czy już jestem taka stara? Chyba nie. W końcu nie przypominam sobie pierwszego odcinka *Mody na sukces*.

Jakub

Jak pomyślę, że dziś mam znów powtórzyć tę całą szopkę z ciepłym mlekiem, korzeniem waleriany i posążkiem Buddy z nadwagą, to robi mi się słabo. Żebym jeszcze nie spał z tych samych powodów, co Elżbieta II, czyli z powodu księcia Harry'ego, to rozumiem, ale tak po prostu? Bez powodu? Próbowałem przewracać się z boku na bok. Próbowałem się nie przewracać. Próbowałem zasnąć w ciszy. Przy włączonym telewizorze/wentylatorze/odkurzaczku. Na wznak. Na brzuchu. W pozycji bocznej ustalonej. Nie, to naprawdę nie ma sensu. Obawiam się, że tym razem Artur może WYJĄTKOWO mieć rację.

Chyba naprawdę muszę poszukać faceta, który położy mnie na kozetkę i zrobi ze mną porządek.

Maria

– Widziałaś? Pochował tego samobójcę, o którym pisali w poniedziałek – gorączkował się ojciec nad poranną gazetą. – Jak tak dalej pójdzie, puści nas z torbami!

Nina – zajmująca się właśnie ustalaniem, który jogurt jest MNIEJ, a który BARDZIEJ dzisiejszy (obydwa miały taką samą datę przydatności na wieczku, żeby było jasne) – wyrwała mu z ręki gazetę.

– A to widziałaś? Do pierwszego pogrzebu drugi za pół ceny! Aż strach pomyśleć, co to będzie, jak zaczną umierać w domach starców... Wykupi na pewno cały abonament – skrzywiła się. Nie wiem, czy z powodu Alberta, czy jogurtu.

Drugi pogrzeb za pół ceny? No to go poniosło. Jak on to sobie wyobraża? To chyba oferta dla seryjnych morderców. Albo dla emerytów.

– Pokaż! – ryknął ojciec. – Niedługo zaczną do pogrzebu dodawać kubek, długopis i żelki.

Żelki? Jakie znowu żelki?

– Ten długopis to nie taka głupia sprawa – zamyśliła się Nina. – Można spróbować też z koszulkami.

– A może z zagranicznymi wycieczkami dla rodzin... – zasugerowałam uprzejmie, bo ta zabawa zaczynała mi się coraz bardziej podobać. Ojciec z Niną spojrzeli najpierw na mnie, potem na siebie. Oni chyba nie myślą o tym poważnie, prawda? Prawda???

– Tato, nie wiem, czy wiesz, ale ten interes jest tak jakby NIEŚMIERTELNY – zauważyłam, próbując jednocześnie znaleźć w lodówce jakiś produkt, który będzie chociaż z wierzchu przypominać coś zdrowego i pożywnego. Chociaż jak tak dalej pójdzie, zostanie mi jedynie tektura z opakowań. Przynajmniej zawiera celulozę. – Chyba starczy nieboszczyków dla was dwóch – zauważyłam uprzejmie.

– Tylko sześć pogrzebów. – Ojciec wzniosł oczy, jakby czekał, aż siódmy spadnie mu z nieba. – Wiesz, co to znaczy? – rzucił mi pytające spojrzenie.

Że nie będzie go cały dzień w domu?

– To mało? – spytałam. Nie znam się zbyt dobrze na numerologii. Może dlatego uważam płacenie rachunków za fanaberię, na którą mnie nie stać.

– Kiedyś było dwanaście. A raz nawet czternaście... – rozmarzył się ojciec.

– Bo chowałeś pielgrzymkę emerytów i rencistów – przypomniałam mu dyskretnie.

– Idzie kryzys – oświadczył ojciec tak, jakby zaraz (to znaczy trzy dni później, bo taki czas by mu zajęło zjedzenie śniadania, które w tym domu składa się z tylu potraw, ile powinno się podawać TYLKO na Wigilię) miał przystąpić do odczytania swojej ostatniej woli. Nie wierzę, po prostu nie wierzę! Jeszcze chwila i zaczną organizować funeralne zawody w chowaniu nieboszczyków na czas. Boże, chyba że już to robią...

– Jaki znowu kryzys? Ludzie przestali umierać czy co? – parsknęłam śmiechem.

Ojciec i Nina spojrzeli na mnie równocześnie. Uuups, coś nie tak?

– A co ty tu właściwie robisz? Nie powinnaś być w pracy? – zainteresowała się nagle Nina.

– Powinnam, ale nie jestem – oświadczyłam. Jezu, od kiedy ich interesuje to, co ja robię?

– Wyrzucili cię? – załamał ręce ojciec.

– Mam urlop.

Ojciec z Niną spojrzeli na siebie w tej samej chwili.

– Wyrzucili ją – oświadczyli jednocześnie.

– Nikt mnie nie wyrzucił, mam urlop. Trochę dłuższy niż zwykle, ale urlop. – Jezu, chyba im się

właśnie nie tłumaczę, prawda? Prawda??? Na Boga, mam PRAWIE trzydzieści lat. Jezu, czy to jest siwy włos? Zerknęłam na folię aluminiową, w którą ojciec właśnie owijał resztę śniadania. Czy on ma przewidziany osobny samochód na śniadanie? I czy jest to samochód dostawczy?

– Wychodzę – oznajmiłam. To nie może być siwy włos, do licha! Boże, muszę go natychmiast wyrwać, ZANIM zacznie się rozmnażać!

– Nigdzie nie wychodzisz, idziesz do biura! – wrzasnęła Nina.

No to po ptakach. Jak mnie będzie zatrzymywać, to zaraz tu osiwieję. Osiwieję tu tak czy siak.

– A ty? Nie możesz iść do biura? – spytałam błagalnie, bo właśnie mi się przypomniało, że obiecałam ją zastąpić. Nie dzisiaj, tylko nie dzisiaj! Nie możemy tego przełożyć na jutro? Przecież wszystko można przełożyć: klasówkę, poród, a kto wie, może nawet własny pogrzeb.

– Nie, JA idę do lekarza, TY idziesz do biura – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Co? Jogurt był jednak ważny TYLKO do ósmej, a jest ósma trzydzieści?

– Umawialiśmy się, że zastąpię cię po południu – westchnęłam ciężko. To, że z matematyki miałam jedynie trzy i to tylko dlatego, że ojciec chował akurat ciotkę matematyka, nie znaczy jeszcze, że nie potrafię obliczyć, kiedy zaczyna się popołudnie.

– Tak, ale to było przed tym, jak cię nie wywalili, to znaczy nie posłali na urlop, i przed tym, jak rozbiłaś karawan – zauważyła złośliwie. Ten jogurt chyba NAPRAWDĘ jej zaszkodził.

– Nie rozbiłam karawanu! Rozbiłam karawanem samochód dziekana. To chyba różnica – zauważyłam oziębło.

– Najważniejsze, że nic się nie stało – powiedział pojednawczo ojciec, wlewając kawę do termosu i dolewając do tego resztkę ze śniadania.

– Dziękuję, tato – westchnęłam.

– Nie ma nawet jednego zadrapania. To prawdziwy cud. Pan ma nas w opiece. To znaczy nasz karawan. – Ojciec znów wzniósł oczy ku niebu. Czyżby jajecznicą się nie zmieściła?

A ja naiwnie myślałam, że martwi się o mnie, a nie o karawan.

– To co? Zapraszam na dół – powiedziała Nina z taką satysfakcją w głosie, jakbyśmy byli na Titanicu na chwilę przed spotkaniem z górą lodową. Boże, ona mnie naprawdę nie znosi...

– Ale co ja mam robić? – jęknęłam w najgłębszej rozpacz. Nie może mnie przecież tak zostawić! To tak jakby chirurg wycinający wyrostek robaczkowy powiedział do faceta, który przyszedł spisywać liczniki: „Zastąp mnie na chwilę, bo mam ZNIŻKOWY kupon na kawę, który jest ważny jeszcze tylko przez pół godziny”.

– Zaraz zejść i ci wszystko wytłumaczę – powiedziała takim tonem, jakby miała mi odczytać fragment konstytucji Stanów Zjednoczonych. Pięknie. Jak zaraz zejdziesz, to już mi raczej nie powie...

Nina

– Tutaj przyjmujemy interesantów. Interesanci w przeciwieństwie do klientów są żywi. Najpierw pozwalasz im się wygadać, a potem pytasz o to, jaką życzą sobie trumnę, kwiaty, oprawę muzyczną i takie tam – wyjaśniłam naprędce... i coraz bardziej naprędce, bo zaczęła mnie nagle swędzieć prawa ręka.

To będzie KATASTROFA, ale trudno. Skoro Maria już tutaj jest, mogłaby się na coś przydać. Ten jogurt chyba naprawdę był przeterminowany. Wiedziałam, że coś jest z nim nie tak, kiedy tylko zaczęłam go jeść. Może mam alergię na nabiał? Boże, jak brzmiały trzy zasady rozpoznawania zatrucia pokarmowego: uśmiechnij się, powiedz proste zdanie... A nie, to przy UDARZE.

– Co to znaczy: takie tam? – Maria siedziała z notesem i ołówkiem w ręku i wyglądała jak ktoś, kto

wysłał pocztą bombę, a ona wróciła z powodu zbyt małej liczby znaczków na paczce. Chyba zatrzymała się z notowaniem przy „takie tam”.

– Pytasz, czy trumna ma być otwarta, czy nie, i czy życzą sobie Elvisa Presleya na pogrzebie – westchnęłam ciężko. Boże, czy to naprawdę jest takie skomplikowane? Chyba nie bardziej niż chodzenie na szpilkach. Ten, kto wymyślił szpilki, musiał NAPRAWDĘ, ale to naprawdę nienawidzić kobiet. Może to był jakiś przepracowany ginekolog mieszkający z latynoską żoną, jej siostrą, babką, ośmioma kuzynkami i matką. To znaczy jej matką. I jego zresztą też.

– Jak to: Elvisa Presleya? Żywego? – Oczy Marii wyrażały bezgraniczne zdziwienie. Aha, znaczy się otworzyła paczkę z napisem: „Zwrot do adresata”.

– Jezu, z płyty.

To będzie jednak katastrofa.

– Tu jest katalog z trumnami, a tu chusteczki higieniczne. Życzę szczęścia! – Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam szybko na górę. To znaczy tak mi się przynajmniej wydawało, że robię to szybko.

– Zaczekaj!

Zatrzymałam się, zastanawiając się jednocześnie, czy ten przeterminowany jogurt aby nie zaczął przypadkiem już działać i czy nie było w nim jadu kiełbasianego. W końcu stał w lodówce OBOK parówek.

– A jeśli będą płakać? – spytała Maria, która najwyraźniej ostatni raz była na pogrzebie mniej więcej wtedy, kiedy ludzkość wynalazła koło. Mam nadzieję, że od tamtego czasu widziała jakiś pogrzeb. Chociażby w telewizji.

– No zazwyczaj płaczą – powiedziałam na odczepnego.

– I co mam wtedy mówić?

– Nic. Albo że ci przykro.

– A jeśli będą mieli jakieś wyjątkowe wymagania?

– Nie ma takich wymagań, których nie bylibyśmy w stanie spełnić. Nawet jeśli zamówię trumnę w kształcie ust Angeliny Jolie, damy im ją.

– OK, a jeśli im się nie spodoba, to co mam powiedzieć?

W sensie trumna w kształcie ust Angeliny?

– NIE MA TAKIEJ OPCJI, że im się nie spodoba. Masz robić tak, żeby im się spodobało. Inaczej pójdą do Tłustego Alberta i ojciec dostanie zawału.

– A jeśli...

– Jezu, Maria, masz cycki i głowę? Kombinuj! I pamiętaj, bądź miła.

Co prawda, ta ostatnia zasada dotyczy wszystkich oprócz mnie, ale moja siostra chyba nie powinna mieć z tym problemów. W końcu należy do bliżej nieokreślonych WSZYSTKICH. Jezu, mogłaby przynajmniej zetrzeć tę ohydną czerwoną szminkę. Wygląda tak, jakby przegryzła komuś GARDŁO i nie zdążyła obetrzeć ust. I jak ona zamierza przyjmować interesantów?

Maria

Mogłaby nałożyć trochę makijażu. Pomadka do ust jeszcze nikogo nie zabiła. To znaczy CHYBA nie zabiła. Nie mówię o tych wszystkich kobietach, które malują sobie usta w samochodzie, zapominając, że tym razem siedzą za kierownicą i tekst: „Kochanie, umiem kierować jedną ręką” może okazać się ostatnią wiadomością przekazaną światu. Boże, co ja bredzę?

Świetnie. No to mnie zostawiła. I jeszcze mam być miła. Proszę bardzo. To akurat potrafię. Nauczyłam się tego z bajek Disneya. A nie, z bajek Disneya zapamiętałam coś innego: nigdy nie rozmawiaj z nieznanym. No chyba że wygląda jak Johnny Depp. Trzeba być miłym, bo zawsze może się okazać, że sąsiad mieszkający piętro niżej, któremu zawsze sypiesz popiół z papierosa na pranie, jest tak naprawdę – w przerwach, kiedy nie jest twoim sąsiadem – panem z ZUS-u albo z innego urzędu, na przykład skarbowego, a nawet, nie daj Boże, premierem Polski. Jak Nina w ogóle może zajmować się przyjmowaniem kogokolwiek, kto nie jest MARTWY albo ewentualnie w śpiączce farmakologicznej? Przecież ją mdli za KAŻDYM razem, kiedy musi być miła. Pamiętam, jak zareagowała pierwszy raz, kiedy ojciec poprosił ją, żeby była miła dla ciotki Natalii. Zhaftowała się zaraz po powitaniu. To samo zrobiła w przedszkolu, kiedy ojciec kazał jej być grzeczną. Podczas gdy wszystkie dzieci robiły pokornego cielaka, ona postawiła na zjawiskowego pawia. I to jeszcze przed leżakowaniem. Dlatego nie mam zielonego pojęcia, jakim cudem nikt się na nią nie skarży, mało tego, WSZYSCY są zadowoleni. Może wynika to z faktu, że ona nigdy się nie uśmiecha, więc idealnie wpasowuje się w tutejszy wystrój, to znaczy nastrój.

Jakub

Trudno, idę. W moim bloku, piętro niżej przyjmuje psychoterapeuta. Widziałem tabliczkę i mogę się założyć, że wisi tam mniej więcej od dziesięciu lat, a ja jej nie zauważyłem. Tak samo jak nie zauważyłem, że runęły wieże WTC i że otworzyli chińską knajpę za rogiem. Nieważne, idę tam. Przecież to nic takiego. Najwyżej zmienię nazwisko, utlenię sobie włosy i wyjadę z kraju natychmiast po wizycie.

Maria

– Wybrali już państwo trumnę? – spytałam, udając, że wiem, co mówię. Tak jak kazała mi Nina. Na kanapie siedzieli państwo: Barbie i Ken. Mimo tego, że składali się w dziewięćdziesięciu procentach z plastiku i dziesięciu z powietrza, byli naprawdę TRUDNYMI rozmówcami.

– Tak, ale jest pewien problem – wyjaśniła pani Barbie, która była teflonową blondynką w bardzo ciasnej spódnicy, jak na Barbie przystało. Spódnica służyła tylko do przytrzymywania jej nóg blisko siebie. Z kolei małżonek Barbie – jak to Ken – miał NA BANK implant prącia, bo mówił cały czas na jednym i to bardzo wysokim tonie. Razem wyglądali jak „Made in China”, chociaż – jak rozumiem – bardzo chcieli wyglądać na „Made in America”. Zresztą, co za różnica. Wszystko jest dziś robione w Chinach. Nawet meble z IKEI musisz sobie skrócić wkrętarką z Chin. Czasami zastanawiam się, czy europejskie dzieci są w ogóle jeszcze robione w Europie. Zerknęłam ponownie na uroczą parę. Znacnie ich na pewno. To jedni z tych, co jadają obiad za minimum pięćset złotych. Bo nawet jak sobie kupią ryż za dwa złote i ketchup do ryżu za złoty pięćdziesiąt, to MUSZĄ to zjeść w okularach Prady za czterysta dziewięćdziesiąt sześć. To ci sami, którzy dzwonią do ciebie, żeby powiedzieć, że właśnie nie mogą z tobą rozmawiać, bo są akurat na sushi, tyle tylko, że nie do końca wiedzą, co to właściwie jest sushi. Dlatego wciąż przynoszą TO sushi do domu w słoiku, bo nie są pewni, w jaki sposób powinni je jeść (z chlebem ze SMALCEM i z ogórkiem kiszonym?).

– Jaki problem? – westchnęłam. Ciekawe, czy zauważyli już mój siwy włos? Oczywiście, on nadal tam jest. Czy oni właśnie się na niego patrzą? Skąd wiedzieli, że jest za uchem? Może jest nie tylko siwy, ale i FLUORESCENCYJNY?

– Ciocia nie umarła tutaj, trzeba przewieźć zwłoki... – Barbie wyciągnęła chusteczkę, chociaż

zakładam, że ciężko jej będzie uronić łzę. Gałki oczne też ma pewnie z plastiku. Może pobiec po glicerynę? Coś mi się zdaje, że ciocia była im BARDZO bliska, ale kiedy zdmuchnęła świece na torcie z okazji osiemdziesiątych urodzin, zrozumieli, że mieszkanie DŁUGO się nie zwolni. No ale najwyraźniej w końcu się doczekali. Mam nadzieję, że nie przyspieszyli jej pogrzebu, bo z więzienia nam raczej nie zapłacą za trumnę.

– Wszystkim się zajmujemy – powiedziałam na wszelki wypadek. Czy oni myślą, że ja nie mam innych rzeczy na głowie? Otóż mam. Chociażby ten przeklęty siwy włos. Może jak usiądę bokiem, to nie zauważą.

– Ciocia umarła w Chicago – wyjaśnił Ken takim głosem, jakby trafił razem ze spodniami do pralki i dzinsy właśnie kurczyły się w praniu.

No tak.

– W porządku. Zamówimy transport lotniczy. – Szyłam na miejscu. Nie mam pojęcia, czy ojciec ma własny odrzutowiec do transportu zwłok, a jeśli nie, to czy można taką wycieczkę zwłok zamówić w trybie „last minute” i zdążyć jeszcze wykupić miejsce, które nie będzie STOJĄCYM.

– W żadnym wypadku – zaprotestowała Barbie.

– Ciocia bała się latać – wyjaśnił Ken.

Czy oni myślą, że ciocia robi to jakąś różnicę???

– Rozumiem, ale...

– Są inne opcje? – spytała Barbie.

Inne opcje? Na Boga, czy my jesteśmy w IKEI, a oni pytają mnie, która kanapa będzie idealnie pasować do jej miętowego lakieru do paznokci i jego kłapków od Armaniego?

– Transport... morski? – zaryzykowałam, chociaż naprawdę nie miałam pojęcia, czy stać nas na jednoosobową kajutę z klimatyzacją, sauną i darmowymi drinkami dla martwej ciotki Barbie i Kena.

– O, nie! Widziała *Titanica*, nie wsiadała nawet na prom – potrząsnął głową Ken, a jego włosy nawet nie drgnęły.

To już wycieczkę gondolą też możemy sobie darować.

– To może... herbaty?

Mam nadzieję, że ciocia nie miała nic przeciwko herbacie, do zrobienia której będę musiała użyć tego brzydkiego słowa na „w”, którego NAJWYRAŹNIEJ nie należy przy nich wymieniać. Czy oni wiedzą, że człowiek składa się w siedemdziesięciu procentach z wody? A, przepraszam, Barbie i Kena to nie dotyczy.

Jakub

– Czy to na pewno nic poważnego?

Zmusiłem się, żeby spojrzeć na nią raz jeszcze, chociaż nie byłem pewien, czy nie przypłacę tego trwałym uszkodzeniem dobrego smaku; mogłem się też nigdy nie dowiedzieć, czy to ze mną jest coś nie tak, czy ze szpitalną stołówką. Przedemną siedziała młoda kobieta, która usilnie dążyła to tego, żeby wyglądać jak własna babka. Nie powiem, zbliżała się do IDEAŁU. Wyglądała prawie jak babcia z *Czerwonego Kapturka*, to znaczy z tego fragmentu, gdzie wilk przebiera się za babcię, żeby nie było żadnych wątpliwości. I już nawet nie chodzi o to, że miała ażurowe rajstopy (ostatni raz widziałem takie, kiedy byłem w zerówce), i to WŁASNEJ matki, i nie o to, że pachniała naprzemiennie amolem i lawendowymi kulkami na mole. Bałem się, że za chwilę wyciągnie druty i zacznie mi dziergać czapkę na zimę. A potem uszczypnie mnie w policzek i zacznie upewniać się, czy na pewno noszę KALESONY.

Chryste... Po wydekamowaniu dwudziestominutowego monologu dowiedziałem się nie tylko tego, że potrzebuje skierowania do dermatologa, bo to, co wyszło na jej rękę, może być rakiem skóry, ale też tego, że ma dwa koty, że posiada dyplom z florystyki i że miesiąc temu zostawił ją chłopak, po zaledwie trzech tygodniach. Zastanawiam się, jak to w ogóle możliwe, że aż tyle wytrzymał. Chyba że właśnie nie wytrzymał i postanowił się ewakuować jedynym znanym mi męskim sposobem na tego rodzaju kobiety, czyli skacząc z trzeciego piętra, upewniwszy się uprzednio, że to SZÓSTE.

– Czy to na pewno nic poważnego? – powtórzyła trochę głośniejszym głosem. Czyżby nie dosłyszała? Może gdyby zdjęła z głowy tego ogromnego koka, w którym na pewno załęgły się już jakieś żywe istoty, może nawet te dwa koty (o których zaginięciu i odnalezieniu uprzejmie mnie poinformowała między innymi informacją, jak wywabiać plamy po ketchupie z papierowej serwetki i dlaczego warto trzymać rajstopy w zamrażarce), to usłyszałyby mnie wyraźniej.

– Na pewno, ale na wszelki wypadek dam pani skierowanie do dermatologa – potwierdziłem uprzejmie, chociaż myślami byłem już przy kolejnej kawie z mlekiem i aspiryną. Chociaż jak tak na nią patrzę... to może nawet z dwiema aspirynami.

– Skoro pan tak mówi... – Spuściła głowę i zerknęła na czubki swoich butów, co, niestety, sprawiło, że i ja tam spojrzałem. Pierwszorzędne buty KAŻDEJ emerytki: do Ciechocinka i do trumny. – Nie chciałabym umrzeć i zostawić moich kotów. Chociaż różnie to bywa. Mogą odejść pierwsze. Poza tym jeden z nich ostatnio nie czuje się najlepiej.

– Proszę się nie martwić. Koty mają siedem żyć. Podobno. – W heroicznym geście odwagi powiedziałem to trochę cieplejszym tonem, bo pomyślałem, że ona może mieć BARDZIEJ nudne życie, niż ja.

– Uważa pan, że zwierzęta mają duszę? – spytała z taką nadzieją w głosie, że przez moment myślałem, iż za chwilę wyciągnie magiczny niezbędnik oazowy, odśpiewamy *Barkę* i zaczniemy roztrząsać kwestię życia po śmierci. KOCIEJ, żeby nie było wątpliwości.

– Koty na pewno. I to dosyć wredną – powiedziałem, siląc się na uśmiech, który może mnie w przyszłości kosztować żylaki za uszami.

– Jest pan zabawny.

– Dziękuję. Tu jest skierowanie. To na pewno nic groźnego. Nic nie będzie ani pani, ani pani kotom – powiedziałem to niemal przyjaźnie, myśląc już tylko o tym, że ona za chwilę wyjdzie z gabinetu i nigdy tu nie wróci.

– Dziękuję. To miłe z pana strony. Jest pan miły.

– Dziękuję.

– Jest pan żonaty?

– Nie.

– Och... – uśmiechnęła się szeroko.

I wtedy właśnie uświadomiłem sobie, skąd ją znam. Znam ją z opowieści Artura. Że też nie poznałem jej od razu! To ta świruska, która przychodzi do wszystkich lekarzy, którzy nie mają obrączki. Ma jakąś obsesję na punkcie wyjścia za mąż przed dwudziestym piątym rokiem życia. I posiadania dzieci przed wyżej wymienioną datą. Przychodziła do Artura, dopóki nie sfingował własnego ślubu i w dalszym ciągu – na wszelki wypadek – trzyma w szufladzie SYGNET wuja, który w razie czego będzie mógł założyć przodem do tyłu i udawać, że to obrączka. Że też ja nie wpadłem na ten sam pomysł! Muszę się ewakuować. Artur ZA DUŻO mi naopowiadał o tej wariatce, żebym mógł tu teraz spokojnie z nią siedzieć, zwłaszcza po tym, jak się zdemaskowałem jako singiel. I co teraz? Jak na złość, nikt dziś nie zajrzał od pół godziny. Co za pech! Normalnie cały czas ktoś się pakuje do gabinetu, jak nie pielęgniarka, to ksiądz po kolędzie, a jak potrzebujesz, żeby się ktoś wpakował, to nie ma nikogo.

– O! – wrzasnąłem, kiedy usłyszałem zbawienne pukanie i zanim powiedziałem „proszę”, drzwi otworzyły się na oścież. Dzięki ci, dobry Boże!

– O, przyszła moja dziewczyna! – wrzasnąłem na widok Niny, która z bardzo głupim wyrazem twarzy obejrzała się za siebie.

– Kochanie, przyniosłaś kanapki! – Poderwałem się natychmiast i chwyciłem za reklamówkę, którą Nina ścisnęła kurczowo, i coraz bardziej kurczowo, w rękę. – Hmmm... Z czym tym razem? Z kurczakiem? O, i obrałaś pomarańczę. Nie musiałaś...

Zajrzałem do środka: płyn do BALSAMOWANIA zwłok. Cudownie.

– Dziękuję, że przyszłaś. – Objąłem ją gestem bardziej wujka Mariana niż Brada Pitta, ale to tylko dlatego, że dawno tego nie robiłem. Właściwie w przypadku Niny to chyba nawet NIGDY.

– Odbiło ci? – syknęła Nina.

– Poczekaj na zewnątrz, zaraz skończę – zacząłem.

– Zapomniałam recepty – burknęła.

– Pocałuj mnie – wymamrotałem, próbując ją przyciągnąć do siebie, co nie było wcale takie łatwe. Nina była tak sztywna, jakby nastąpiło już przedwcześnie stężenie pośmiertne, i musiałbym chyba złamać jej rękę, żeby mnie objęła.

– Czy ty masz dwubiegunową SCHIZĘ? – warknęła Nina i nic nie wskazywało na to, że zamierza mnie całować. Nie będę PRZECIEŻ na nią czekał, bo to może potrwać mniej więcej tyle, ile czasu trzeba na to, żeby Europa znów rozłączyła się z Azją. A czas nagli. Przycisnąłem ją do ściany i pocałowałem.

– To do zobaczenia! – Wypchnąłem ją siłą za drzwi natychmiast po zbliżeniu.

– Guma – powiedziała Nina przez ZACIŚNIĘTE zęby.

– Co?

Niech ona nie żartuje, w końcu tylko się pocałowaliśmy...

– Oddaj moją gumę do żucia.

A, guma. Szybko wyjąłem ją z ust i oddałem. Kobieta Udająca Własną Babkę popatrzyła na mnie zdumiona. Zupełnie jakby zdążyła zrobić mi w tym czasie sweterek w bałwanki, a ja bym powiedział, że wolę jednak w reniferki. Zawiedziona? No, trudno. Takie jest życie.

– To... z czym te kanapki? – Zrobiła minę, jakby miała zaraz się rozpłakać. Zanim się zorientowałem, reklamówka Niny już była w jej rękę. Boże, niech ona jej nie otwiera!

No ale otworzyła.

– Płyn do balsamowania zwłok? – spojrzała na mnie kompletnie zszokowana.

– O, znowu się pomyliła. No widzi pani, jak roztargnione potrafią być kobiety – zaśmiałem się tak naturalnie, jak naturalne są piersi Pameli Anderson.

– Zabrała przez pomyłkę płyn do balsamowania zwłok? – Uniosła brwi tak wysoko, że przestraszyłem się, iż nigdy już nie wróci na swoje miejsce.

– Narzeczona pracuje w muzeum historii naturalnej. Wypycha zwierzęta – powiedziałem, kiwając głową w nabożnym skupieniu. Boże, jeśli Nina (która w ciągu trzech minut stała się moją dziewczyną, a w ciągu trzech następnych narzeczoną) tu wróci, to żeby ubiec jej ewentualne zapytania, sam się osobiście WYPCHAM. Albo zgłoszę się na ochotnika na dawcę organów. I to w trybie natychmiastowym. No ale przynajmniej ją pocałowałem. W zasadzie tak dawno tego nie robiłem, że już nie wiem, czy to się wciąż odbywa przy udziale ust, a nie Facebooka. To był pocałunek, prawda? PRAWDA???

Nina

Czy on mnie właśnie pocałował, czy znów wzięłam ZA DUŻO ibupromu? Albo on go wziął za dużo. Zdecydowanie coś jest nie tak.

Jakub

Muszę zadzwonić do Artura. Kiedy tylko Kobieta Udająca Własną Babkę zniknęła za drzwiami (odgrywając przed wyjściem partię Ofelii z *Hamleta* i zupełnie nie wiedzieć czemu pomijając kluczową – dla Ofelii, rzecz jasna – finałową scenę samobójstwa), natychmiast chwyciłem za telefon.

– Artur?! – wrzasnąłem w takiej desperacji, jakbym się właśnie dusił i chciał, żeby mi powiedział, jak mam SOBIE samemu zrobić sztuczne oddychanie. – Potrzebuję konsultacji. Za pięć minut w stołówce!

– Jak tam sprawy? – spytał niespiesznie Artur, przeciągle ziewając i jednocześnie strzelając z plastikowego widelca w Juliana, który jak zwykle siedział pod oknem i wyglądał tak, jakby odczytywał list episkopatu na kolejną niedzielę zwykłą. Nie zareagował. Julian jest ponad tym.

– Jakie sprawy? – spytałem, nie wiedząc, czy nie pyta mnie przypadkiem o sprawy na Bliskim Wschodzie.

– Słyszałem, że była u ciebie ta świruska, która chce wyjść za mąż przed dwudziestym piątym rokiem życia. – Ziewnął raz jeszcze.

Jezu, skąd on to wie? Skąd on JUŻ to wie??? Aaaa, pewnie dziewczyna z recepcji puściła farbę. A właściwie ewakuowała w trybie natychmiastowym cały szpital (który czeka teraz na zewnątrz w maskach przeciwgazowych i z reklamówką zupek chińskich na wypadek, gdyby to miało trochę potrwać), a przynajmniej tę część szpitala, która chodzi w spodniach i nie ma obrączki. Boże, oddziałowa Celina też chodzi w spodniach i nie nosi obrączki. Czy ta szalona kobieta ją TAKŻE próbowała poślubić???

– Stary, to kompletna wariatka – zniżyłem głos, bojąc się, że po nieudanej scenie z Ofelią rzeczona wariatka może tu w każdej chwili wrócić, żeby odegrać *Romea i Julię*, z tą różnicą, że to ja będę Julią.

– Mnie to mówisz? Do tej pory trzymam sygnet wuja w szufladzie. – Artur zrobił minę, jakby sobie nagle przypomniał, że sygnet leży tam z całym palcem. – I co zrobiłeś?

– Powiedziałem, że mam dziewczynę.

– Uwierzyła?

– Chyba tak, zwłaszcza że tę dziewczynę na jej oczach pocałowałem.

– Że co???

– No musiałem pocałować Ninę.

– Kogo?

– Ninę, tę moją pacjentkę, która przychodzi codziennie.

– Też szuka męża?

– Wierz mi, że to ostatnia rzecz na świecie, której ona szuka w moim gabinecie.

Niestety.

– Podoba ci się? – spytał Artur, patrząc w tym samym kierunku, co ja, czyli na oddziałową Celinę nakładającą sobie podwójną... a nie, potrójną porcję potrawy kurczaka, a potem ziemniaki, kluski śląskie, sałatkę z brokułów, śledzia w śmietanie, jajko w majonezie, twaróg ze szczypiorkiem... Przy kompocie z truskawek i porzeczkowej galaretki z bitą śmietaną mnie zemdleło i nie mogłem wyjść z podziwu. Jezu, MEBLE też sobie zaraz nałoży?

– Celina? Boże, nie! – Niemal się przeżegnałem. Jestem prawie pewien, że jak idziesz z siostrą Celiną

do restauracji, to ona oddaje kelnerowi menu i mówi: – Poproszę!

– Nina, idioto! Podoba ci się?

– Eeee...

Czy podoba mi się Nina? Pomyślmy. Czy podoba mi się dziewczyna, która nigdy się nie uśmiecha, ma minę na „Jezu, dopiero co usiadłam”, złośliwością przewyższa papier toaletowy, który zawsze się kończy w nieodpowiednim momencie, ma tyle chorób, ile liczy lista osób niepłacących abonamentu RTV albo ściągających muzykę z internetu, i zażywa leki, których koncerty farmaceutyczne jeszcze nie zdążyły wyprodukować? Oczywiście, że TAK!

– Pójdiesz z nią do łóżka?

– Jezu, Artur...

– Jezu, Kuba. Jesteśmy dorośli. Skończyłeś osiemnaście lat? Stary, skończyłeś, prawda??? Nie siedzę tu z tobą nielegalnie? Mogę podawać ci rękę na powitanie bez obecności prokuratora?

Artur na pewno jeszcze nie skończył osiemnastu lat. Albo z każdym rokiem cofa się do tego wieku.

– Co ja mam teraz zrobić? – spytałem raz jeszcze, chociaż pytanie Artura o cokolwiek zwykle przypomina wycieczkę TVN-u do Radia Maryja.

– Mówisz, że ją pocałowałeś, tak?

– No...

– Teraz musisz się z nią ożenić.

– Co???

– Jezu, Kuba, ile ty masz lat? Dwanaście? Myślisz, że teraz czas na indiański rytuał plemienny: zanim ją poznasz, poznasz jej rodziców, oni wyznaczą datę ślubu, pójdiesz z nią do łóżka, a dopiero potem będziesz mógł zobaczyć, jak wygląda? Stary, wyluzuj.

– Nie powinienem był jej całować. To było nie na miejscu... – obstawałem twardo przy swoim.

– Mogę ci zaraz powiedzieć, co konkretnie było w tej sytuacji nie na miejscu, ale nie chcę urazić twoich uczuć religijnych – westchnął Artur. – Będę używał terminów medycznych.

– Muszę ją przeprosić...

– Idź z nią do łóżka.

– Boże, Artur, czy znasz jakieś rzeczy, które można robić z dziewczyną, zanim się z nią pójdzie do łóżka?

Artur zmarszczył czoło.

– Tak, trzeba rozłożyć łóżko.

Wspaniale.

– Zaproś ją gdzieś.

– Co?

– To jest takie coś, przez co, niestety, musisz przejść, zanim pójdziecie na łóżka. Do kina ją zaprosź.

– Do kina?

– Otóż, Kubo, kino to takie miejsce z telewizorem, z tą tylko różnicą, że nie idziesz tam z pilotem i nie możesz wyjść do kuchni, żeby zrobić sobie kanapkę podczas przerwy na reklamę. Aha, nie zapomnij tylko wziąć paszportu.

– Jakiego znowu paszportu???

Jezu, chyba dawno nie byłem w kinie... Na amerykańskie filmy muszę wchodzić z paszportem???

– Jezu, po prostu ją gdzieś zaprosź. Potem się będziemy martwić, co dalej – mruknął Artur z tak znudzoną miną, jakbym mu streszczał wczorajsze obrady sejmku i jeszcze te przedwczorajsze.

Już widzę, jak Artur, który najpierw idzie z kobietą do łóżka, a dopiero potem poznaje jej imię i PŁEĆ, okazuje się pomocny w tej sprawie. Jezu, obawiam się, że jak tak dalej pójdzie, to skończę obok Juliana

pod oknem. Będziemy pić kawę sztucami, GOLIĆ czoło i kserować wspólnie paragony całemu szpitalowi. Zerknąłem szybko w stronę okna. Julian przestał odczytywać list episkopatu i przeszedł do orędzia prezydenckiego do narodu. Dobrze, dziś się odważę i pójdę do miłego starszego pana z porożem jelenia.

Maria

– Chcemy, żeby syn został pochowany w dresie.

Aha.

– Syn był sportowcem? – spytałam na wszelki wypadek, chociaż to chyba nie był najlepszy pomysł, bo za siedzącymi na kanapie rodzicami (którzy wyglądali RACZEJ normalnie, co w tym kraju jest raczej MAŁO prawdopodobne, a już na pewno się nie oplaca) rzeczonoego młodzieńca stała brygada ubranej na dresowo młodzieży płci męskiej. Raczej nie wracali z kościoła.

– Tak... jakby... – zawahał się ojciec, zerkając niepewnie i z ukosa na wsparcie moralne, które zapewne miała mu dawać obecność dresów. Nie wyglądali na uprawiających jogging.

– Przepraszam na moment – powiedziałam, udając (jak zwykle), że wiem, o co chodzi.

Jezu Chryste, i co ja mam teraz zrobić? Założyć dres i przejść do konkretów? Gdzie jest, do diabła, Nina? Spokojnie, tylko spokojnie. Pomyślmy. Gdzie bym była w piątkowe popołudnie, gdybym była dwudziestoczteroletnią, niezamężną i całkiem atrakcyjną kobietą? Oczywiście, w KOSTNICY.

– Nina! – wrzasnęłam z piętra.

Nina dorabiała właśnie brwi jakiemuś miłemu martwemu młodzieńcowi, który wyglądał na miłośnika wycieczek rowerowych i namiętnego kolekcjonera kapselków od Tymbarka.

– Mam na górze ludzi, którzy chcą pochować chłopaka w dresie – wysapałam.

– W dresie, mówisz... – zamyśliła się.

– To jakieś wariactwo!

– Tak? A ja mam tutaj koleś, który ma minę, jakby jego ostatnimi słowami w życiu były: „O, przepraszam, chyba ubrudziłem panu dres”. A w chłodni leży facet, którego ostatnie słowa przed śmiercią na pewno brzmiały: „O, przepraszam, nie wiedziałem, że to pańska żona”. TAKA praca.

Wiedziałam, że ona mi TEJ pracy nie ułatwi.

– To co ja mam zrobić? – spytałam w końcu.

– Wrócić i spytać, jaki dres sobie życzą: bawełniany czy z ortalionu.

Że też ja na to nie wpadłam...

Nina

Że też ona musi mi zawracać gitarę TAKIMI głupotami, podczas gdy mam ważniejsze sprawy na głowie. Po co on mnie w ogóle pocałował? Bo jeśli myślał, że zmienię płęć i zamienię się w księcia Karola, to bardzo mi przykro, ale to NIE TEN adres. Jest jeszcze jedno pytanie, które mnie nurtuje. I to nawet bardziej. Czy UMYŁ wcześniej zęby? A tam, zęby! Ręce!

Jakub

Przyznaję, NIE BYŁ to pocałunek stulecia, ale przecież nie byłem w stanie zapytać, czy mogę.

Wyobrażacie sobie, co to by było? Znajac Ninę, musiałbym najpierw przepłukać usta lizolem albo jodyną i załączyć kartę dentystyczną. A może nawet kartę szczepień. Nie wiem, co jeszcze musiałbym jej dać, żeby móc ją pocałować. A nie, już wiem. NARKOZĘ.

Edward

Dobrze. Skupmy się, Edwardzie. „Hortensja spojrzała rozplomienionym wzrokiem”... Jezu, zapomniałem wstawić mleko do lodówki! A minęły już trzy dni... Spokojnie, nic mu nie będzie. Nie wiem, czy mi w związku z tym nic nie grozi, ale nie będę o tym TERAZ myślał. Mam tylko nadzieję, że nie powtórzy się historia sprzed dwóch tygodni, kiedy żółty ser, po który sięgnąłem, okazał się być twarogiem z zeszłego miesiąca. Odkryłem to tylko dlatego, że za nic nie mogłem sobie przypomnieć, że bym kupował żółty ser. Dobrze, jeszcze raz. „Hortensja spojrzała...”. Boże, co to za hałas na górze? Czy to ci spod ósemki uprawiają seks, czy to TYLKO zarzynana świnka morska? Jak tak dalej pójdzie, będę z nimi wychodził na papierosa, jak już będzie po wszystkim. Jezu, dobra, jeszcze raz. „Hortensja...”. Nie wierzę... Gówniarze od tych spod piątki znów nadrabiają zaległości w łacinie. Najwyraźniej po raz kolejny zostali sami w domu. Może powinienem ich gdzieś zgłosić? Tylko gdzie? Do schroniska dla zwierząt? Dobra, tylko spokojnie. Nie takie rzeczy słyszałeś, Edwardzie. Skupiamy się i zaczynamy raz jeszcze. O nie! Znów zostawiłem czajnik na gazie? Boże, Boże, czy to możliwe, że nie pamiętam już nawet takich rzeczy? Ile chcę cukru? DWIE łyżeczki, a co? A więc słyszę głosy, o Boże... A nie, to ci obok. Robią herbatę. No i po co komu sąsiedzi? Ten, kto ich wynalazł, odpowiada pewnie za wynalezienie urzędów skarbowych i pocztowych okienek wielkości dwuzłotówki. Dobra, teraz już NAPRAWDĘ jestem skupiony. „Hortensja”... Na Boga, telefon! Nie, nie, dziękuję. Nie potrzebuję elektrycznego noża do otwierania puszek z napojami gazowanymi. Przynajmniej tak mi się wydaje. W zasadzie teraz to już nie jestem pewien... Jeszcze raz! „Hortensja”... Chryste, nie wierzę, dzwonek do drzwi!

Jakub

Facet, który otworzył mi drzwi, wyglądał normalnie. Nie miał żadnej brody, okularów ani poroża jelenia. Nawet nad biurkiem. Bo nie miał biurka. A więc moje ewentualne obawy co do leżenia na kozetce z zupełnie obcym facetem były, jak widać, zupełnie nieuzasadnione. Facet ten nie miał kozetki. Miał za to poplamiony jajkiem i ketchupem T-shirt i taki wyraz twarzy, jakbym go przyłapał w szatni po wufie na wkładaniu kalesonów albo na czymś porównywalnie MAŁO męskim. Co jest grane? Może dziś nie przyjmuje?

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale... – zacząłem. – Jesteśmy sąsiadami od... – Boże, od jak dawna nie mam pojęcia, że na dole przyjmuje psychoterapeuta? – ...tak dawna, a ja przychodzę dopiero teraz. No ale potrzebuję pomocy. A nie ma to jak sąsiedzka pomoc. Jestem Jakub.

Jezu, zabrzmiało to tak, jakbym był panią Haliną albo Krystyną z klatki obok i przyszedł pożyczyć szklanekę cukru, ale właściwie to szklanekę mam swoją, bo używam jej przede wszystkim do podsłuchiwania sąsiadów, a zaraz potem do pożyczania cukru. No trudno. Tak jak mówiłem, jeśli będzie niefajnie, uciekam z kraju.

– To gdzie się mogę położyć?

Edward

Kim, na Boga, jest ten facet? I dlaczego kładzie się na mojej kanapie? Wyglądał normalnie, kiedy mu otwierałem. Boże...

– Nie mogę spać – zakomunikował.

Jezu, i co mnie to obchodzi? Czy to oznacza, że każdy, kto nie może spać, będzie tu przychodził i pytał, gdzie się może położyć? Jeden znajomy kiedyś mi opowiadał, że przyszło do niego TAKICH DWÓCH i zanim się zorientował, byli już po imieniu, oglądali Magdę Gessler i przyrządzali razem łososia z sosem truflowym i makaronem (łososia i sos truflowy pominęli), a na koniec się okazało, że oni wcale nie są z gazowni. A więc to jest mój sąsiad... A jaką ja mogę mieć pewność, że mówi prawdę? A jeśli kłamie i jest księdzem po kolędzie, tyle że w cywilu? Albo STRIPTIZEREM, który pomylił klatki? Dlaczego ja go sobie w ogóle nie przypominam? Oczywiście, że go sobie nie przypominam, bo NIGDY go nie widziałem na oczy. To znaczy, żeby była jasność, żadnego z sąsiadów nie widziałem na oczy. Moją wiedzę o sąsiadach czerpię ze słuchu. I z telewizji. Z tego, co wiem, naszymi zachodnimi sąsiadami są nadal Niemcy i ta wiedza na temat sąsiadów mi ABSOLUTNIE wystarcza. Poza tym, nawet jeśli ten facet jest moim sąsiadem, jak utrzymuje, to co to za odwiedziny o siódmej wieczorem? Swoją drogą, nie może zasnąć o siódmej wieczorem i jest zdziwiony?

– Nie śpię już od miesiąca – powiedział. – Zupełnie nie wiem dlaczego. Próbowałem wszystkiego...

No i? A skąd ja mam wiedzieć, dlaczego on nie śpi? Ja wiem, dlaczego JA nie śpię. Bo zawsze w nocy coś mi się przypomina. Że nie zamknąłem lodówki. Że nie kupiłem sobie elektrycznej maszynki do mielenia mięsa, której w ogóle nie potrzebuję, ale mogę zacząć potrzebować w każdej chwili. Że nie dałem na biedne dzieci z Etiopii. I muszę wstać. Ostatnio przypomniło mi się, że zrobiłem o trzy przysiady za mało, niż radzili w telewizji śniadaniowej. A kiedyś nawet chciałem zadzwonić w nocy do Marii, bo zapomniałem jej się oświadczyć. To nie był najlepszy pomysł. Kiedy zadzwoniłem, zamiast upragnionego „tak” usłyszałem: „Zdzwonimy się”.

– ...a potem ćwiczyłem jogę...

Czasem zdarzały mi się też problemy z sennością. Zwłaszcza kiedy musiałem pisać w nocy te przekłete scenariusze do pornosów. No i książeczkę dla dzieci. To znaczy dla mamy. Byłem senny jak relacja z produkcji TWAROGU w *Agrobiznesie*. Kiedy kawa przestała już działać, postanowiłem poradzić się Marii. – Muszę coś zrobić, żeby przestać spać – wyjaśniłem jej pokrótce, stojąc o drugiej w nocy nad łóżkiem, jakbym ją właśnie informował, że zlałem się w gacie i trzeba mnie przewinąć. – Kawa nie działa – dodałem na swoje usprawiedliwienie. – Co mam wziąć? – Weź kredyt we FRANKACH – burknęła Maria, przekręcając się na drugi bok. No tak.

– ...a potem poszedłem na siłownię, ale...

Jak widać, nie jestem mu chyba do niczego potrzebny.

– Co pan na to?

Co? Czy on mnie może o coś pyta? Przecież ja go nawet nie słuchałem! Gdybym tylko mógł być bardziej asertywny... Może nie musiałbym wtedy kupować od domokrażców tych wszystkich odkurzaczy na energię świetlną, golarek do JESIONKI sterowanych przez satelitę okołoziemską, płyt z muzyką ułatwiającą zasypianie, którą możesz sobie ustawić jako budzik w komórce, i innych cudów-wianków, a już na pewno nie zapraszałbym do środka świadków Jehowy, cyganek prawdę mówiących i przybyszów z Matplanety, czyli spisujących liczniki. Ale ja asertywny jestem TYLKO przez telefon. Tylko wtedy mogę kłamać bez problemu. Jak pewnie cała reszta narodu. Dlatego rozmowy z urzędem skarbowym, kolegą (który chce się dowiedzieć, jak skutecznie zgolić wąsy) i własną matką powinny odbywać się WYŁĄCZNIE drogą telefoniczną. Prosto w oczy nie umiałbym powiedzieć urzędowi, dlaczego

odpisałem sobie dzieci sąsiadów od podatku, koledze, żeby zgolił wąsy „jak najszybciej”, a mamie, że, owszem, jem mięso, ale tylko takie, które SAMO spadło z drzewa, a do tej grupy jej kotlety (brrr...) się nie zaliczają.

– Słucham? – spytałem, żeby zyskać na czasie. Gdzie ja miałem głowę, kiedy go wpuszczałem do mieszkania? Obiecuję, już nie będę wpuszczał obcych. Chyba że atrakcyjnych. I gdzie jest moje relanium, do jasnej cholery?

– CO PAN NA TO?

Co ja na to? Bo ja wiem? Nie wiem, bo nie słuchałem. Mój Boże, to takie aroganckie. Człowiek przychodzi, kładzie się na twoją kanapę, a ty co? Nie kopie się leżącego. Zwłaszcza jeśli leży na twojej kanapie. Edward, skup się! Co można powiedzieć w takiej sytuacji? To nie powinno być takie trudne. Oczywiście, że jest trudne. Zupełnie jak referendum. Pytają cię, czy zmiany są a) potrzebne, b) niepotrzebne* i czytasz dalej, że * niepotrzebne skreślić. I jak tu żyć? No, dalej! O co byś spytał, gdybyś był psychoterapeutą?

– Kiedy ostatni raz uprawiał pan seks?

– Ale... w sensie... z kobietą?

O Boże. No dobrze. Przynajmniej jest normalny. Statystycznie 99,9% mężczyzn się onanizuje. Pozostałe 0,1% urodziło się BEZ RAŃK.

Jakub

Dziwne pytanie... No ale przynajmniej nie spytał, czy śnią mi się Indianie, czy słyszę głosy z kaloryfera i kiedy ostatni raz dałem na mszę. Co to w ogóle ma do rzeczy? Dlaczego ci wszyscy terapeuci ZAWSZE pytają o seks? Zupełnie jak księża w konfesjonale. Czyżby jedni i drudzy chcieli usłyszeć w końcu coś ciekawego? No to bardzo mi przykro. W tej sprawie od jakiegoś czasu nieczynne. Niestety. Coś mi się wydaje, że jak tak dalej pójdzie, to potrzebny będzie REMANENT.

– A pan? – spytałem, zanim zdążyłem pomyśleć.

– Co to za pytanie? – oburzył się. – Jeszcze się pan spyta, czy golę się pod pachami.

– Przepraszam. To rzeczywiście było nie na miejscu. A goli się pan?

– Nie – oświadczył z taką miną, jakbym mu odkręcił kłamkę w łazience.

I co teraz? Da mi w pysk? Wyrzuci z mieszkania? Ja wiem, że jemu też nie jest łatwo. W końcu musi tu siedzieć i słuchać opowieści ludzi, którzy mu mówią, że widzieli Elvisa, że przemówił do nich CZAJNIK, i to jeszcze po rumuńsku, albo że po prostu czują wibracje wiadomości tekstowej, której nie ma. Z tym ostatnim to trochę przesadziłem. To w końcu normalne.

– Trzy tygodnie temu.

– Co? – Tak, wiem, mówi się „słucham”.

– Trzy tygodnie temu spałem z moją żoną.

– Dlaczego?

– Nie mogę.

Uuups...

– Przez impotencję?

– Nie, przez moją żonę.

O Jezu. Taka straszna? Może niech jej wkłada papierową torbę na głowę. Albo lepiej sobie. A może ona ma WIECZNA migrenę? Znam takie. Przychodzą do lekarza, czyli do mnie, i mówią, że to dziedziczne, że mają to po matce, że ona miała po swojej matce, a tamta po swojej. Intryguje mnie, jak

one się w ogóle rozmnożyły? A może to coś innego? Może ta jego żona śmieje się w trakcie seksu? Są takie. Artur opowiadał. Pewnie zapomniał dodać, że śmieją się, bo AKURAT czytają coś śmiesznego.

– Przykro mi – powiedziałem, bo co można powiedzieć w takiej sytuacji. Jestem z tobą? Łączę się w bólu? Będę się za ciebie MODLIŁ??? No bo chyba nie: „Czy chcesz o tym porozmawiać???”. – Pójdę już. Było mi bardzo... eee... miło.

– Tak, mnie też, Jarek.

– Mam na imię Jakub.

– A ja mam butelkę whisky w lodówce.

Tak, to zdecydowanie zmienia postać rzeczy. Mogę być i Jarek.

Edward

Godzinę później byliśmy już po butelce whisky. I po imieniu. I po prawdziwej męskiej rozmowie.

– ...ale ja pytam o pierwszą kobietę – powtórzył mój nowy kolega, gasząc papierosa w szklance z whisky. Jak widać, nie odbiegliśmy tak bardzo od tematu.

– No to moja żona – odpowiedziałem, dopijając swoją whisky, którą na koniec mieszaliśmy już z wodą i syropem malinowym, bo drugiej butelki nie było, a zejście na dół do monopolowego mogłoby się skończyć OFIARAMI w ludziach. Co prawda, mój nowy kolega jest lekarzem, ale po co ryzykować od razu utratą praw do wykonywania zawodu?

– Naprawdę? – Zrobił wielkie oczy, jakby sypianie z żoną było czymś nielegalnym albo przynajmniej czymś, o czym nie powinno się mówić głośno.

– Nie, tak naprawdę to Angelina Jolie. Z okładki pisma „Cosmopolitan”.

Swoją drogą, to smutne być Bradem Pittem. Nie masz sobie kogo wyobrażać, kiedy się kochasz ze swoją kobietą.

– A byłeś w trójkącie? – Zadał to pytanie tak oczywistym tonem, jakby chodziło o to, czy byłem w harcerstwie.

– Prawie.

– Coś ty??? Zaraz, jak to PRAWIE?

– Brakowało mi dwóch osób. Dobra, teraz moja kolej. Najdziwniejsze miejsce, w którym uprawiałeś seks?

– Eeee... chyba... wyciąg narciarski.

– Jezu, z kim?

– Sam, ale też było fajnie.

Boże, jak fajnie mieć sąsiada. Mam tylko nadzieję, że jak jeszcze z nim trochę popiję, nie będę musiał zmieniać statusu związku na Facebooku na „To skomplikowane”...

Jakub

Dawno się tak dobrze nie bawiłem. Może NAWET zasnę? Kto wie? W końcu ziewanie przeważnie kończy się spaniem. Dlatego miłość jest jak ziewanie. Chyba że jesteś po ślubie. Wtedy po pięciu latach, kiedy już uczcisz rocznicę ślubu minutą ciszy, spanie będzie się kończyć ziewaniem.

– Dziękuję ci. Naprawdę czuję się dużo lepiej. Pomogłeś mi – powiedziałem, zastanawiając się, czy nie za mocno ściskam jego dłoń. Mam nadzieję, że mnie źle nie zrozumiał. Musiałem się czegoś chwycić, żeby nie wyrznąć głową w próg. Whisky zwala z nóg szybciej niż kobieta.

– No co ty! To ja dziękuję. To fajnie, że przyszedłeś właśnie do mnie, chociaż obok mieszka naprawdę świetny psychoterapeuta.

Jezu, Jezu, Jezu. GDZIE JEST MÓJ PASZPORT???

Maria

– TYLKO dwa pogrzeby – obwieścił ojciec przy śniadaniu. Z miną, jakby zaraz miał się poświęcić dla dobra interesu i pochować sam siebie.

– To niemożliwe. – Nina wyglądała na spanikowaną. Zupełnie jak wtedy, kiedy okazało się, że zjadła serek homogenizowany, którego data na wieczku informowała uprzejmie, że nie został on JESZCZE wyprodukowany. Wyrwała ojcu gazetę i szybko przerzuciła kilka stron. – Ale u Alberta też dwa – odetchnęła z ulgą.

No skoro Albertowi również nie idzie, to znaczy, że wszystko jest w najlepszym porządku. Wygląda na to, że kryzys jest faktycznie GLOBALNY.

– Coś jest nie tak... – zmarszczyła brwi Nina, gapiąc się z niedowierzaniem na nekrolog.

Nigdy nie wiem, co to oznacza w jej przypadku. Chodzi o serek homogenizowany? Wiem, strach ma wielkie oczy. Chociaż – jak widzę – nie tak wielkie, jak w przypadku ZAPARCIA.

– Kryzys. Idzie kryzys. – Ojciec rozłożył ręce w geście bezradności, jakby zapomniał, że nie zmienił imienia na Richard, nie jest na Wall Street i wcale nie musi zaraz skakać z sześćdziesiątego dziewiątego piętra. A przynajmniej nie przed śniadaniem. Nina jak zwykle pokiwała skwapliwie głową.

Kryzys??? Na Boga! Jaki znowu KRYZYS? Ludzie sami zaczęli się grzebać czy co?

Ojciec z grobową, czyli normalną miną nałożył Ninie bekon i dwie kiełbaski.

– Nie jem mięsa, tato. – Odsunęła (!) talerz.

– Przepraszam, Mario – powiedział ojciec i nałożył mnie.

– Ja tym bardziej nie jem mięsa – syknęłam przez zęby.

Ojciec zdębiał. Zakładam, że nie chodziło o to, że właśnie pomylił córki.

– Znow naopowiadałaś jej tych głupot o mięsie? – ryknął.

– Nic jej nie naopowiadałam, po prostu nie jem niczego... – zaczęłam.

– Tak, wiem, nie jesz niczego, czego nie zabiłaś WŁASNORĘCZNIE. Twoja sprawa! Nie życzę sobie tylko, żebyś w tym domu opowiadała kłamstwa o mięsie!

Tam, zaraz kłamstwa. Powiedziałaś jej tylko, że jad kiełbasiany przenosi się na inne produkty od samego stania obok nich w lodówce. U Żydów to się nazywa koszerność. Nie moja wina, że uwierzyła.

– Nina, cokolwiek usłyszałaś od siostry, to nie jest prawda – powiedział ojciec do Niny.

Brawo. Czy dotyczy to też świętego Mikołaja, tego, skąd biorą się dzieci, i tego, że ojciec ma GŁUPIĄ fryzurę?

– Idę do lekarza – obwieściła Nina. Jak rozumiem, jad kiełbasiany zaczął działać. Przynajmniej w jej głowie. Idzie do lekarza! Też mi nowość. To się nazywa najbardziej głupia wymówka na świecie. Możesz ją nawet stosować w łóżku zamiast migreny. Tylko jest zdecydowanie bardziej skuteczna: działa od razu i możesz jej użyć tylko raz. To znaczy tylko raz z jednym facetem.

– Ty zostajesz w biurze – warknęła Nina. Rozumiem, wini mnie za ten jad kiełbasiany. Pewnie, jasne, co mi tam! I tak nie mam nic lepszego do roboty. Boże, umrę tu jak nic. Nie, nie mogę tego zrobić. Aż tak mi nie zależy na tym interesie.

– A, i pamiętaj, że o jedenastej przychodzi praktykant – mruknął ojciec, miotając się po kuchni z tymi nieszczęsnymi kiełbaskami.

– Kto? – upewniłam się.

– Praktykant. Balsamista.

Balsamista – człowiek z balsamem do ciała. WYŁĄCZNIE nieżywego. Jezu, po co ojcu praktykant?

– Był wyjątkowo tani, a zawsze przyda się dodatkowa para rąk do pracy – wzruszył ramionami ojciec, chociaż jeszcze przed chwilą mówił o kryzysie. – To będzie taki powiew świeżości.

Jasne, w zakładzie pogrzebowym. Może niech sobie kupi choinkę zapachową.

– Nina, nie zjadłaś śniadania! – wrzasnął ojciec z patelnią w ręku, kiedy Nina była już zapewne w połowie drogi do lekarza, jeśli już nie leżała w gabinecie z termometrem wsadzonym w jakieś DYSKRETNE miejsce. – Bóg mnie pokarał takimi córkami. I kto je teraz weźmie?

– Biorę obydwie – usłyszeliśmy nagle znajomy głos.

Ojciec spojrział na Pabla jak rabin na budkę z kebabem, co mnie tylko utwierdziło w przekonaniu, że raczej nie zagryzają razem wódki śledziem od czasu sławetnej akcji z trumną. Powiało chłodem stetoskopu, który poczuje Pablo na chwilę przed ogłoszeniem zgonu, jeśli znów narazi się ojcu.

– Kiełbaski. Biorę obydwie, skoro nikt nie chce – powiedział Pablo i sięgnął po widelec.

Pablo, NIESTETY, czuł się u nas jak u siebie w domu. Czuł się na tyle swobodnie, że kiedy ojciec wracał z pogrzebu, to znaczy z pracy, Pablo, który leżał właśnie na kanapie w gaciach i... tylko w gaciach, trzymał nogi na stole i rzucał od niechcenia: – To na co panu przełączyć? Pablo się u nas żywił, robił pranie i – mam nadzieję – nie rozmnażał. Był jak WRZÓD na tyłku. Jeśli nie możesz go usunąć, to musisz go pokochać. Albo przynajmniej się do niego przyzwyczaić i potraktować dosłownie maksymę, że „kochanego ciała nigdy za wiele”. Zresztą Pablo też wyznawał tę zasadę. Tylko w miejsce „kochanego” zwykle wstawiał „obcego”.

– Co ty tu robisz tak wcześnie? – spytałam na wszelki wypadek. Wiedziałam, że Pablo nie wstaje przed południem, bo to poniżej jego godności. Tylko FRAJERZY wstają rano. A Pablo frajerem nie jest. Dlatego cały czas usiłuje przekonać własnych rodziców, że tylko im się wydaje, że ma dwadzieścia cztery lata. Przecież Pablo NADAL ma siedemnaście, tak jak tłumaczył to konduktorowi w pociągu, kiedy ten próbował mu taktownie wyjaśnić, że legitymacja, którą Pablo posiada, jest nieaktualna i że owszem, osiemnaście lat skończył, ale to było sześć lat temu. Pablo zrobił zdziwioną minę: „Naprawdę? Nie wiedziałem”. To, że konduktor nie zatrzymał pociągu hamulcem awaryjnym, i to, że na młodego mężczyznę nie czekała na stacji straż kolejowa, policja i *Sprawa dla reportera*, to musiała być zasługa jego niepojętego dla mnie uroku osobistego. I nie ma to NIC wspólnego z intelektem, żeby była jasność. Kiedy przebywasz w jednym pomieszczeniu z Pablem, czujesz, jak z każdą minutą ubywa ci IQ. No ale Pablo nie musi grzeszyć intelektem. Pablo ma inne zalety. Pablo WYGLĄDA. Dlatego grzeszyć wyglądem nie tylko może, ale nawet POWINIEN.

– Co nowego? – mruknął między kiełbaskami, kiedy zostaliśmy sami w kuchni. Z przykrością musiałam stwierdzić, że Pablo WCIAŻ wygląda dobrze. Młodo. Przystojnie. Młodo. Podobno mężczyźni starzeją się wolniej niż kobiety. Podobno dlatego, że mają grubszą skórę. Ci najbardziej gruboskórni pewnie w ogóle się nie starzeją. Wiedziałam, że chamstwo jest wiecznie żywe. I młode.

– Czy ja wiem... – zawahałam się. Nie wiem, czy Pablo jest właściwą osobą do słuchania tego, co u mnie. Pablo, który po zrobieniu zdjęcia dziewczynie na pytanie: „Jak wyszłam?”, odpowiedział: „Wyjdź, to ci powiem”. Boże... – A u ciebie?

– W porzo.

– Spotykasz się ostatnio z kimś? – spytałam, bo trudno mieć z Pablem jakieś wspólne tematy. Kiedy nie masz o czym rozmawiać, zawsze istnieje możliwość konwersacji o pogodzie, o sytuacji w służbie zdrowia albo o tym, że w Stanach Zjednoczonych możesz przeszczepić swojemu psu NERKĘ. Nie wiem tylko, czy własną... Z Pablem raczej nie da się porozmawiać na żaden z powyższych tematów. Pablo jest

monotematyczny, niestety.

– No... Chociaż nie nazwałbym tego spotykaniem. – Zamyślił się, chociaż wolałabym nie ryzykować stwierdzenia, że Pablo potrafi wykonywać czynność zwaną „myśleniem”.

Aha.

– Znam ją?

– Wątpię. To Marlena. To ta, z którą spotykałem się, jak zerwałem z Dominiką.

– Z kim?

– No z Dominiką. To ta, z którą spotykałem się, kiedy zerwałem z Moniką.

– Moniką?

– Monika to ta, co się jej przydarzyła ta dziwna historia z pigułkami na odchudzanie.

– A co się przydarzyło Dominice?

– Marlena.

Aha.

– Pablo, ile lat miała najstarsza kobieta, z którą się spotykałeś? – zaryzykowałam.

– No... Chyba... – Rozłożył ręce do liczenia, co mnie mocno zaniepokoiło. – ...dwadzieścia jeden.

Pięknie. W takim razie ja kwalifikuję się już tylko do NEKROFILII.

– Uważasz, że jestem stara? – Sama nie wierzę, że o to pytam. I to w dodatku jego.

– W jakim sensie?

Żeby zatuszować brak inteligencji, Pablo używa kilku stałych zwrotów, tak aby nikt nie mógł się zorientować, że Pablo czegoś nie wie. Są to: „W jakim sensie?”, „Chcesz o tym porozmawiać?” i „Nie, dziękuję, jestem na odwyku”.

– Po prostu. Umówiłbyś się ze mną? – spytałam wprost, bo przemawianie do Pablo aluzjami jest tak jak prowadzenie upadającej cukierni i przekonywanie, że zwiększone spożycie ciastek w danym narodzie to większa liczba laureatów nagrody Nobla.

– No co ty, Maria, jesteś dla mnie jak siostra... Nie mogę umawiać się z siostrą. To nielegalne.

– Pytam, czy umówiłbyś się z dziewczyną w moim wieku?

– Eee...

– Dobra, daruj sobie.

– Przecież ty masz męża – olśniło go nagle. Też mi wymówka. Od kiedy robi mu to jakąś różnicę. Zwłaszcza że on przecież woli zajęte dziewczyny. Dlatego Pablo, kiedy proboszcz zapytał go, czy uprawia seks przedmałżeński, odpowiedział, że nie. No, bo kto tu mówi o małżeństwie?

– Pablo, nie chce się z tobą umówić, żeby była jasność. Możesz spać spokojnie – westchnęłam.

– Właściwie mogę zrobić dla ciebie wyjątek. Musisz gdzieś wyjść albo co?

– Dzięki, nie trzeba.

Jasne. Znam te numery. Jedna z moich koleżanek przez trzy tygodnie szpanowała znajomością z nowym (czytaj: MŁODSZYM) chłopakiem. Czarował ją nienagannymi manierami, błyskotliwą znajomością literatury (którą ona też się mogła pochwalić, tyle że w okolicach własnej matury) i wczesnym kładzeniem się spać do własnego łóżka, bo „rano trzeba wstać”. Wszystko układało się świetnie. Dopóki jej nie zaprosił na kolację, na którą „wpadnie parę osób”, więc dobrze, żeby założyła jakąś fajną wieczorową sukienkę i koniecznie czerwoną bieliznę. Kolacja okazała się najzwyczajszą w świecie STUDNIÓWKĄ, a ona została zaraz porwana przez komitet rodzicielski do wykonywania rewizji osobistej nieletnich biesiadników i pilnowania dopuszczalnej dawki przepływających przez ich gardła promili. Żeby jeszcze tego było mało, musiała swojego młodszego chłopaka odwieźć do domu, bo nie był on w stanie ustalić własnej tożsamości. A kiedy zatrzymała ich policja, na pytanie: „Alkohol, marihuana”? odpowiedział bez zastanowienia: „Nie, dziękujemy. Wszystko mamy”. To zapewniło im

dwudziestoczworogodzinny areszt, gdzie musieli siedzieć do rana w studniówkowych strojach między alimenciarzami, pijanymi rowerzystami i babcią, która nie zapłaciła ABONAMENTU. Na dodatek nie pozwolono im zadzwonić do mamy chłopaka. Słyszący z wyjątkowej krótkowzroczności stróża prawa nie wyrazili na to zgody i upomnieli młodziaka, żeby „sobie jaj nie robił”, bo przecież „matka siedzi obok”. Jak się domyślicie, znajoma miała czas na przemyślenie swojego związku. Od tamtej pory wszyscy, z którymi się umawiała, musieli okazać się dowodem osobistym, a – na wypadek, gdyby dowód był podrobiony – także świadectwem MATURALNYM.

– Maria! – ryknął nagle Pablo.

– Co?

– Na pewno nie chcesz?

Jezu, nie. Chociaż...

– To bardzo miło z twojej strony, ale...

– Pytałem, czy na pewno nie chcesz tej jajecznicy? A ty o czym myślałaś?

Jezu, głodnemu chleb na myśli. A właściwie jajka.

Jakub

Jak widać, nie wyjechałem z kraju. Jestem w pracy. Takie są smutne fakty. Jeśli nie widzisz w porannej gazecie swojego nekrologu, to znak, że czas do pracy. Mimo całej butelki whisky nadal nie zasnąłem, żeby było jasne. Za to kac był normalny. I moralny też. Jak zawsze wtedy, kiedy się budzisz i NAPRAWDĘ nie wiesz, jak to się stało, że jest poniedziałek w momencie, kiedy jeszcze wczoraj był piątek. Na dodatek opowiedziałem ze szczegółami swoje życie erotyczne facetowi, który nie był urologiem ani nawet psychoanalitykiem. Co za kanał. Kawy... Muszę napić się kawy. Podobno osiemdziesiąt filiżanek kawy to śmiertelna dobową dawką kofeiny. A więc mogę jeszcze dziś wypić dwie albo trzy. Z całą resztą jakoś dam sobie radę do jutra. Byle tylko nie było jakichś DZIWNYCH pacjentów. Nie dzisiaj. Błagam! Absolutnie nie dzisiaj. Gdzieś tu była aspiryna... Niemożliwe, żebym zjadł całe opakowanie. A jednak. Zjadłem. Może po prostu przyjmę dzisiaj tylko tych o nazwiska na literę „y”. Albo tylko tych, którzy są z pochodzenia Aborygenami. Albo po prostu tylko Ninę. Aaaa... Nina. To ją przecież wczoraj pocałowałem. To naprawdę było wczoraj? Jezu, nie ustaliłem jeszcze, co jej powiem z tej okazji. Nie pamiętam, co się mówi dziewczynom dzień PO. Zwłaszcza jeśli jest to dziewczyna, która zaraz po pocałunku na pewno poszła wymienić sobie zęby i okleić sobie twarz taśmą IZOLACYJNĄ, żeby ostudzić moje zapędy, gdyby mi przeszło przez myśl ponowić mój niecny występ.

Telefon. Jezu, niech to będzie Artur. Niech to będzie...

– Pogotowie?

– Tak... jakby – zawahałem się.

– Potrzebuję lekarza! – ryknął ktoś, kto z pewnością miał wąsy.

– Przy telefonie.

– Kolega nie oddycha, chyba nie żyje.

– Skąd pan dzwoni?

– Z kółka myśliwskiego. Polowaliśmy razem, a on teraz tu leży i nie oddycha.

Brawo.

– Spokojnie. Przede wszystkim niech się pan uspokoi i upewni, czy pański kolega na pewno nie żyje.

Huk, który usłyszałem w słuchawce, był trochę nieoczekiwany.

– Już. Na pewno nie żyje.

No to mu chyba nie pomogę... A potem czytasz w gazetach, że myśliwego postrzelił pies i takie tam. Idiota. Zresztą, jak znam życie, był to pewnie Wiesiek z radiologii, który w pracy nudzi się chyba jeszcze BARDZIEJ niż ja i wrzuca zdjęcia rentgenowskie na Facebooka, za co był już zawieszany jakieś osiemset razy, ale nie można go wyrzucić, bo należy do związków zawodowych, kółka wędkarskiego albo jest repatriantem z Wilna czy coś w tym stylu. No w każdym razie ma jakiś KWIT i nie można go ruszyć. Rozłączyłem się na wypadek, gdyby mój rozmówca naprawdę kogoś zastrzelił, a potem ktoś inny – też z wąsami, ale i w mundurze – sprawdził jego ostatnie połączenia. Jezu, nadal nie wiem, co mam zrobić z Niną. Boże, to takie żenujące, ale wykręcę ten numer, który nigdy mi na dobre nie wyszedł.

– Jak to: co masz robić? To już chyba ustaliliśmy – odezwał się po drugiej stronie słuchawki Artur. – Proszę pani, proszę trochę bardziej rozchylić bluzkę...

– Co ty tam robisz?

– A co mam robić? Pacjentkę mam.

– To może zadzwonię później.

– Coś ty, mam podzielną uwagę.

Niewątpliwie. Ma również kilka innych podzielnych rzeczy. A właściwie JEDNĄ. Artur lubi się nią dzielić. Zwłaszcza z kobietami. Na jego przypadku widać wyraźnie, że jeden może się dzielić w NIESKOŃCZONOŚĆ.

– Co z Niną? – postawiłem sprawę jasno. W końcu po to dzwonię.

– No co? Jeśli od wczoraj nic się nie zmieniło i nadal jest kobietą, to chyba wiesz, co robić, nie?

– No właśnie nie... – Boże, dlaczego nie znam nikogo innego, kto mógłby mi pomóc? Nie mogę przecież wpisywać w Google hasła typu „Jak się umówić z dziewczyną” albo śledzić fora dla trzynastolatków jak jakiś korporacyjny informatyk we flanelowej koszuli, który fachowo nazywa się TAK SAMO tylko po angielsku i czuje się z tego tak dumny, że każe swojej matce mówić do siebie Dżon, a na kanapki, które mu niezmiennie od podstawówki owija w gazetę – lancz. Swoją drogą, gdybym szukał odpowiedzi w internecie, to najszybciej dowiedziałbym się, że jeśli nie jestem ani przystojny, ani nadziany, to najlepszym sposobem na poderwanie dziewczyny będzie po prostu CHLOROFORM.

– Ustaliliśmy, że ją zaprosisz do kina, tak? Kino jest zawsze bezpieczne. Miejsce publiczne, dużo ludzi, a jak będzie kicha, to zawsze możesz wyjść po popcorn i nie wrócić.

– No co ty... Tak się nie robi.

– Oczywiście, że się tak robi. Jesteś mężczyzną czy nie? Kompletnie cię nie rozumiem, stary, wszystko masz na miejscu, o czym CO NAJMNIEJ tuzin pielęgniarek i jeden urolog od razu może zaświadczyć, jeśli tylko dasz im szansę. No to na razie, bo mi tu pani stygnie. Znaczą marznie.

Nie ma to jak prawdziwy przyjaciel. Chyba zapomniał o tym, jak to poszliśmy kiedyś z jego dziewczyną do pubu, bo ona koniecznie chciała poznać kogoś innego. Pechowo tym kimś innym okazałem się być ja. Artur, który nagle oświadczył, że nie boi się, że przyjaciel zabierze mu dziewczynę, ale że dziewczyna zabierze mu przyjaciela, rozstał się z nią jeszcze przed wejściem. Myślę jednak, że nie miało to nic wspólnego ze mną, tylko z tym, że Artur traktuje kobiety jak PAPIER TOALETOWY – wrywa, zużywa i wymienia na nowy. To znaczą nową. Boże, kiedy ja ostatnio wychodziłem z kobietą? Jak sobie przypomnę trzy ostatnie randki... Od ostatniej upłynęło pewnie tyle czasu, ile potrzeba na pielgrzymkę do Ziemi Świętej z Egiptu. Starożytnego Egiptu, żeby nie było wątpliwości. WSZYSTKIE trzy były koszmarne. Pierwszą była ta, na której już po trzydziestu sekundach dowiedziałem się, że jestem ojcem jej dzieci. Przyszłych dzieci, żeby była jasność, ale tak, byłem RÓWNIE spanikowany jak wy teraz. Druga w rankingu była ta, podczas której okazało się, że jej zdjęcie z Facebooka jest zdjęciem sprzed dziesięciu lat i sprzed dziesięciu kilo i w ogóle to ona nie chciała się umawiać, tylko sprzedać pralkę wirnikową. Trzecia, i ta była najgorsza, to była ta, kiedy okazało się, że dziewczyna, z którą się

umówiłem, przyszła z matką, tylko do końca nie wiedziałem, która to matka, a na koniec okazało się, że to jej OJCIEC.

Może jednak powinienem zaufać Arturowi? Tak jak wtedy, kiedy wpadł na pomysł, żeby trzymać żarcie we wspólnej lodówce w akademiku w termoizolacyjnej torbie służącej do przewozu ORGANÓW. Ludzkich organów, rzecz jasna. Działo do końca studiów. Nikt już nigdy nie tknął naszych gołąbków, pierogów ruskich i kiełbasy staropolskiej, co z czasem, zwłaszcza kiedy leżały za długo, zaczęło nam trochę przeszkadzać. OK. Zaproszę ją. To w końcu tylko dziewczyna. Po co ta panika? To TYLKO dziewczyna.

Nina

– Boli.

– Gdzie?

– Tutaj. – Otworzyłam usta i wysunęłam język. A niech się raz domyśli, o co mi chodzi, a nie wiecznie ja mu muszę mówić, co gdzie leży. Wow, wsadził tam szpatułkę. No naprawdę jestem WZRUSZONA. Czyli wie, gdzie jest gardło. Rodzice muszą być z niego dumni. No i czego on tam tak długo szuka?

– Pójdiesz ze mną do kina?

Chyba sobie jaja robi. Może niech mi najpierw wyjmie tę przeklętą szpatułkę, a dopiero potem robi zdziwioną minę, że nie odpowiadam. Uff, wreszcie. Teraz mu mogę odpowiedzieć.

– A PO CO?

Jakub

Mogłem się tego spodziewać. I co ja mam teraz odpowiedzieć, żeby nie wyjść na idiotę? Że jest trzytysięcznym pacjentem dzisiejszego dnia i wygrała podwójny bilet do kina, ale tylko pod warunkiem, że pójdzie ze swoim lekarzem? Dorabiam jako bileter i muszę nabić oglądalność ostatniej części BATMANA, bo inaczej wywalą mnie z roboty? Boję się ciemności, dlatego w kinie ktoś musi mnie trzymać za rękę? Ewentualnie podać butlę z tlenem. Boże, ZAPOMNIAŁEM, że to Nina.

– No żeby gdzieś pójść... – zacząłem, chociaż w tej chwili nie byłem już pewny, czy wciąż mam na imię Jakub i czy szyby w samolocie nadal się nie otwierają.

– Ale po co?

Po co? Hmmm... Bo ja wiem po co? Jak się tak dobrze zastanowić, to rzeczywiście nie ma to większego sensu. Po co ludzie w ogóle chodzą do kina? Zwłaszcza w parach. Jeśli chcesz obejrzeć film, idziesz sam. Żeby cię nikt co chwilę nie szarpał za rękaw i nie zadawał pytań w stylu: „A dlaczego tamten go goni?”, „A po co ten pierwszy ucieka?”, „A dlaczego nie można pracować razem ze skarpetkami, czy to dlatego, że może zafarbować?”. Albo jeszcze lepiej, zostajesz w domu, oglądasz POLSAT albo kanał z prognozą pogody i możesz sobie zrobić herbatę albo może NAWET jechać po nią do Indii w przerwie na reklamę. A jeśli idziesz do kina, bo chcesz całować się w pierwszym rzędzie z dziewczyną, to to już w ogóle nie ma sensu. Jak chcesz kogoś pocałować po ciemku, to zawsze możesz zgasić światło w pokoju. Założyć sobie albo temu komuś torbę z Lidla na głowę. Ewentualnie oślepić laserowym breloczkiem. Co prawda, Artur mówił, że kino jest dobre do zawierania znajomości, ale nie wiem, czy OSTATNIO przypadkiem nie zmienił zdania. Niedawno mi opowiadał, jak to powiedział do dziewczyny, z którą poszedł na film: „No naprawdę, Weronika, świetnie całujesz. To dlatego, że siedzimy

w ostatnim rzedzie?”. „Nie, to dlatego, że jestem Andrzejem” – usłyszał w odpowiedzi. Bywa.

– Dobra.

Co: dobra? Jakie dobra???

– Dobra. Kiedy?

Czy ona się właśnie zgodziła? Boże, i co teraz?!

– Eee... jutro? – zapytałem, zastanawiając się, czy to mi wystarczy na psychiczne przygotowanie się do wyjścia z Niną. I czy Ninie to wystarczy. Słyszałem, że statystyczna kobieta spędza rok życia, próbując zdecydować się, w co się ubrać, a 21% kobiet dobiera bieliznę do nastroju. Zakładam, że te w najlepszym są już dawno bez. Boże, co ona robi? Sięga do torby. Jezu, co ona teraz zamierza? Zastrzeli mnie? Wyjmie legitymację naczelniczki ZUS-u? Swoje zdjęcie, na którym jest facetem? Uff. To tylko kalendarz.

– Jutro? – upewniła się.

– Uhm.

– Mam pogrzeb.

– To pojutrze.

– Też mam pogrzeb.

– Jest jakiś dzień, kiedy nie masz pogrzebu?

Rzuciła mi piorunujące spojrzenie. Uuups. To chyba nie było dobre pytanie. Tym bardziej że kalendarz Niny nie służy – jak każdej kobiecie – do zaznaczania terminu wizyty u kosmetyczki, ale do wpisywania terminów pogrzebów, czego mogłem się domyślić już po samym jego kolorze.

– Piątek wieczorem? – zasugerowałem. Przecież to nieludzkie grzebać ludzi w piątek wieczorem, kiedy POŁOWA ludzkości uprawia seks, a DRUGA połowa jest już reanimowana po spożyciu alkoholu z Czech. Boże, co ona teraz wymyśli? Że nie możemy się spotykać w dni tygodnia, które nie mają „r” w nazwie? Że piątek, owszem, może być, ale najlepiej ten tydzień temu? Że może jednak przełożymy to na ósmy dzień tygodnia?

– Dobra. Weź paszport.

Dobra???

Jezu... Zaraz, zaraz, czyżby Artur miał naprawdę rację z tym paszportem...

– Eee... po co?

– Żeby cię zidentyfikowali w razie wypadku.

Czy ona planuje jakiś wypadek? W końcu pracuje w zakładzie pogrzebowym...

– Nie wystarczy dowód? – spytałem.

– Nie wiesz, po czym będą musieli cię zidentyfikować, dlatego dowód miej w kurtce, a paszport w spodniach.

Faktycznie. No to jesteśmy umówieni.

Nina

Czy ja się z nim właśnie umówiłam? Czy to znaczy, że on mi się podoba bardziej niż planowałam? NIE WYJDE za niego, żeby było jasne. NIE będę prac jego gaci. NIE będę mu robić kanapek z salcesonem. NIE urodzę mu dzieci. Na wszelki wypadek sprawdzę jeszcze raz dokładnie wszystkie tabletki, jakie mam, żeby mi się nic nie pomieszało. Jak mi się pomyli relanium z antykoncepcyjnymi, to skończę jako matka dwudziestu czworga dzieci, ale nie będę się tym w ogóle przejmować.

Edward

Muszę zejść do sklepu. Nie wierzę, ale muszę to zrobić. Wiem, wiem, trzeba było nie pić. A przynajmniej nic, co ma w sobie jakiegokolwiek procenty. Muszę zejść i kupić wodę mineralną, bo mam wrażenie, że ta w kranie ZARAZ się skończy. To nic takiego, pójdę kupię wodę i wrócę. O Jezu.

– Poproszę tę wodę. I tamtą. I jeszcze tamtą...

Boże, to była podróż życia. Musiałem wstać z łóżka. Pokonać najdłuższe dwa metry w moim życiu, czyli drogę z sypialni do łazienki. Założyć spodnie. Wróc. Najpierw musiałem posortować pranie: brudne, brudniejsze, brudne, ale można jeszcze założyć. Założyłem spodnie. Poszedłem po koszulkę. Odkryłem, że spodnie włożyłem na LEWĄ stronę, dlatego nie mogę znaleźć portfela. Zjechałem windą. Wróciłem się, bo przypomniało mi się, że boję się jeździć windą. Zszedłem schodami. Poszedłem do sklepu. W sklepie okazało się, że portfel, owszem jest, ale za dwa złote raczej nie kupię stu litrów wody. Przynajmniej nie w TYM kraju. Nie wiedziałem, że woda jest taka droga. Musiałem iść do bankomatu. Zajął mi to więcej czasu, niż myślałem. Nie pamiętałem, gdzie jest bankomat. Pierwsza kobieta, którą spytałem o drogę, wytłumaczyła mi bardzo dokładnie, jak dojechać do Koszalina. O bankomacie ani słowa. Druga wiedziała, jak dojść do lumpeksu za rogiem, bo właśnie się tam wybierała. Trzecia chciała mi powróżyć. Do bankomatu dotarłem po tak długiej wędrówce, że kiedy przed nim stanąłem, nie wiedziałem już, do czego służy. Uświadomiłem sobie, że nie wypłacę pieniędzy, bo nie znam PIN-u. Chciałem zadzwonić do Marii, ale nie wziąłem telefonu. Komórka została w spodniach, które uznałem za BRUDNIEJSZE niż te, które mam na sobie. Wróciłem do domu po komórkę. Była rozładowana. Musiałem znaleźć ładowarkę. Po drodze znalazłem kupon na hamburgera, który był nieważny od trzech lat, i prezent, który chciałem dać Marii na urodziny, ale bałem się, że znajdzie ten upominek wcześniej, więc go schowałem tak, że nie pamiętałem już, gdzie jest. Znalazłem ładowarkę. Nie działała. Po godzinie rozmyślań – z przerwami na rzucanie mięsem – odkryłem, dlaczego nie działa. Okazało się, że nie podłączyłem jej do telefonu. Zadzwoniłem do Marii i spytałem o PIN. Powiedziała, że to data naszej pierwszej randki, ale tej OFICJALNEJ, a nie tych przed. Musiałem napić się znowu, bo na trzeźwo nie mogłem sobie przypomnieć. Wreszcie wyszedłem raz jeszcze i spróbowałem trafić do bankomatu. Wcale nie było łatwiej niż wcześniej. Złapałem stopa. Jakiś życzliwy kierowca tira podrzucił mnie za friko, kazał tylko obiecać, że pozdrowię Wieśka. Obiecałem, że tak zrobię. Musicie więc zrozumieć, że kiedy dotarłem do sklepu, byłem już odwodniony, wyziębiony i w stanie agonalnym. Dodam tylko, że sklep mieści się obok mojego bloku.

– Nie mam wydać – powiedziała kobieta za ladą, po tym, jak już wydłubała sobie z zębów to, co miała do wydłubania. Popatrzyłem na banknot pięćdziesięciozłotowy, który prawie kosztował mnie życie. Potem popatrzyłem na nią. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Wyglądała tak, jakby zamierzała wyjąć kanapkę z twarogiem, czosnkiem i ze SZCZYPIORKIEM i zjeść ją na moich oczach. W związku z tym zrobiłem taką minę, jakbym miał wyjąć kanapkę z makrelą. I to TYGODNIOWĄ, żeby nie było wątpliwości.

– Nie mam drobnych – podjąłem wyzwanie.

– A ja nie mam wydać.

– Z kierownikiem proszę!

– Ja tu jestem kierownikiem i mówię, że nie mam wydać. Idzie sobie rozmieni do warzywniaka i wróci.

Już chciałem jej powiedzieć, że... że... no, ale nie powiedziałem. Poszedłem do warzywniaka rozmienić. Kiedy wróciłem do domu ze stoma litrami wody, przypomniało mi się, że w warzywniaku mieli wodę. I mieli rozmienić, co oznacza, że MIELI też wydać. Boże, i niech ktoś mi powie, że wyprawa

po wodę w dwudziestym pierwszym wieku jest mniej ryzykowna niż kopanie studni w Sudanie.

Maria

Praktykantów im się zachciewa. Co za poroniony pomysł? Ciekawe, co taki praktykant robi? Inaczej spytam: Co on robi w zakładzie pogrzebowym? Boże, jeszcze się muszę z nim przywitać i oprowadzić po włościach. Że też ojciec nie może zrobić tego sam! Albo Nina. Chociaż to może nie najlepszy pomysł. Ojciec odczytałby mu na pewno fragment Pisma Świętego i odpytał z tabliczki mnożenia, a Nina kazałaby mu się ubrać w KAMIZELKĘ ODBLASKOWĄ, włożyć kask i myć ręce co pół minuty. Już sobie wyobrażam jakiegoś byłego studenta fizyki kwantowej w czarnej koszulce polo wyciętej z kartonu i w wyprasowanych na kant skarpetkach. I koniecznie w ulubionych przez starszych panów butach „trumienkach”. Znacie ten typ: jak widzicie jego zdjęcie, od razu macie ochotę wysłać SMS o treści „POMAGAM”.

– Dzień dobry.

O, rany.... Bóg jednak istnieje.

– Dzień dobry, czekaliśmy na pana. – Rozpromieniłam się. Takich praktykantów możemy przyjmować CODZIENNIE.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Miałem być pojutrze. To gdzie mam te trzy tony żwiru rzucić?

Aha.

– Gdzie mam pokwitować? – westchnęłam. Jak widać, nie można mieć wszystkiego. Praktykanta, tego, żeby był przystojny, i trzech ton żwiru. Że też akurat musiał zostać mi ten żwir!

Edward

Chryste Panie... Zaraz puszczę pawia. I urodzę jeża. Nie, to nie kac. To ta WODA. Chyba wypadł mi dysk.

Maria

Z tym praktykantem to chyba jakaś ściema. Miał być o jedenastej, tak? Tylko według jakiego czasu? Południowo-kalifornijskiego? Niewychowany gówniarz. Może się rozmyślił?

– Przepraszam, ale coś mnie zatrzymało – usłyszałam, kiedy właśnie układałam w myślach mowę powitalną złożoną w trzech czwartych ze słów powszechnie uznawanych za wulgarne. O. Mój. Boże. COŚ go zatrzymało. Nie coś, ale chyba KTOŚ. Gdybym ja była jego dziewczyną, nie byłoby takiej siły, która wyciągnęłaby go z mojego łóżka. A przynajmniej nie przed dwunastą. Co prawda, jak już wiemy, pierwsza zasada filmów Disneya brzmi: nigdy nie rozmawiaj z nieznajomymi... No chyba że wyglądają jak... nasz nowy praktykant.

– Pani ojciec właśnie przejechał kota – powiedział to takim tonem, jakby ojciec kazał wyprawić mu świecki pogrzeb.

– O mój Boże, nic mu nie jest? – spytałam na wszelki wypadek.

– Nie żyje.

– Mój ojciec?!

Popatrzył na mnie osłupiały.

– Nie, kot.

– To chyba lepiej, niż gdyby miał go zjeść, prawda?

Nie jest dobrze zaczynać dzień od przejechanego kota, ale z drugiej strony, czy ten przystojniak przypadkiem nie będzie odbywał praktyk w zakładzie pogrzebowym? Musi się chyba trochę oswoić z tym, że od czasu do czasu zobaczy tu jakieś zwłoki.

– Jak panu na imię? – spytałam, żeby go czymś zająć, zanim zacznie analizować poziom mojego spadającego z hukiem IQ. Spadek intelektualnej formy to pewnie zasługa niedawnej wizyty Pabla.

– To bardzo proste – uśmiechnął się. – Jak miał na imię pierwszy mężczyzna?

Mój? Edward, oczywiście.

– A więc Adamie, ja jestem Maria. A to jest nasz zakład. Oprowadzę pana – powiedziałam takim tonem, jakbym miała mu zaraz pokazać nasze srebra, a potem przedstawić rodzinie królewskiej. Nie mam zielonego pojęcia, co tu jest do pokazywania, nie mówiąc już o tym, czy jest to w ogóle CIEKAWE. No chyba nie będę wyciągać zwłok i wyjaśniać mu, do czego one tutaj służą, prawda? To w końcu nie jest wycieczka po muzeum historii naturalnej, gdzie strażnik chodzi za tobą krok w krok i pilnuje, żebyś nie pisała obscenicznych tekstów na ścianach, nie uprawiała seksu w indiańskim wigwamie z metką „Made in China” i nie zjadała eksponatów.

– Panie przodem – powiedział tak, jakby zaraz miał rozłożyć własną koszulę na podłodze, żebyśmy mogła po niej przejść. W zasadzie nie miałabym nic przeciwko.

– Nie, nie, mamy przecież równouprawnienie – zaczęłam się krygować. – Goście przodem! – Oj, to zabrzmiało chyba ZBYT entuzjastycznie. Zupełnie jakby był zniecierpliwioną panią Jadzią spod czwórki, która wiecznie puka w kaloryfer, a którą z wielką przyjemnością zapraszam na pole minowe w Afganistanie. Albo co najmniej na trawnik przed blokiem po pierwszych roztopach.

– Pan jest na pewno pełnoletni? – upewniłam się, badając wzrokiem jego tyłek.

– Z tego co mi wiadomo, to tak.

Wspaniale. Może jednak jakoś wytrzymam w tym zakładzie i nie umrę z nudów, jak planowałam.

Nina

A więc idę do kina. Jezu Chryste, to straszne. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam w kinie. Czy nadal się wchodzi na BILET, czy trzeba okazać dyplom wyższej uczelni, wykazać się brakiem nałogów i stringami w panterkę? Nie pamiętam też, kiedy byłam w kinie z kimś, kto mi się podobał. Do kina należy chodzić TYLKO z tymi, którzy nam się nie podobają. Ewentualnie z Pablem. To znaczy z Pablem i jego aktualną dziewczyną, w przeciwnym razie możesz usłyszeć jeszcze podczas reklam przed filmem: „Panie, weź pan te ręce, to nie spódnica, to sutanna!”. W każdym razie tylko wtedy masz szansę obejrzeć film do końca. Albo przynajmniej będziesz wiedzieć z grubsza, o co w nim chodzi, o ile ludzie siedzący przed tobą nie zaczną się nagle ROZMNAŻAĆ tudzież nie zarządzą ewakuacji kina, bo znowu ktoś zapomniał reklamówki z Lidla z gulaszem drobiowym w słoiku. Oczywiście, nie zrobią tego ci sami ludzie, żeby była jasność. No ale jak idziesz z kimś, kto ci się podoba, musisz zachowywać się trochę inaczej. Nie wypada mu na „dzień dobry” zabrać biletu, popcornu i coca-coli, powiedzieć, żeby usiadł trzy rzędy za tobą i włożył okulary z wąsem, aby nikt nie pomyślał, że przyszliście razem. Do faceta, który ci się podoba, nie możesz mówić: „Przepraszam, czy my się znamy?”, „Nie, dziękuję, mam już dwa”, „To gdzie mam pokwitować?”, kiedy on będzie do ciebie mówił po imieniu, a może nawet i po nazwisku, nie mówiąc już o podaniu twojego adresu, numeru buta i PESEL-u twojego listonosza. Aha, i tym razem NIE MOŻESZ się ulotnić przed napisami końcowymi, kiedy przyjdzie mu – jak im wszystkim – do głowy

odprowadzić cię do domu przy pomocy czegoś innego niż wzrok. No dobrze, to chyba jestem gotowa. Wezmę tylko KILKA rzeczy.

Maria

– Co ty robisz? Pakujesz się? – zdziwiłam się na widok Niny, która klęczała nad swoją torbą i upychała do niej lekarstwa. Setki lekarstw. Miliony. MILIARDY. A kiedy myślałam, że to już koniec, wsadziła tam jeszcze butlę żelu antybakteryjnego w rozmiarze gaśnicy proszkowej. Rozumiem, że maskę tlenową, nosze i sprzęt do reanimacji ma już w środku. Słyszałam, że kobiety tracą trzy miesiące życia na szukanie czegoś w torebce, a osiem lat w łazience. Wiem też, że damska torba nie jest po to, żeby można było w niej coś znaleźć; ona służy do tego, aby wszystko się w niej mieściło. To, co robi Nina, to już jednak LEKKA przesada. Chociaż sądząc po wielkości torby, nie jestem pewna, czy taka lekka... Po co jej nóż do cięcia papieru, nożyczki do wycinania włosów z uszu i podręcznik do fizyki dla drugiej klasy LO???

– Nie widać? – burknęła.

– Gdzie idziesz? – Byłam naprawdę coraz bardziej ciekawa. Jak na moje oko, to ona rusza jako jednoosobowy kontyngent pomocy lekarskiej ONZ do jednego z krajów Trzeciego Świata.

– Do kina.

Aha. Czyli Nina przygotowuje się do wyjścia do kina jak do wyjazdu w głąb dzikiej Afryki, gdzie nie będzie dostępu do aspiryny i antykoncepcji. Brawo. Czy to kino jest w Strefie Gazy, czy co?

– Do kina? – spytałam nieufnie. – Po co?

– Jak to po co? Nie wiesz, po co się idzie do kina? – rzuciła takim tonem, jakby mnie pouczała, żebym nie zostawiała więcej szczotki klozetowej w zlewie razem z brudnymi szklankami i talerzami.

– Wiem. Ja się tylko pytam, po co TY tam idziesz?

– Na film.

– Sama?

– Nie.

Jezu, oczywiście, że nie sama. Z PRZYJACIÓŁMI: paracetamolem, ibupromem i nurofenem.

– Z mężczyzną? – zaryzykowałam.

– Jeśli od dzisiejszego poranka nic się u niego nie zmieniło, to tak.

– Ty przecież nie znasz żadnych mężczyzn! Przynajmniej żywych.

A ci, którzy są żywi, i tak się NIE LICZĄ: ojciec, Pablo, organista, kościelny, proboszcz. No, i oczywiście, lekarz. Zaraz, zaraz, chyba mi nie powie, że idzie ze swoim lekarzem???

– Idę.

– Co???

– Mówię, że idę – warknęła, uginając się pod ciężarem torby. – A ty stoisz w drzwiach.

– Nie wierzę... Idziesz ze swoim lekarzem? On ma z sześćdziesiąt lat!

– Miał.

O Jezu.

– No, to teraz ile ma?

– Myślę, że nadal sześćdziesiąt.

– Co???

– On nie żyje, idiotko. Od pół roku. Ten jest nowy.

Boże, czy każdy, kto spotyka Ninę, umiera? Pewnie ze strachu. No bo przecież nie ze szczęścia... A to ci dopiero niespodzianka. Nina doskonale nadaje się do tego, żeby ją zabierać ze sobą na randkę (ale tylko taką, która ma być twoją ostatnią) i na pocztę, jeśli chcesz wygrać pojedynek na miny z panią w okienku, która za chwilę wydlubie ci oczy, bo nie siedzisz w domu i nie czekasz potulnie na listonosza, jak Pan Bóg przykazał, tylko przynosisz awizo i jeszcze masz czelność prosić, żeby ci wydali przesyłkę. Jedno wiem na pewno: jeśli chcesz kogoś poznać, musisz to zrobić bez Niny. Kiedyś na przystanku

tramwajowym zagadało do nas dwóch chłopaków, którzy wyjątkowo NIE WYGLĄDALI na seryjnych samogwałcicieli ani na kolekcjonerów opakowań po parówkach, ani nawet na takich, co sami na własnym polu robią kręgi w zbożu – a tacy RZADKO się w tym kraju zdarzają. Może i faktycznie chodziło im o to, że padał deszcz, a my jako jedyne (nie licząc członkiń popularnej organizacji pozarządowej w beretach z Torunia, to znaczy z moheru) miałyśmy parasol. MIAŁYŚMY to dobre określenie, bo chwilę po tym, jak otworzyli usta, Nina ostentacyjnie go złożyła. Nie byłam pewna, czy zrobiła to po to, żeby zapobiec ewentualnej kradzieży składanej jednorazowej parasolki z Rossmana (która nadaje się być może do wygrywania hejnału mariackiego, ale na pewno nie do ochrony przed deszczem), czy miała INNE powody. Ten, który ją zagadał, musiał należeć do wyjątkowo odważnych. Znacie ten typ na pewno: to ci, którzy wsiadają do autobusu do Torunia z „Gazetą Wyborczą” pod pachą i w kurtce TVN-u, podczas gdy wszyscy wokół mają na głowach moherowe berety.

– Przyjemnie tak z tobą tutaj moknąć, ale może jednak otworzysz ten parasol, a ja ci powiem, jaka jesteś... – zaczął chłopak, który najwyraźniej był zbyt zalany, to znaczy zmoknięty, żeby zobaczyć minę Niny. No cóż. Zrobił to na WŁASNĄ odpowiedzialność. Nina przemówiła do niego z takim wyrazem twarzy, że byłam więcej niż pewna, że owszem – zaraz otworzy ten parasol, ale zanim to zrobi, NAJPIERW wsadzi go temu koleśowi w tyłek.

– Pozwól, że dorzucę to do rzeczy, które mnie gównem obchodzą – wyjaśniła mu pokrótce, co o tym sądzi.

– Myślałem... – zająknął się chłopak.

– Że co? Że filmy porno kończą się ślubem? No przykro mi, ale nie kończą się. A teraz spadaj! – warknęła, a ja w tej chwili wolałabym naciągnąć na głowę moherowy beret i poprosić o numer konta ojca dyrektora, niż przyznać się, że to moja siostra. No ale lekarz...? W kinie z Niną? Ten lekarz musiał być chyba wcześniej hutnikiem. Na pewno jest zahartowany i ma nerwy ze stali. I ZAWSZE nosi przy sobie paralizator. Ciekawe, czy on jej się w ogóle podoba? No chyba że idzie z nim do kina tylko po to, żeby go uwieść, uspić, a następnie ukraść pieczętkę i bloczek recept. Stetoskop też, tak na wszelki wypadek. Niemożliwe przecież, żeby jej się podobał. To PRAWIE tak niemożliwe, jak zgaszenie światła w lodówce przed jej zamknięciem. Nie ma wyjścia, trzeba spytać.

– Spałaś z nim?

– Oszalałaś?!

No tak. Musiałaby go najpierw WYPARZYĆ wrzątkiem. I sprawdzić termin przydatności. Nie wiem tylko, gdzie mężczyźni mają ten termin naklejony. Pewnie w jakimś małym rzucającym się w oczy miejscu, aby nie można było się przekonać, że dany osobnik już dawno jest do niczego. Może na... MÓZGU?

– Wiesz, co robisz? – zapytałam na wszelki wypadek, chociaż nie wiem, czy był to dobry pomysł.

– W jakim sensie?

To oznacza, że NIE WIE. I że to NIE BYŁ dobry pomysł.

– No w kinie.

– Wiem, kupuje się bilet i wchodzi.

Gdybym miała jeszcze jakieś wątpliwości, po co się idzie z mężczyzną do kina, to właśnie się ich pozbyłam.

– W sensie z facetem. Kiedy ostatnio byłaś z jakimś facetem w kinie?

Spojrzała na mnie tak, jakbym ją spytała, kiedy ostatni raz grała na tamburynie w hiszpańskiej tawernie w towarzystwie dwunastu Meksykanów ubranych tylko w sombrero. I w wąsy.

– Nina – zaczęłam tonem, którym równie dobrze mogłabym jej tłumaczyć, że obcięcie stopy zawsze sprawia, iż but lepiej wygląda na nodze. – To dla twojego dobra.

Żeby gatunek ludzki przetrwał. I żebym miała święty spokój dziś wieczorem.

Jakub

Wiem, że gorzko tego pożałuję, że będę sobie pluł w brodę, a na koniec zjem własny ogon, ale MUSZĘ spytać Artura, co robić. Artura, który wczoraj mi tłumaczył, że między rybkami w akwarium a piersiami dziewczyny z Biedronki, którą poznał przedwczoraj, nie ma specjalnej różnicy. – Przez szybę zawsze wydają ci się większe, ale kiedy już je złapiesz i trzymasz w ręku, okazuje się, że było to tylko złudzenie optyczne – wyjaśnił mi z miną znawcy. Przypominam, że Artur znalazł pracę w szpitalu wcale nie ze względu na posiadaną grupę INWALIDZKĄ.

Maria

– Musisz się spóźnić. A potem kokieteryjnie powiedzieć: „Przepraszam, nie wiedziałam, w co się ubrać”.

Jakub

– Nie możesz się spóźnić – wyjaśnił mi między niedogotowanym kalafiolem a przypalonym kotлетem Artur. Że też on w ogóle może to jeść... Najwyraźniej już DAWNO stracił powonienie. Pewnie razem z mózgiem. Mówił tak głośno, że miałem wrażenie, iż za chwilę cała stołówka założy OKULARY, zmieni nazwisko na Santorski i zacznie udzielać mi porad.

– I musisz pochwalić jej strój – ciągnął dalej Artur. – Nawet jeśli to, co założy, będzie przypominać szlafrok twojego wuja Mariana (który wuj kupił, bo męski wyglądał tak samo, a damski był trochę tańszy). Pamiętaj, ona spędziła minimum trzy miesiące na wybieraniu tego ubrania.

Aha.

Maria

– Musisz go koniecznie spytać, czy nie wyglądasz grubo, i zaprzeczać, kiedy on zacznie zaprzeczać. Chyba że nie zacznie. Wtedy w zasadzie możesz już wracać do domu.

Jakub

– Nie rób uwag na temat jej zbędnych kilogramów, chyba że nie masz czym zapłacić w restauracji – mruknął Artur, dłubiąc tak zawzięcie w zębach wykałaczką, jakby chciał się nią podrapać po WĄTROBIE. A kto wie? Może jeszcze niżej.

– Co??? – wrzasnąłem, a Julian ze swego nieśmiertelnego stolika pod oknem rzucił mi takie spojrzenie, jakbym co najmniej wywrócił filiżankę na LEWĄ stronę. No przecież wiem, że mówi się „słucham”.

– Ona nic nie zje, będzie urażona przez cały wieczór, ale przynajmniej zapłacisz tylko za wodę mineralną. Rozumiesz? – Artur przybrał taką minę, jakby mi tłumaczył, w jaki sposób się rozlicza PIT.

– Uhm – przytaknąłem dla świętego spokoju, chociaż nadal nie wiem, o co mu chodzi, a z tym PIT-em to już w ogóle.

– Nie śliń się na widok innych lasek, przynajmniej dopóki ona nie pójdzie do toalety. Aha, i nie pakuj jej od razu ręki między nogi. Chyba że masz wątpliwości, czy jest kobietą – wyjaśnił tonem eksperta, który własnoręcznie przewija pasek informacyjny w TVN 24. Nie jestem pewien, czy zanim skończy, nie zdecyduję się jednak przysiąc do Juliana. Albo przynajmniej nie zapoznam się z ulotką dołączoną do opakowania relanium. Boże, to jeszcze nie KONIEC???

– No i koniecznie potem zadzwoń.

– Do niej?

– Do mnie, idioto.

– Po co?

– Żeby mi opowiedzieć. Chyba po to mężczyźni umawiają się z kobietami, nie? Żeby móc o tym opowiedzieć swoim przyjaciółom.

Aha. Nie wiedziałem.

Edward

„Hortensja...”. Jezu, czego znowu? Aaaa... to wydawca. Przypomniał mi tonem ojca chrzestnego, i to bynajmniej nie mojego, że zostały mi jeszcze dwa tygodnie. Wspaniale. A ja mam tylko JEDNO zdanie. Wydawca to nic. Wydawca jeszcze ostrzega. Ten telefon nie ostrzega. Ten telefon oznacza, że możesz zacząć powoli żegnać się ze światem. Zupełnie jak wtedy, kiedy próbujesz przeciągnąć nad ranem kołdrę na swoją stronę. Albo zgasisz jej światło, kiedy maluje paznokcie.

– Jak się ma książka? – usłyszałem w słuchawce głos Marii, która brzmiała tak, jakby właśnie złapała kanara w tramwaju na jeździe bez biletu.

– Nie spytasz, jak ja się mam? – spróbowałem odwrócić jej uwagę i sprowadzić rozmowę na jakiś błahy temat.

– Nie obchodzi mnie, jak ty się masz. Co z książką? Kiedy skończysz? – drążyła temat. Z tonu jej głosu wywnioskowałem, że nie jest zadowolona. Zupełnie jakby przyłapała kogoś na ściąganiu na teście CIAŻOWYM.

– Eeee... niedługo?

– Czyli kiedy?

Nigdy? Kiedy obudzę się jako George Clooney? Kiedy zniosą wizy do Stanów?

– Jezu, Maria, niedługo. Dam ci znać – powiedziałem udęczonej.

– Edward, czy ty na pewno zajmujesz się tym, czym powinienesz? – zagrzmiała tak, jakbym jej powiedział, że znam dokładną wartość liczby pi. Albo przynajmniej, że wiem, gdzie jest Nemo.

– A czym mam się zajmować? – Rozejrzałem się po pokoju, czując, że serce mam w przełyku. – Piszę.

Nie będę jej przecież tłumaczył, że przez ten czas MUSIAŁEM: zobaczyć, czy nasz telewizor ma na pewno sto dwadzieścia cztery kanały, jak głosiła instrukcja, ułożyć puzzle z tygrysem na żółtym tle, które okazały się rozerwaną torbą płatków śniadaniowych, i sprawdzić wielokrotnie, czy człowiek rzeczywiście do piętnastu minut po przebudzeniu czuje się tak, jakby miał we krwi półtora promila. Żeby mieć jakieś porównanie musiałem, oczywiście, najpierw osiągnąć wymagane półtora promila. Poza tym kłamstwo – jak już wiemy – zawsze mi LEPIEJ wychodzi przez telefon. Przez telefon mogę jej nawet przeczytać tę książkę w taki sposób, aby uwierzyła, że ją napisałem.

– Ile masz już stron? – kontynuowała bezlitośnie, a ja niemal czułem, jak jej but na obcasie wrzyna mi się tam, gdzie jakieś dwadzieścia pięć lat temu znajdował się czopek z luminalem zaserwowany mi przez szkolną pielęgniarkę.

Stron? A da się je policzyć do tyłu?

– Nie masz ŻADNEJ, tak? – upewniła się Maria, jakby chciała spytać, czy do aparatu cyfrowego na pewno nie wkłada się kliszy.

– Maria...

– Edward, masz czas do końca tygodnia. Inaczej wracam! No chyba że chcesz się zamienić. Tutaj są naprawdę doskonałe warunki do pisania – zakończyła jadownicę.

Ojciec Marii? Nina? Zwłoki? Nie, dziękuję. Popiszę.

Maria

Wiedziałam, że nic nie napisał. WIEDZIAŁAM. Nie wiem tylko, po co tu siedzę, żeby mu nie przeszkadzać, skoro on i tak NIC nie pisze. Co on tam, na Boga, robi? Kręci talerzem w mikrofalówce czy co? Gdyby to nie był Edward, mogłabym go podejrzewać o różne niecne rzeczy. O spotkanie się z kumplami. Picie piwa prosto z butelki. No albo przynajmniej o zdradę. Ostatecznie o wyjście z domu. NA ZEWNĄTRZ. Ale to Edward. Edward jest przewidywalny jak zakończenie komedii romantycznych. Albo jak mecz Polska kontra reszta świata. Zabiję go, jeśli natychmiast nie skończy tej książki! Podobno w Hong-Kongu – zgodnie z ichniejszym prawem – żona może zabić męża. Jest tylko jeden warunek: musi to zrobić gołymi rękami. To akurat żaden warunek, tylko czysta PRZYJEMNOŚĆ.

– Wiem, że to trudne... – powiedziałam na wszelki wypadek, udając, że rozumiem, o co chodzi. Tak, jak kazała mi Nina. Kobieta, która przysłała pochować męża (pomimo kryzysu, o jakim wspominał wczoraj ojciec), podała mi nagle jakąś kartkę.

– Tu mam jego ostatnie słowa – powiedziała, zanosząc się płaczem. – Zdążył coś szybko napisać przed śmiercią. Może to odczytamy podczas pogrzebu?

– Czytała już pani?

– Nie, jeszcze nie byłam w stanie... – zachlipała.

Rozłożyłam kartkę i szybko zerknęłam: „Stoisz na mojej rurce od tlenu, idiotko!”. Brawo. Nie musiała nawet jechać do Hong-Kongu. Jak widać, branża pod tytułem: „Mordowanie męża przez przypadek” nie odnotowała żadnego kryzysu.

– I co? Nadaje się na ostatnie pożegnanie? – spytała kobieta, wydmuchując głośno nos.

– Tak, oczywiście – zapewniłam ją szybko.

Pewnie, czemu nie? Może nawet jeszcze to odśpiewamy z podkładem muzycznym piosenki *Jesteś szalona* polskiego zespołu pieśni i tańca Boys.

– A może ułożymy z tych słów napis z kwiatów? To na pewno nie będzie trudne. Jestem kwiaciarką, robiłam takie rzeczy. Proszę pokazać, co napisał. – Kobieta wyciągnęła rękę po kartkę.

– A może napije się pani czegoś? Kawy? Herbaty? Whisky?

Obawiam się, że po tym, jak już jej pokażę ten świstek, możemy mieć nadwyżkę w kostnicy. Zaraz, zaraz, o to nam przecież chodzi, prawda? PRAWDA???

Jakub

Czekanie na Ninę przed kinem jest zdecydowanie bardziej ekstremalnym przeżyciem niż czekanie na Ninę w gabinecie. Bardziej ekstremalne jest tylko pozdrowienie TVN-u na antenie Radia Maryja. Tym bardziej że Nina spóźnia się jakieś czterdzieści pięć minut, a mnie nagabywały już dwie starsze panie ze „Strażnicą”, facet grający na ŁYŻECZKACH i turyści z Japonii, którzy koniecznie chcieli sobie zrobić ze

mną zdjęcie. Nie będę nawet wspominał, że czekam od szóstej, chociaż umówiliśmy się na ósmą, bo tak bardzo bałem się spóźnić. Nastawiłem sobie nawet minutnik do jajek. Jakkolwiek to brzmi. A teraz stoję tu jak „Pani da złotówkę”. Wierście mi na słowo: samotny facet kręcący się pod kinem wygląda niezbyt dobrze. Gorzej niż samotna kobieta. Ona szuka szczęścia, on – GUZA. Czy to aby na pewno był dobry pomysł? Znajac Ninę, WSZYSTKO się mogło zdarzyć. Mogła przestawić zegarek na czas zimowy. Albo na przykład na ten, który obowiązuje w Gwinei Równikowej. Mogła pomylić kina. Mogła pomylić mnie z kimś innym. A jeśli ostatnia odpowiedź jest prawidłowa, to ten ktoś już z pewnością nie żyje, jeśli ośmielił się zwrócić jej na to uwagę. No, wreszcie jest!

– Spóźniłaś się – zaryzykowałem, chociaż nie byłem pewien, czy nie będę musiał się za chwilę sam reanimować.

– Ale data się chyba zgadza, co? – warknęła. – Nie wiedziałam, w co się ubrać.

Przyjrzałem się jej uważnie, zapominając zupełnie o wszystkich bezcennych radach Artura, który z taką pasją mi je przekazywał ostatnim razem, że nie byłem już wcale pewien, czy nie mam ich przypadkiem wykrobanych ŻYLETKĄ na czole.

– Nina, masz na sobie ten sam T-shirt, co rano. I ten sam, co wczoraj – powiedziałem przez zęby.

– No właśnie. Nie mogłam się zdecydować, czy mam go założyć, czy nie. Wchodzimy?

Czy wchodzimy? O tej godzinie to chyba mogę wejść już tylko służbowo, żeby sprawdzić, czy ludzie z emocji nie ZJEDLI przypadkiem foteli i oparcie nie stanęło komuś w gardle. Albo czy nie nastąpiło zbiorowe zatrucie popcornem po tym, jak ktoś, kto go nakładał, zapomniał, że nie jest u siebie w domu i że nie można serwować jedzenia tą samą ręką, którą wcześniej dłubało się w nosie albo MACAŁO kury (tylko po to, żeby upewnić się, czy jajko jest już w drodze). Ale proszę bardzo, zaryzykujmy. Wspaniale. Bilans wyjścia z Niną jeszcze przed wejściem: dwa zmarnowane bilety, dwa nowe bilety, które też mogą się zmarnować, a to dopiero początek wieczoru. Zerknąłem na Ninę, chyba tylko po to, aby się upewnić, że nadal nie jest z nią w porządku. Właśnie wyjęła żel antybakteryjny do rąk, a minę miała taką, jakby zaraz po umyciu nim klamki drzwi wejściowych (po uprzednim, dokładnym wymoczeniu tej klamki w Ludwiku) miała nim sobie przepłukać USTA. Rozumiem, że w tej sytuacji moja mina człowieka, który obudził się szczęśliwy w poniedziałek tylko dlatego, że nie wytrzeźwiał po weekendzie, mogła być trochę nie na miejscu. Boże, jak ta kobieta działa mi na nerwy! Tak działa mi na nerwy, że mam ochotę ją rzucić. I to natychmiast. NA ŁÓŻKO, oczywiście.

Nina

Wiedziała, że to beznadziejny pomysł. Na szczęście, rady Marii potraktowała wybiórczo. W końcu chcę TYLKO iść do kina, a nie wyjść za mąż i skończyć jak Kopciuszek, który gdyby wiedział, jaki będzie finał bajki, związałby się z brzydszą siostrą Kopciuszka, a już na pewno do końca życia chodziłby w DREWNIAKACH. Albo w skarpetkach i sandałach. Tak, tak, jak się czeka na księcia, to nie ma co potem marudzić, że trzeba mu usługiwać. Na dodatek wszystkie klamki wyglądają tak, jakby ktoś je oblizał.

Jakub

Może powinienem do niej zagadać? W końcu nie można tak obcesowo: iść do kina z dziewczyną i nawet nie pogadać w trakcie filmu. Tylko o co mam ją zapytać? Czy możemy się przesiąść osiem rzędów niżej, bo w tym dwunastym TROCHE wieje w plecy? Czy mogę się przytrzymać jej kolana, bo

NAGLE straciłem równowagę, siedząc ZBYT wygodnie w kinowym fotelu? Czy nie miałyby nic przeciwko temu, gdybyśmy sobie jednak darowali ten film i poszli do mnie, bo widziałem go już osiem razy i to tylko dlatego, że Leonardo DiCaprio przypomina mi mojego szefa i na końcu zawsze umiera? Jezu, Kuba, przecież to Nina! Zapomniałeś? Stosowanie w przypadku Niny tych samych zasad, co przy rozmowie z każdą inną dziewczyną, to trochę jak szukanie po ciemku klamki i to na dodatek w obrotowych drzwiach. Lepiej spytać, czy nie drętwieje jej lewa ręka, nie jest przypadkiem w stanie przedzawałowym i czy życzy sobie podania tlenu teraz, czy trochę później. Boże, przecież nie zapytam, czy mogę położyć jej rękę na kolanie, bo równie dobrze mogę OD RAZU znaleźć sobie chłopaka.

Jakub

- Niezła ta kelnerka – zauważyłem, nie spuszczałem oka z ekranu.
- Wygląda jak prostytutka – burknęła Nina.

Nina

- Niezły ten policjant – nadmieniłam.
- Gej – syknął Jakub.

Jakub

No to sobie pogadaliśmy.

Nina

A jeśli dostanę zapaści? Słyszałam o takich przypadkach. W zależności od tego, gdzie siedzisz, mogą cię nie zdążyć reanimować. Jak w ostatnim rządzie, to już nie żyjesz, bo NA PEWNO nie starczy im kabla do respiratora. Spokojnie, Nina, spokojnie, w końcu jesteś tu z lekarzem. Tylko czy ja w ogóle mogę na niego liczyć? Maria mówi, że na nikogo nie można liczyć, dlatego nawet podczas przysięgi małżeńskiej trzeba na wszelki wypadek skrzyżować palce, bo nie ma czegoś takiego jak NIGDY i NA ZAWSZE. NA ZAWSZE to sobie można amputować nogę i ona NIGDY nie odrośnie. A jeśli coś mi się stanie w nogę? Na przykład zatrzyma mi się krążenie od siedzenia w tej samej pozycji i dostanę zakrzepicy albo ugryzę się w język, a on nie będzie miał przy sobie igły i strzykawki, żeby mi zrobić zastrzyk przeciwwężcowy? A może on po godzinach nie ratuje nikomu życia? Zresztą ciężko ratować komuś życie po ciemku. Po ciemku można jedynie powołać nowe, ale nie po to PRZECIEŻ przyszliśmy do kina!

Zapamiętać: Czasami najlepszą antykoncepcją jest włączenie światła.

Jakub

Trudno, kładę jej rękę na kolanie. Najwyżej stracę zęby.

Nina

Czy on mi kładzie rękę na kolanie, czy bada odruch bezwarunkowy? I czy kopnięcie go w zęby to właściwa reakcja, czy nie?

Jakub

Cholera jasna!

Nina

No cóż...

Maria

– No i jak było? – spytałam, kiedy Nina wróciła do domu. Zaraz, zaraz... O Boże! Ona WRÓCIŁA do domu! No to chyba nie ma sensu zadawać więcej pytań. Co za kanał...

– Świetnie. Zrzygałam się. Dwa razy – odpowiedziała, jak gdyby nigdy nic rozsznurowując tenisówki.

– I kopnęłam go w zęby. Raz.

– Jezu... Ty naprawdę musisz go nie lubić.

– To nie to. Zwymiotowałam z innego powodu.

OK. Podajcie pierwsze trzy sytuacje, jakie wam przychodzą teraz do głowy, które mogą spowodować, że zrzygalibyście się na randce z kimś, kto się wam podoba. Ja osobiście nie znam ŻADNEGO.

– Dał mi czekoladki.

– No i?

– Były przeterminowane.

Jezus Maria, Józefie święty! Czy ktokolwiek NAJPIERW ogląda pudełko czekoladek i sprawdza termin ważności, czy raczej zjada się takie pudełko razem z zawartością natychmiast po otrzymaniu?

– Zaraz, zaraz, a ten drugi raz?

– A nie, to już było zupełnie przypadkiem. Przypomniało mi się, że zjadłam wczoraj nieumyte jabłko.

A nie, to rzeczywiście nie ma o czym mówić. W końcu zwymiotowała przez przypadek, a nie celowo. To naprawdę robi DUŻĄ różnicę. Zwłaszcza JEMU.

Nina

Teraz już wiadomo, dlaczego nie mam chłopaka.

Jakub

– I jak było? – spytał Artur, który próbował się do mnie dodzwonić już osiemnaście razy, z czego dwanaście, kiedy byłem w kinie. Artur należy do tej grupy ludzi, którzy, jak się uprą, to zadzwonią do ciebie, nawet gdyby mieli telefon na WĘGIEL. Ewentualnie z aparatu słuchowego.

- Zrzygała się – powiedziałem krótko. W końcu nie ma co opowiadać.
- Co??? – ryknął. – Film był kiepski czy ty?
- Nie wiem. Wszystko było jak trzeba. Dałem jej nawet czekoladki, tak jak mówiłeś.
- I?
- Obejrzała je i zwymiotowała.
- Może tych akurat nie lubi.
- Jak ja jej teraz spojrzę w oczy?
- Jezu, Kuba, to ona się zrzygała, nie ty.
- Fakt. Boże, co jest ze mną nie tak?

Nina

Zaznacz prawidłową odpowiedź.

- A) Jestem brzydka.
 - B) Sama umiem odkręcać słoik z kiszonymi ogórkami.
 - C) Bo przecież mu nie powiem, że mi się podoba.
- Oczywiście, że C.

Maria

No to teraz już na pewno NIGDY nie ogoli nóg.

Nina

Odkryłam, dlaczego przyrost naturalny spada. Bo wszystkie kobiety wybierają odpowiedź C. A mężczyźni NADAL dzielą się na tych, co łapią za biust, i na tych, co NIC nie łapią.

Maria

– Najpierw musisz zamknąć powieki, a potem... Mario, możesz wejść, nie rozumiem, czemu siedzisz po ciemku za drzwiami – ryknął ojciec.

Dzięki, tato. Ojciec instruował boskiego praktykanta, jak zamykać oczy nieboszczykowi. A ja gapiłam się na jego tyłek. Praktykanta, rzecz jasna. I to nie dlatego, że miał w tylnej kieszeni portfel wypchany EURO po najlepszym kursie. Boże, co się ze mną dzieje? Gapię się na obcego faceta pochylającego się na ciałem. MARTWYM ciałem, żeby była jasność. No ale chyba od samego gapienia się nikomu się jeszcze nic nie stało. I nie stanie. Ani jemu, ani mnie. To znaczy czy jemu się nic nie stanie, to już nie jestem wcale taka pewna. Boże, o czym ja w ogóle mówię?

- Mogłabyś przyjść i popatrzeć – zasugerował ojciec. Jezu, to już nawet ojciec nie ma nic przeciwko.
- Warto by było, żebyś się trochę podszkoliła. Jak już przejmiesz zakład... – zaczął ojciec.
- Nie przejmę żadnego zakładu, mówiłam ci już – westchnęłam ciężko. Z drugiej strony, czy on sobie życzy, żebym przejęła zakład razem z praktykantem?
- No ale teraz, kiedy cię wyrzucili...
- Mam urlop!!!

– Dobrze, już dobrze – burknął ojciec, który NIGDY nie miał urlopu. Śmierć jest bardzo niewyrozumiałym szefem: nie uznaje urlopów ani zwolnień lekarskich.

– Wrócę na górę. Może ktoś zupełnie przypadkiem zszedł – mruknęłam, wchodząc po schodach. W końcu i tak nie mam nic lepszego do roboty.

– Wiem, że nogi mojej córki są atrakcyjne, ale my tu się jednak skupiamy bardziej na nogach tej pani, żeby chociaż po śmierci wreszcie były złączone – usłyszałam lodowaty głos ojca.

Gapił się na moje nogi? Wspaniale. Wciąż jestem atrakcyjna. Boże, to straszne. Czy to już jest zdrada, czy jeszcze nie? Jezu, zupełnie, jakbym miała trzynaści lat, czerpała wiedzę o życiu seksualnym z kapselków po napojach i pytała na forum internetowym, czy to, że wysikałam się w męskiej toalecie, oznacza już, że jestem w ciąży, i dlaczego wszyscy kłamią, że dzieci nie przynosi bocian tylko pan Zenek, który jest listonoszem. Podobno pięćdziesiąt procent populacji tego kraju zdradza swojego partnera, czyli rachunek jest prosty: jeśli nie ty, to twój partner. A więc jeśli to nie Edward (spójrzmy prawdzie w oczy: TO NIE EDWARD), więc to muszę być ja. Boże, przecież to nic takiego. Tylko sobie popatrzę. To nie zbrodnia. Hmm... gapił się na moje nogi. To oznacza, że nie jestem taka stara, jak wynika z obliczeń Pabla. Chyba że on lubi starsze kobiety, bo przypominają mu matkę? Podobno mężczyźni szukają w kobiecie matki, tak samo jak kobiety szukają mężczyzny podobnego do ojca. Chociaż z drugiej strony, jedyne, co łączy Edwarda z moim ojcem, to ten sam wpis w rubryce „płeć” w dowodzie. Nie, nie, to żadna zdrada. Przecież TYLKO popatrzę. Od patrzenia chyba nic się nie stanie, prawda? To zupełnie jak patrzenie na ciastko przez szybę cukierni. Prawda jest jednak taka, że ja tyję od samego patrzenia. Boże, co ja bredzę? Jeśli nie przestanę, to zaraz osiwieję! Jezu, przecież powinnam być już dawno u fryzjera na pokrywaniu siwych włosów!

Nina

– Gdzie byłaś? – warknęłam, kiedy Maria wreszcie raczyła się pojawić, chociaż prosiłam ją trzy razy, żeby zajęła się siedzeniem w pustym biurze i oczekiwała na EWENTUALNY cud polegający na tym, że ktoś w końcu zdecyduje się poświęcić życie, żeby ocalić nasz upadający interes.

– Jak to gdzie? U fryzjera, a potem u kosmetyczki.

– I co? Zamknięte było? – spytałam, bo na moje to ona wyglądała DOKŁADNIE tak samo jak wcześniej.

Niestety, Maria należała do tego typu kobiet, które idą do fryzjera po tym, jak już ułożą sobie fryzurę i utrwalą ją lakierem, gładzią gipsową i klejem do glazury. I które idą na fitness, żeby zrzucić parę kilo, kiedy tylko zrzucą wcześniej parę kilo. I które oddają do pralni rzeczy uprzednio już wyprane. Zanieść brudne rzeczy do pralni? To byłby przecież nietakt. To zupełnie jak przyjść żywym do zakładu pogrzebowego.

Jakub

Dobra, mam dwa wyjścia. Mogę ZMIENIĆ płeć i zaproponować jej, żebyśmy zostali przyjaciółmi albo zejść piętro niżej do faceta, który mnie oszukał, spił i więcej nie zadzwonił, żeby wypłakać się na jego ramieniu.

– Masz chwilę? – spytałem po dwudziestu sekundach od podjęcia decyzji, czyli mniej więcej w takim samym czasie, w jakim dochodzi do poczęcia dzieci w tym kraju.

– Jasne, wchodź! Napijemy się! – zachęcająco uchylił drzwi. W ręku JUŻ trzymał kieliszek.

O, czyżbym wpadł nie w porę?

– Tak? A co? Masz urodziny? – spytałem na wszelki wypadek.

– Nie, wódkę!

No i świetnie. Alkohol pozwala usunąć problemy, stres, napięcie. I bieliznę. Boże, co ja wygaduję?

Maria

– Dlaczego NIKT nie umiera? – zawołał ojciec takim głosem, jakby kupił bilet na film Quentina Tarantino, ale pomylił sale i siedział właśnie na komedii romantycznej.

– Ile macie dziś pogrzebów? – spytałem przez grzeczność, bo właśnie byłam zajęta oglądaniem przez okno praktykanta, który grabił liście. Jak rozumiem, grabarz ma dziś wolne.

– Żadnego – mruknęła Nina.

– A u Alberta?

– Żadnego.

No cóż. To rzeczywiście trochę dziwne... Ostatnią osobą pochowaną przez ojca był prezes koła łowieckiego, którego jakiś sadysta potraktował strzałem między oczy z broni myśliwskiej, i to po tym, jak już dostał wylewu (prezes, nie sadysta), więc chyba nie chodziło raczej o zaoszczędzenie mu cierpienia, tylko jak zwykle o jakieś osobiste porachunki. W końcu czego można się spodziewać po facetach z wąsem. Może po prostu poszło o WĄSY.

– Musimy sprawdzić wszystkich z listy! – ocknął się z ŻAŁOBNEGO odrętwienia ojciec.

– Jakiej listy? – spytałem na wszelki wypadek, chociaż już wiedziałam, że tego pożałuję.

– No tych, którzy szykują się na tamten świat. A przynajmniej powinni – mruknęła Nina.

O, rany. Powiedzcie, że oni żartują. Że nie mają żadnej listy...

– Pani C.? – zaczął ojciec, jakby odczytywał ogłoszenia parafialne. – W zeszłym tygodniu miała operację na żylaki.

– Ma się dobrze – obwieściła Nina.

– Cholera. Pan W.?

– Miał zawał, ale przeżył.

Jezu. Oni nie tylko mają listę, ale też karty medyczne połowy miasta. Jeśli nie CAŁEGO miasta.

– Pan J.? – kontynuował ojciec, jakby przeszedł właśnie do listy ofiarodawców kościoła znanych (z nazwiska) Panu Bogu.

– Po drugim udarze trochę gorzej, ale wciąż nie najgorzej – zmarszczyła brwi Nina.

– Trudno, dzwonimy!

Co??? Czy oni robią to, co ja myślę, że robią???

– Pani F.? Jak się pani dzisiaj miewa? – zaczął ojciec. – Jak tam woreczek żółciowy? Słyszałem, że... Aaaa... lepiej... Och, to doskonale, doskonale...

– TO JUŻ KONIEC – powiedział, odkładając słuchawkę.

Nina szybko przejechała palcem po kartce. Lista zdawała się nie mieć końca. Cóż, społeczeństwo się starzeje. Ale chyba TA lista nie dotyczy narodu chińskiego, prawda? Prawda???

– Dzwon! – ryknęła Nina, wciskając mi plik papierów.

– Co???

– Dzwon, do jasnej cholery! Chyba nie chcesz, żeby ojciec przeszedł na zasiłek?

Czy ja wiem... Chodzi, jak rozumiem, o zasiłek pogrzebowy?

Edward

– Dlaczego właściwie jeszcze nie śpisz? – spytałem go nie dlatego, że mnie to jakoś szczególnie interesowało, ale dlatego, że była już druga w nocy, ja ZNÓW nie napisałem ani słowa, a Elvis Presley i John Lennon nadal nie żyli.

– Bo nie mam z kim.

No, tak. To rzeczywiście problem. Ja też nie lubię samotnych wieczorów. Nie ma kto zejść po następne wino.

– Jak to?

– No tak. Po prostu.

– Nie masz dziewczyny?

– Nie.

– Miałeś?

– Prawie.

Chyba wiem, o co mu chodzi. Najpierw myślisz: chcę ją MIEĆ. Potem myślisz: MAM ją. A potem już tylko: MAM jej dość.

– I co? – zaciekałem się.

– Zabrałem ją do kina. Chciałem zrobić takie wrażenie, żeby później nie mogła zasnąć...

– To trzeba ją było zabrać na schabowego i bigos. Noc z głowy – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, jakbym mu WŁAŚNIE zaproponował schabowego z bigosem. Może faktycznie nie o to chodziło... Tylko skąd ja mam właściwie wiedzieć, jak postępować z kobietami. Z kobiet znam bliżej tylko Marię. I trzymam się jednej zasady. Jeśli nie masz racji i ustępujesz, to znaczy, że jesteś mądry. Jeśli masz rację i ustępujesz, to znaczy, że jesteś żonaty.

– No i co z tym kinem? – spytałem, udając względne zainteresowanie. – Nie podobało jej się?

– Zrzygała mi się na buty.

To znaczy, że BARDZO jej się nie podobało.

– Stary, ja już kompletnie nie wiem, co z nią zrobić...

Uśpić. To chyba jedyne rozwiązanie.

– Nie rozumiem kobiet – kontynuował mój gość.

Boże, ja też! Piszę książki dla kobiet i NADAL ich nie rozumiem. W sumie nic w tym nadzwyczajnego. Ludzie piszą różne rzeczy, których nie rozumieją. Piszą na przykład swoje nazwisko pod trzystustronicową umową z elektrociepłownią. Albo pod aktem ślubu.

– Nigdy nie wiesz, o co im naprawdę chodzi – westchnął, mocno załamany.

– Prawda – przytaknąłem.

– A jak się już dowiesz...

– ...to ona zdążyła zmienić zdanie.

– Nie idzie się z nimi dogadać. A w końcu najważniejsze jest porozumienie? – spytał mnie, jakbym znał odpowiedź na to zupełnie pozbawione sensu pytanie.

– Gdyby Bóg chciał, żebyśmy się dogadywali, nie stworzyłby Adama i Ewy, ale Adama i Stefana – powiedziałem.

– Racja. Tylu fajnych facetów jest na świecie, a ja się muszę uganiać za kobietami.

Spojrzeliliśmy jednocześnie na siebie.

– To co? Jeszcze po jednym? – zaproponowałem. Aż tak bardzo nie mam nic przeciwko kobietom.

Maria

– Została jeszcze matka burmistrza – westchnęła Nina. Ojciec już od dłuższego czasu siedział załamany w kostnicy.

– Mogę pomóc? – Praktykant wyłonił się zupełnie znikąd. I był BARDZIEJ seksowny niż zwykle.

– Nie – warknęła Nina i wyszła.

– Przepraszam za nią. Ludzie zwykle bywają niemili tylko przed pierwszą kawą. Nina jest niemila i przed, i po – wyjaśniłam pokrótce.

Popatrzył na mnie tak, jakby jedyną rzeczą, którą zrozumiał z mojej wypowiedzi, było słowo „kawa”.

– Mdlą ją, kiedy jest miła, więc jej nie zmuszamy – spróbowałam inaczej.

– Jasne – roześmiał się. – Mogę napić się kawy?

– Pewnie. – Podsunęłam mu dzbanek. – Jak tam? Zadzomowiłeś się już?

Boże... Musiałby być MARTWY, żeby się tu zadomowić. Jestem skończoną idiotką. Dlaczego zachowuję się przy nim, jakbym miała piętnaście lat? Nie mam już piętnastu. Jezu, nie mam już nawet szesnastu! Jestem STARA!!! Chyba usiądę tyłem do okna, żeby tego nie zauważył. Jezu, żeby tego nie zauważył, musiałabym usiąść tyłem nie do okna, ale do niego.

– Nawet bardzo – uśmiechnął się i mogłabym przysiąc, że mrugnął. Eeee... tam. To na pewno nie było mrugnięcie. Może ma zapalenie spojówek. Uczulenie na światło. Albo na kurz. Na starocie. A może po prostu NIE MOŻE na mnie patrzeć.

– Gdybyś miał jakieś pytania, wal śmiało – zachęciłam go uprzejmie.

– Właściwie to mam jedno... – Przygryzł wargę. Nie powinien tego robić. Mogą być ofiary. Chociaż przy aktualnym kryzysie w branży...

– Chodzi o twojego ojca... – zaczął, jakby tabletki na zaparcia w dalszym ciągu nie działały.

A, ojciec. No tak. To faktycznie CIĘŻKI temat.

– Tak?

– Myślisz, że miałby coś przeciwko, gdybym umówił się i wyszedł jutro wieczorem z jego córką? Wiem, jacy są ojcowie...

O Boże, to NIESAMOWITE. Nie wiem, jakim cudem Nina i jej mina na „Qrva, dopiero usiadłam” go nie zraziły. Z tego wynika, że on się absolutnie nadaje do wybranego zawodu. I do pracy z ojcem. I z Niną.

– Jeśli córka jest pełnoletnia, to chyba nie musisz pytać ojca... – zaczęłam ostrożnie.

– Ale jej ojciec to mój szef. To trochę zmienia postać rzeczy.

Czy on mówi poważnie? Ojciec będzie zachwycony. Po pierwsze, dlatego że Nina będzie miała chłopaka; po drugie, chłopaka, którym nie będzie Pablo; po trzecie, chłopaka, który balsamuje zwłoki. Czego chcieć więcej?

– Zapewniam cię, że nasz ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu – uspokoiłam go. Szkoda takiego faceta na Ninę, ale co zrobić?

– Ale nie wiem, czy córka nie będzie miała...

No tak. To w końcu Nina. Nina zawsze ma coś przeciwko.

– Nie będzie. Zapewniam cię.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Będzie jej bardzo miło.

„Miło” to chyba nie jest właściwe słowo... Miło jest Ninie WTĘDY, kiedy mówi: „O, przepraszam”,

przekręcając nóż, który uprzednio ktoś był uprzejmy wbić ci w plecy.

– W takim razie wpadnę po ciebie jutro wieczorem.

PO MNIE??? Czy on oszalał? On mówi o mnie???

– Myślałam...

– Tak, wiem. Nie, nie mam samochodu, pojedziemy metrem...

Metrem? Oczywiście! Nawet dylizansem. No tak, dylizans jest chyba najbardziej odpowiedni dla pań w moim wieku. Kobiety w moim wieku na pewno zdawały egzamin na prawo jazdy dylizansem. Z drugiej strony, chyba nie zauważył, że jestem dużo starsza, prawda? Boże, on faktycznie musi lubić starsze kobiety.

– Ile ty właściwie masz lat? – wypaliłam.

– Dwadzieścia sześć.

Trzy lata różnicy. To przecież przepaść! I to tak wielka jak między: „Brakuje mi grosika” a: „Mogę być winna grosik?” w urzędzie skarbowym. Boże, kiedy ja byłam nastolatką, on był... no dobrze, TEŻ był nastolatkiem. No i co? To prawie jakbyśmy byli w tym samym wieku. Wiem, gdyby prawie nie robiło tak wielkiej różnicy, to księżę Karol byłby PRAWIE przystojny. Zresztą, czy to coś złego, że sobie gdzieś razem wyjdziemy i pogadamy? Ludzie tak robią. Wychodzą i rozmawiają. Przecież nie muszę od razu iść z nim do łóżka. Do jakiego znowu łóżka?! Mam męża. Tyle tylko, że nie mam go w swoim łóżku. O Boże, to przecież nic takiego. Pójdę sobie z praktykantem na kawę. To chyba nie zbrodnia. Zawsze można to podciągnąć pod wyjście w celach służbowych. Ciekawe, czy potem będę mogła rozliczyć to sobie jako delegację. Pewnie tak, ale pod warunkiem, że pojedziemy KARAWANEM.

– To... jak?

– Co?

– No chyba że nie masz czasu, albo nie możesz, bo...

– Dobra, o której?

Spójrzmy prawdzie w oczy. Umówiłam się na kawę z młodszym facetem, mając męża wpisanego do księgi meldunkowej. Będę smażyć się w piekle. Tam zaraz umówiłam... Bez przesady. Jak kobieta idzie z mężczyzną na kawę, to JESZCZE o niczym to nie świadczy. Kobiety mogą rozmawiać z mężczyznami. To nie jest ustawowo zabronione. Kobiety mogą nawet rozmawiać z przystojnymi mężczyznami. To też o niczym nie świadczy. Nawet jak mają męża. A jak mąż się dowie... No cóż. Nie ma chyba nic strasznego w byciu WDOWĄ. Jezus, Maria, ty chyba naprawdę oszalałaś? Zaczynasz gadać od rzeczy. I umawiać się z młodszymi mężczyznami, mając męża na boku. Jakie umawiać??? Spotykać. Nie, nie spotykać. Rozmawiać. Nie, nie rozmawiać. Konwersować. Omawiać tematy służbowe. A więc idę z naszym praktykantem omawiać tematy służbowe. Od razu lepiej brzmi, prawda? Tak, Maria, faktycznie lepiej. Zupełnie jakbyś przyłapała Edwarda z kobietą na kolanach, a on by ci powiedział, że to dlatego, że mamy tylko JEDNO krzesło w kuchni. Brawo.

Jakub

Mam dzisiaj głowę obok mózgu. Może powinienem wziąć aspirynę? Albo od razu L4. Artur mi wypisze od ręki. A potem przyklei na drzwiach mojego gabinetu. Zaraz obok mojego NEKROLOGU. Chyba naprawdę nie jestem dziś w stanie spojrzeć jej w oczy. Czuję się... Czuję się tak, jak w sytuacji, kiedy zapraszasz dziewczynę na kolację, na którą oszczędzałeś trzy dni, nic nie jedząc, a podczas spotkania ona ci mówi, że jest na diecie i właściwie to nic nie je. W związku z tym nie pozostaje ci nic innego, jak tylko wrócić do domu i zjeść kanapkę z pasztetem, tyle tylko, że zapomniałeś, że pasztet

skończył się trzy dni temu. A więc to już OFICJALNE. Nie podobam się jej. Mogła powiedzieć. Chociaż co można było do tego dodać? Chyba tylko OGÓRKA MAŁOSOLNEGO. Nie wiedziałem, że mogę tak działać na kobiety. Że potrafią się tak od razu przede mną otworzyć. I uzewnętrznzić. I że droga do serca kobiety zawsze wiedzie przez żołądek. To żołądek PIERWSZY odrzuca to uczucie. Na dodatek mam kaca. Wiedzieliście, że rum jest dobry nie tylko z colą i herbatą, ale też z pustą szklanką? Właściwie to wtedy smakuje najlepiej.

– Dziękuję.

Stos kart pacjentów wylądował z wielkim hukiem na moim biurku. Zupełnie nie wiem, dlaczego dziewczyna z rejestracji jest dla mnie ostatnio taka niemiła. Artur twierdzi, że się jej podobam, ale zastanawiam się, czy można wierzyć Arturowi, który przedwczoraj odebrał w knajpie telefon od swojej ostatniej dziewczyny i na pytanie, co robi, ziewnął i oświadczył, że pada z nóg i właśnie idzie spać. Zupełnie niepotrzebnie spytał ją, co ona teraz robi. – Stoję przy tym samym barze – usłyszał, zanim poczuł, że może NIGDY nie doczekać się potomstwa. – Nie rozumiem zupełnie, dlaczego nie mogę opędzić się od dziewczyn – westchnął ciężko, jakby ktoś go zmuszał do grania techno na TRÓJKĄCIE albo co najmniej do narysowania koła przy pomocy ekierki.

– Może masz przystojnego kolegę – zauważyła cierpko.

Nie sądzę, żeby chodziło o mnie. Zresztą, nie będę się przecież zastanawiał, czy jestem przystojny, czy nadal jestem kolegą Artura i dlaczego dziewczyna z rejestracji jest niemiła. Pracuje w rejestracji, więc kiedy ją przyjmowali, to ją chyba poinformowali, jak ta praca wygląda, nie? Boże, jeszcze mi jej FOCHA brakowało. Ze złości będzie mi podsuwać karty pacjentów Artura, a kto wie, może nawet Juliana? Szybko przewertowałem papiery. Nie było karty Niny. No tak, czego ja się spodziewałem? Boże, Boże, GORZEJ już być nie może.

– Dzień dobry!

A jednak. Może.

– Kiedy widziałem panią ostatni raz, miałem nadzieję... – zacząłem na widok Kobiety Udającej Własną Babkę.

...że był to ostatni raz. Boże, dlaczego ona wróciła? Czy nie dość jasno się wyraziłem? Wiedziałem, że ten numer z Niną był ZA SŁABY. Takie właśnie są kobiety. Dlaczego mężczyźni myślą, że jak przestaną dzwonić, to kobiety zrozumieją dyskretną aluzję, że facet wolałby sobie ogolić nogi plastrami NiQuitin, niż się z daną kobietą umówić raz jeszcze. Zresztą, jak widzę, nieoddzwanianie albo udawanie, że się ma dziewczynę, jest dobre dla gimnazjalistów. Prawdziwy mężczyzna powinien zrobić coś LEPSZEGO. Sfingować własną śmierć i poprosić o objęcie programem ochrony świadków.

– Pomyślałam, że może posmakuje pan mojego ciasta marchewkowego. No i oczywiście zbada mi doktor gardło. Trochę... – Zakaszłała fałszywie, jakby zjadła przed chwilą garść KŁAKÓW z odkurzacza, które zawsze ma przy sobie w foliowym worku. Albo w worku od odkurzacza. – ...drapie.

Jakim cudem ta świruska znów u mnie jest? Może ktoś mnie podkablował? Artur? Boże, NAWET on nie mógł okazać się aż TAKĄ świnią. To pewnie dziewczyna z rejestracji. I co teraz? Teraz muszę zrobić to samo, co wszyscy stosujący dietę cud. Czekać na CUD! Byle szybko, bo ona właśnie zdejmuje bluzkę!

Edward

O Jezu. Muszę wstać. Muszę? Nie muszę. Muszę. Dzień sam z siebie nie robi się do dupy.

Maria

– Ten praktykant jest boski! – zawołał w uniesieniu ojciec.

O, to nawet ojciec to zauważył.

– Jak on zabalsamował twarz tej urzędniczki skarbowki... – Na twarzy ojca malowało się takie rozmarzenie, że już nie byłam pewna, z której wiadomości ucieszył się bardziej: z tego, że urząd skarbowy zaczyna wymierać, czy z tego, że ma jeszcze (w czasach kryzysu) kogoś w chłodni. – Nina, musisz koniecznie to zobaczyć! – ryknął.

– Tak, zaraz to zrobię, wpadnę tylko na chwilę do mojego pokoju i popełnię samobójstwo – oświadczyła Nina.

Bez przesady. Aż tak źle to chyba nie jest z naszym zakładem? Nie jest, prawda???

– Nina? – Bardzo ostrożnie zajrzałam do jej pokoju. Na wypadek gdyby spisywała właśnie TESTAMENT i nie zamierzała mnie w nim uwzględnić. – W porządku?

– Maria, zrzygałam się facetowi na buty, a ty mnie pytasz, czy jest w porządku???

– Jezus, on ci się NAPRAWDĘ podoba.

Boże, nie wierzę w to, ale chyba pora na kilka przedmażeńskich wskazówek rodem z poradni planowania rodziny, gdzie z reguły dowiadujesz się, że nie ma czegoś takiego jak seks, tak samo, jak nie ma UFO i litości w ZUS-ie, że dzieci możesz sobie znaleźć w kapuście z Tesco, a czekolada z Biedronki może zawierać śladowe ilości orzechów arachidowych, więc w zasadzie nie ma o czym rozmawiać.

– Nina, moja pierwsza randka z Edwardem też nie należała do udanych, a mimo to jesteśmy razem... – spróbowałam ostrożnie, chociaż nie wiem, czy akurat ja i Edward jesteśmy dobrym przykładem na cokolwiek. Pierwsza randka z Edwardem wyglądała mniej więcej tak, że po godzinie samotnego siedzenia w knajpie zadzwoniłam do niego, żeby się upewnić, czy to właśnie z NIM się umówiłam. Edward powiedział, że nie może wyjść z domu, bo nie ma kto zgasić światła w lodówce, nie wie, czy komórka działa POZA mieszkaniem, wyszedł mu pryszcz na czole i w ogóle, jak sobie obliczył, to już mu się chyba NIE OPŁACA wychodzić, bo i tak musiałby wrócić przed dwudziestą drugą. W rezultacie spędził wieczór w towarzystwie PRYSZCZA, dzwoniąc do siebie na domowy, żeby się upewnić, czy nadal jest w swoim mieszkaniu. Ja z kolei spędziłam ten wieczór, życząc mu pisania zakończenia do *Niekończącej się opowieści* i dożywotniego udziału w mistrzostwach w wabieniu JELENI.

– Edward... – zaczęłam raz jeszcze.

– Edward to idiota.

– Nieprawda. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale Edward nie jest taki zły. Nie łązi z kolegami na piwo, nie ogląda się za innymi kobietami, nie lubi piłki nożnej...

– Jezus, od dawna jest sparaliżowany?

Boże, ona go NAPRAWDĘ nie lubi. A ja myślałam, że PO PROSTU go nie lubi. Jak wszystkich.

– Nina, to naprawdę nie jest koniec świata. Jeśli z tym facetem ci nie wyjdzie, znajdziesz sobie innego. Nie jest wcale tak trudno znaleźć sympatycznego, zabawnego i naprawdę fajnego chłopaka. – Sama nie wierzyłam w to, co mówię, ale za to cała parafialna OAZA musi być teraz ze mnie dumna.

– Jest.

– Dlaczego?

– Bo on już zwykle ma chłopaka.

Aha.

– Nie idziesz zaraz do niego? – zerknęłam na zegarek. Dochodziło południe. Czyżby dzisiaj nie była chora? Dziwne...

– Maria, zrzygałam mu się na buty. Nie musi mnie jeszcze do tego wszystkiego oglądać w całości – warknęła.

– Nina, myślę, że on nie takie rzeczy widział. W końcu jest lekarzem.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie idę!

– Jak chcesz. – Wzruszyłam ramionami. – A, zapomniałabym. Zaszczepiłaś się na grypę? He, he.

Nina

Oczywiście, że się nie zaszczepiłam! Cholera jasna! Wiedziałam! Wiedziałam, że coś jest nie tak. Już wczoraj czułam się niewyraźnie, no ale myślałam, że to dlatego, że MUSIAŁAM się uśmiechnąć do proboszcza, do którego uśmiechać się trzeba pod groźbą samobójstwa (naszego zakładu pogrzebowego). A to wyłącznie dlatego, żeby wysyłał wszystkich parafian, to znaczy wszystkich MARTWYCH parafian do naszego zakładu, żebyśmy nie musieli się z ojcem zacząć sami grzebać. Jak ja mogłam przegapić termin szczepień! Jezu, Jezu, gdzie ja miałam oczy? I gdzie, do licha, jest moja książeczka szczepień???

Mam nadzieję, że ta przekłeta grypa mnie nie rozłoży, zanim dojadę do przychodni. W przeciwnym razie będę mogła darować sobie wizytę u lekarza, tylko od razu zadzwonię po ojca.

– Dzień dobry, chciałam się zarejestrować... Jak to: NIE MA NUMERKÓW?!

Boże, czy oni je wycinają z gazety, gdzie pod spodem jest napisane: WYTNIJ/ZJEDZ/ODDAJ PACJENTOWI i zawsze im się tak niefortunnie wytnie, że nie widzą nigdy tego ostatniego???

Przecież to niemożliwe, żeby nagle wszyscy zaczęli się masowo szczepić na grypę i słuchać muzyki klasycznej. W kraju, gdzie statystyczny obywatel chodzi raz na sto trzydzieści lat do filharmonii? To NIEMOŻLIWE!!!

– Jutro???

NIE MA TAKIEJ OPCJI! Jutro to może się zjawić u was mój ojciec po akt zgonu!

Boże, Boże, jakie są powikłania pogrypowe? Czy to ma coś wspólnego z zanikami pamięci? Nie pamiętam!

Edward

No i znów mi nie idzie. Może ugotuję sobie jajko. Auć. To nie jest chyba najlepszy pomysł.

Nina

– Jak to: NIE MOŻE MNIE PRZYJAĆ???

No teraz to już go naprawdę poniosło! Wiem, że zrzygałam mu się na buty, ale bez przesady, te buty nawet nie były oryginalne.

– Tłumaczę pani, że wszystkie numerki... – zaczęła dziewczyna siedząca w rejestracji. Wiedziałam, że nie można liczyć na COŚ, co ma biust. I to jaki... Nic dziwnego, że wszyscy mężczyźni w moim życiu pamiętali, co do nich mówiłam. Mam za małe cycki. Boże, Boże, gdzie jest ta ruda? Zawsze siedziała tu taka ruda, która jest tak wielka i tak gruba, że jak przechodzi obok telewizora, to masz gwarancję, że właśnie przepada ci odcinek ulubionego serialu, a dzisiaj co? Kim jest, do cholery, ta anoreksja z cyckami, i to tak wielkimi, że do kina wchodzi na pewno na bilet grupowy. A co, jeśli się nie zaszczepię i trafimnie szlag? Czy oni naprawdę chcą, żebym tutaj umarła i żeby ojciec mi wydłubał na

nagrobku: A NIE MÓWIŁAM?!

– Wie pani, gdzie mam pani numerki? – wrzasnęłam. Mam go w dupie oddziałowej, która jest tak fatalna, że nawet żal nie chce jej ścisnąć. Przecież to niemożliwe, żeby wszyscy nagle poczuli się chorzy. Obejrzeliby poranne wiadomości? Dowiedzieli się, JAKA TO MELODIA? Zobaczyli reklamę i skonsultowali się z lekarzem i farmaceutą? Poza tym, jak widzę, kolejka jest w STARYM, to znaczy w STAŁYM składzie. Czyli jak rozumiem, wszystkim się nudzi, więc przychodzą po trochę rozrywki i prozacu. A ja naprawdę mogę umrzeć, jeśli się nie zaszczepię! Nie, ktoś zginie pierwszy, jeśli ja za pięć minut nie wejdę do gabinetu!

– O! – usłyszałam nagle gdzieś z tyłu. – To pani!

Uff, to ta ruda. Jestem ocalona!

– Muszę się do niego dostać... – zaczęłam. Boże, zabrzmiało to tak, jakbym czekała na papieską audiencję. Albo próbowała otworzyć czekoladowy batonik, który jest tak szczelnie zamknięty, że ten, co go zamykał, na bank musiał pracować wcześniej w fabryce DUREXA. – Jestem w kolejce!

– Nie ty jedna, złotko – ciumknęła ruda.

Co to miało znaczyć, hm???

– Od pół godziny siedzi tam taka jedna blond. Z ciastem. – Recepcjonistka uniosła znacząco brwi.

Szybko się uwinął, nie ma co. Nie wiedziałam, że tu można ciasto wnosić. Chociaż, jak znam życie, ludzie niejedno już wnieśli do lekarza w REKLAMÓWCE. Łącznie z ładunkami wybuchowymi, żeby się chłopak trochę rozerwał przed spotkaniem z prokuratorem. Trudno, wchodzę tam!

Jakub

Kiedy myślałem, że NIC się już nie wydarzy i wyjdę z własnego gabinetu jako mąż tej nieszczęsnej kobiety, a może już nawet ojciec naszych wspólnych dzieci i posiadacz kredytu hipotecznego, bo nie dane mi będzie wcześniej powiesić się na kablu od myszki, ponieważ posiadam tylko BEZPRZEWODOWĄ, drzwi otworzyły się z hukiem. Jezus, Maria, Nina! Żeby tylko nie pomyślała sobie, że ja i TA TUTAJ mamy ze sobą coś wspólnego. To znaczy oprócz jej składek zdrowotnych. Na szczęście, Nina nawet nie spojrzała na tę świruskę, która usilnie próbowała mi objaśnić budowę własnego układu oddechowego w gwałcącej moje oko bieliźnie. Na dodatek na stole wciąż stało to nieszczęsne CIASTO...

– Nina... – zacząłem.

Nina najwyraźniej NIE ZAMIERZAŁA rozmawiać. Wpadła jak huragan Katrina, który powinien otrzymać nowe imię (i to bardzo szybko), bo ten, który teraz zmierzał w moją stronę, bił tamten na głowę. I co teraz? Da mi po gębie? Zmusi do odróżnienia SPÓDNICY od SUKIENKI? Albo, co gorsza!, każe mi znaleźć telefon w jej torebce???. Takie są właśnie kobiety. Trzeba je przeproszać za to, co się im powiedziało i za to, czego się nie powiedziało, jak również za to, co one same powiedziały. Z tego wszystkiego zapomniałem, że to JA powinienem być na nią zły. W końcu co to ma znaczyć? Nie podobam się jej, tak? Więc nie ma prawa robić mi awantury z powodu innej kobiety. Chociaż tej tutaj nie chciałbym nazywać kobietą, bo wtedy musiałbym nazwać kobietą także siostrę Celinę i Camillę Parker Bowles. Że też zdążyłem wygłosić taki długi monolog wewnętrzny, zanim Nina dopadła mnie i... Czy ona mnie właśnie pocałowała, czy to już jest ŚMIERĆ KLINICZNA???

Nina

No to go pocałowałam. I to z własnej nieprzymuszonej woli. Nieźle. Czyli jest prawdziwa chemia

między nami. I tym razem nie jest to ibuprofen.

Jakub

Nieźle. Naprawdę nieźle. Chociaż, chwila! Może powinienem schować buty? Tak na wszelki wypadek...

– Co tu robi TO ciasto? – wrzasnęła Nina. – Tyle razy ci mówiłam, żebyś nie jadł w pracy! Wiesz, ile tu jest bakterii??? – Spojrzała na Kobieta Udającą Własną Babkę, która zdążyła się już doprowadzić do porządku, czyli do dalszego udawania własnej babki. No tak. Bakteriom w dzisiejszych czasach zdarza się czasem przypominać kobietę.

– To ja już pójdę – powiedziała Kobieta Udająca Własną Babkę. Minę miała NIESZCZEGÓLNA. Zupełnie jakby nagle uświadomiła sobie, że nie jest dobrze udawać babkę, bo to się zwykle źle kończy. ZWŁASZCZA kiedy udajesz babkę Czerwonego Kapturka. No i dobrze, niech idzie. Może wrócić, kiedy skończy się *Moda na sukces*, czyli NIGDY. Cholera, zabrała ciasto.

– No to co teraz? – spytałem, nie zdając sobie sprawy z tego, że wciąż obejmuję Ninę w pasie i to tak kurczowo, jakby miało mi to zapewnić wygraną w największej kumulacji totolotka. Albo przynajmniej dało gwarancję znalezienia o siódmej rano miejsca parkingowego przed szpitalem, co – jeśli chodzi o szanse – jest porównywalne.

– Jak to: co? MUSZĘ SIĘ ZASZCZEPIĆ!

Taaa... To na wypadek, gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości co do poziomu romantyzmu tej chwili. Albo raczej REUMATYZMU.

Edward

No nie idzie mi. Wydawca mnie zabije. Maria mnie zabije. SAM się zaraz zabiję.

Maria

– Umówiłaś się z praktykantem? – spytała bez ogródek Nina, kiedy próbowałam (bezsukcesyjnie) znaleźć w lodówce coś, co nie będzie groziło kamieniem żółciowym ani ostrą niewydolnością jelit.

– Tak ci powiedział???

No bo chyba nie mówili o tym we wczorajszych wiadomościach, prawda? Prawda???

– Spytał, czy nie mam nic przeciwko – wzruszyła ramionami, oglądając żółty ser, który (sądząc po jej minie) wydał jej się z pewnością BARDZO podejrzany. To chyba przez te dziury. Albo dlatego, że jest żółty.

– O Boże... I co?

Może to ona zadzwoniła do ludzi z wieczornych wiadomości?

– Wiesz, ja tam nie mam nic przeciwko, ale nie wiem, co na to twój mąż. Myślisz, że on jest jeszcze dobry? – Wyjęła goudę z opakowania i obejrzała pod światło. Nie wiem, czy jest tam coś do oglądania...

– Powiedziałaś mu, że mam męża???

– Nie. Nigdy nie przyjął tego do wiadomości. Ojciec zresztą chyba też nie – odpowiedziała, nadal zajęta serem. Boże, zaraz zadzwoni do instytutu meteorologicznego, żeby spytać, czy jeśli przez dziury w serze wieje wiatr, to oznacza to, że ser jest jadalny czy może wręcz przeciwnie.

– Nina, to nie tak. Ja po prostu... to przecież nic złego... – zaczęłam, chociaż wiedziałam, że moje tłumaczenie jest równie skuteczne jak próba założenia na siebie kożucha z mleka.

– Maria, mam to w dupie, skoro już przeszliśmy do zwierzeń.

Aha.

– Myślałam, że chce się umówić z tobą – wyjaśniłam jej, chociaż zabrzmiało to faktycznie mało wiarygodnie. A przynajmniej tak wiarygodnie, jak kazanie ojca Natanka i teoria, że wszyscy dożyjemy comiesięcznej pensji z ZUS-u.

– ZE MNA??? – ryknęła, jakby dziura w serze okazała się nieoczekiwanie dziurą ozonową.

– A potem... Nie wiem... samo jakoś tak wyszło. Wiesz, to naprawdę miły chłopak... – Jezu, zupełnie jakbym próbowała ją przekonać, że urząd skarbowy tak naprawdę jest po naszej stronie.

– Raczej miły dla oka. Zwłaszcza w tych obcisłych dżinsach.

– Też to zauważyłaś?

Nie wierzę. Może Ninie jednak ZDARZA SIĘ być kobietą... W końcu z naturą nie wygrasz. Pewnie dlatego niektóre kobiety nawet z nią nie walczą, jak na przykład Irena z poczty, która poddała się już dawno i nawet nie zwraca uwagi na to, że mówią do niej na „pan”, a oddając awizo, dopisują: „Zgól pan wąsa”.

– Oczywiście. To gej.

Co??? Teraz to już chyba NAPRAWDĘ przesadziła. To, że facet wie, że od używania mydła nikt nie umarł ani nie stał się bezpłodny, nie znaczy jeszcze, że jest gejem.

– Oszałałaś? – spytałam, chociaż nie wiem, czy odpowiedź na to pytanie nie jest zbyt OCZYWISTA w jej przypadku.

– Nie. To gej – powiedziała Nina takim tonem, jakbym TYLKO ja nie przyjęła do wiadomości tego, że Elvis żyje.

– To po co się ze mną umówił? – spytałam, jakby Nina (i tylko Nina) znała odpowiedź na to pytanie.

– A skąd ja mam wiedzieć? Może mu przypominasz jego byłego chłopaka – wzruszyła ramionami.

– Niemożliwe. To NIEMOŻLIWE. Skąd wiesz, że to gej? – zaryzykowałam, chociaż zdawałam sobie sprawę, że zaraz tego pożałuję. Mam tylko nadzieję, że ona nie czerpie tej wiedzy z lekcji wychowania do życia w rodzinie prowadzonych przez jakąś miłą starszą panią w moherowym berecie.

– Wiem i już. A jak nie wierzysz, to spytaj Pabla.

Pabla? Dlaczego akurat Pabla? Ależ proszę bardzo, możemy go zapytać. Akurat Pablo i jego IQ to mniej więcej taki sam autorytet w kwestii ustalania cudzej orientacji seksualnej, jak Nergal doradzający prezent na Pierwszą Komunię Świętą. Gdyby Pablo i jego IQ żyli w głębokim średniowieczu, z pewnością ratowaliby smoki i zabijali dziewice. Jasne, akurat Pablo zna się na gejach. O Boże, to PRZECIEŻ Pablo. Oczywiście, że się ZNA. Pablo jest podrywany przez wszystkich: dziewczyny, chłopaków i psy sąsiadów, więc kto ma się lepiej na tym znać??? Jezu, a jeśli Nina ma rację? Jeśli przypominam temu praktykantowi jego byłego chłopaka???

– To gdzie jest Pablo?

Nina

Zanim dziesięć minut później cała nasza trójka – z Pablem na czele – zaczęła podglądać praktykanta w kostnicy, musiałam najpierw do niego zadzwonić. To znaczy do Pabla, nie do praktykanta, rzecz jasna. A to, jak zwykle, nie było takie proste.

– Pablo, masz tu być za pięć minut! – wrzasnęłam do słuchawki.

– Jezu, dopiero usiadłem.

– Tak? A co robiłeś wcześniej?

– Leżałem.

No tak. Żeby nie było żadnych wątpliwości, Pablo mieszka obok. Droga z jego łóżka do naszych drzwi zajmuje minutę, przy czym zdążysz jeszcze w tym czasie pójść po mleko i gazetę, a nawet wydepilować nogi. WOSKIEM.

– Nina, na Boga, jeśli mówię, że będę za pięć minut, to nie dzwoń do mnie co pół godziny – wymamrotał błagalnie, przeczesując włosy, które miały kształt wgniecionej poduszki. Tego dnia założył na siebie wymiętą jak jego moralność koszulkę i przybrał taki wyraz twarzy, jakby szedł tu na BOSO, a droga wysypana była klockami Lego. Niestety, wciąż wyglądał tak, że niejedna, a właściwie każda (oprócz mnie i – chyba/mam nadzieję – Marii) chciałaby od razu wziąć z nim kredyt na mieszkanie. Nie wiem, jak on to robi. Albo raczej, jak głupi musi być ten gatunek z piersiami i cellulitem.

– I co? – spytałam Pabla, który właśnie tak zawzięcie dłubał sobie w uchu, jakby zostawił tam jakieś EURO na czarną godzinę. – Co myślisz?

– Stuprocentowy gej – powiedział od niechcienia, nie przerywając dłubania w uchu.

– To dlaczego chciał się ze mną umówić? – zapytała Maria, która wyglądała na bardzo zdezorientowaną. Nie wiem tylko czym bardziej. Tym, że praktykant to gej, czy tym, że Pablo zaraz wyciągnie sobie z ucha mózg.

– Maria, wiem, że każdy mężczyzna, który nie chce się z tobą umówić, to gej, ale być może ten tutaj jest wyjątkiem potwierdzającym regułę. Od początku wydawał mi się dziwny – westchnęłam z wyższością.

– Eeee... tam – mruknęła.

Boże, ona jest gotowa bronić jego orientacji jak niepodległości. A przynajmniej jak ostatniej sukienki z wyprzedaży.

– Nie „Eeee... tam”, tylko tak. A ty się napaliłaś...

– Wcale się nie napaliłam!

– ...tym, że ma cię za młodszą, niż jesteś. A przecież mogłabyś być jego matką – wytłumaczyłam jej te niepojęte dla niektórych kobiet tajemnice matematyki.

– Nina, on jest prawie w twoim wieku. To znaczy, że mogłabym być też twoją matką?

– Maria, spójrzmy prawdzie w oczy, jesteś tak stara, że mogłabyś być matką połowy miasta. Poza tym mówimy o facetach. Pablo, czy Maria mogłaby być twoją matką?

– Tak – mruknął Pablo, nie przestając grzebać w uchu. – Nie mam nic przeciwko.

– Umówiłbyś się z nią?

– Przecież nie mógłbym się umówić z własną matką.

Na szczęście Pablo zachował jeszcze – w przeciwieństwie do Marii – resztki rozsądku. Przynajmniej dopóki nie wyciągnie mózgu z ucha.

– Trudno, pójdziesz z nim na tę kawę, rurkę z kremem czy śledzia w śmietanie i dowiesz się, co knuje – podsumowałam naszą nieprowadzącą do niczego rozmowę.

– Jezu, a co ma knuć? – wrzasnęła Maria.

– Może to złodziej?

– Nina, proszę cię... Co miałby niby ukraść? Trumnę?

– Otóż to.

– Daj spokój – machnęła ręką Maria.

– Słuchaj, jeśli facet jest gejem, a chce się z tobą umówić, to oznacza...

– ...że chce zrobić na złość swojemu chłopakowi – dokończył za mnie Pablo.

– ...albo że coś kręci. Dlaczego nie chciał się umówić ze mną?

– Bo wszyscy, z którymi się umawiałaś, umarli? – spytał Pablo.

Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie.

–... ze szczęścia, oczywiście, ze szczęścia – mruknął.

– Maria, tobie to i tak nie robi różnicy. Idź z nim na tę kawę czy co on tam wymyślił. Jeśli jest gejem, to i tak przecież masz męża, nie? – Poklepałam ją po ramieniu.

No to z grubsza już wiemy, co robić. Maria pójdzie na kawę z tym palantem, to znaczy praktykantem, Pablo pójdzie w cholerę, a ja będę miała ŚWIĘTY spokój.

– Co ty masz na szyi? – spytał ni z tego, ni z owego Pablo, to znaczy kiedy przestał już dłubać w uchu.

Dotknęłam ręką szyi. Boże, co to może być? Lustro, podajcie mi lustro! A potem to już chyba tylko pavulon.

– Jezus Maria! – wrzasnęłam na swój widok w lustrze. Co to jest??? Boże, czy to jest rumień czy może... To jest RUMIEN. Jak nic mam boreliozę!

– To malinka.

– Co???

– Malinka – powtórzył Pablo i ziewnął. – Gdzie byłaś w ciągu ostatnich trzech godzin?

– Nigdzie. W kostnicy. U lekarza.

Boże, gdzie ja mogłam się natknąć na kleszcza?

– No to się, widzę, nieźle na tę grypę zaszczepiłaś – zauważyła złośliwie Maria.

– Jezu, Nina – syknął przerażony nie na żarty Pablo. – Uważałaś chociaż?

– Na co?

– No wiesz...

Boże. Idiota. Gdyby jego rodzice bardziej uważali, NIE MUSIAŁABYM z nim teraz gadać.

Edward

Chyba mam drugie zdanie! Nie, zdawało mi się. Nadal nie mam. Mam za to DOŚĆ. Ale to chyba akurat nikogo nie zainteresuje. A już na pewno nie wydawcę.

Maria

No i gdzie on jest? Umówiliśmy się, że przyjdzie po mnie o szóstej. Czy mężczyźni mają zegarki zasilane energią wodną z kolana albo falami mózgowymi, przez co ZAWSZE się spóźniają? I czy te osiemdziesiąt procent ludzi, którzy mówią, że są już w drodze, chociaż nawet nie wyszli z domu, musi być rodzaju męskiego? Aaaa... jest dopiero czwarta. No dobrze. Teraz przynajmniej mam legalny powód, żeby się z nim spotkać. Chociaż za bardzo nie mogę sobie przypomnieć, jaki to WŁAŚCIWIE powód. Co mam tak naprawdę ustalić? To, czy jest gejem, czy może złodziejem trumien? I KOMU tak naprawdę ta wiedza jest potrzebna? Bo jak krajowi, to bardzo przepraszam, ale mam lepsze rzeczy do roboty niż służba państwu, gdzie z Warszawy na Hel dostaniesz się szybciej na piechotę niż pociągiem i gdzie połowa obywateli jest NIEZADOWOLONA, a druga połowa – siedzi w Anglii lub Irlandii. Problem polega na tym, że Nina i Pablo nie sprecyzowali swoich podejrzeń, a ja okazałam się dość głupia, że dałam się podejść jak ci wszyscy, którzy wierzą, że dorobią się w tym kraju czegoś więcej niż garbu.

Dlatego od momentu, kiedy się zjawił, byłam pełna podejrzeń. Tyle tylko że nie wiem za bardzo, co właściwie ma mi się wydać podejrzane. Toteż na wszelki wypadek, zanim wyszliśmy, zaproponowałam

mu kawę, żeby zyskać na czasie i poczekać, aż się zdemaskuje. Co prawda, nadal nie miałam pojęcia jako kto, ale postanowiłam zachować się jak polski rząd, czyli poczekać, aż samo się wyjaśni, co oczywiście przeważnie nie następuje NIGDY. Poza tym, czy mi się wydaje, czy on zrobił się jakoś mniej atrakcyjny od wczoraj? Teraz podejrzane wydawało mi się WSZYSTKO. To, że przyszedł na czas. Że miał czystą koszulę. Że pił z filiżanki. Boże, to jakaś paranoja! Czego się spodziewałam? Że przyjdzie z chłopakiem i mi go przestawi? Że poprosi o śledzia w śmietanie do kawy? Albo powie, że zna zakończenie *Mody na sukces*? Może powinnam mu zrobić szybki test na geja? Tylko o co w takim układzie mam spytać? Czy znasz nazwy więcej niż trzech kolorów? Myjesz się częściej niż raz na tydzień? Odróżniasz rzęsy od brwi? A może po prostu: „Jeśli jesteś gejem, zaznacz prawidłową odpowiedź. A) tak, B) nie. Jeśli zaznaczyłeś A), jesteś gejem”. A jak w takim razie wygląda test na złodzieja trumien? Boże, spokojnie, tylko spokojnie, to przecież jedynie moja chora wyobraźnia podpowiada mi takie wizje. Jak tak dalej pójdzie, zacznę podejrzewać go o to, że prasuje skarpetki przed wypraniem i że przez niego nie bierzemy udziału w Eurowizji. To chore. Tak właśnie pomyślałam. Dopóki nie zadzwonił telefon.

– O, a to kto? – Wyrwałam mu go z ręki, kiedy tylko zerknął na wyświetlacz. – Mamusia? A może nie przyznałeś się, że masz dziewczynę? – spytałam tonem babci Jadzi, która dokłada ci kolejną łyżkę jedzenia w momencie, kiedy ty już zjadłaś tyle, ile ważysz. NORMALNIE tego nie robię, żeby była jasność, ale przez całą kawę siedziałam jak na szpilkach, czekając, aż się coś wydarzy (na przykład zmiana jego orientacji seksualnej, chociaż w tym momencie nie byłam już pewna, na jaką), i zupełnie zapomniałam o dobrych manierach. Było jednak za późno, żeby być bardziej taktowną niż serwis do herbaty brytyjskiej królowej. W końcu tu chodziło o coś ważniejszego niż rodzinny interes. Tu chodziło o to, że byłam ciekawa jak diabli! Boże, kto to może być? Może to jego chłopak? Albo faktycznie matka? Albo...

– Dlaczego dzwoni do ciebie Albert?

Czekałam na wytłumaczenie. Albert to mój spowiednik/kurator sądowy/ojciec chrzestny mojego chomika? Ale wyjaśnienia nie było, więc wyjaśniłam sobie sama.

– Albert cię przysłał! Jesteś od Alberta! No to wszystko jasne.

Nie myślałam, że Tłusty Albert jest aż taką ŚWINIĄ, żeby podkładać nam ŚWINIĘ w postaci własnego pracownika. Musiał wiedzieć o zamiłowaniu ojca do mięsa. Tylko czego właściwie się spodziewał? I przede wszystkim, co miałby ten nieszczęsny praktykant robić? Przekonać się, czy ojciec przypadkiem nie pracuje dla somalijskich piratów, dlatego jest taki ruch w interesie? Sprawdzić, czy nie używa szminki TESTOWANEJ na zwierzętach? Upewnić się, czy płaci abonament? A może miał przeprowadzić zręczny sabotaż? Tylko jak taki sabotaż może wyglądać w zakładzie pogrzebowym? Miałby podmieniać trumny? Dorysowywać nieboszczykom wąsy FLAMASTREM? Golić im brwi? Jezu, to rzeczywiście chory interes. Tak chore mogło być tylko morze, zanim stało się Martwe.

– Posłuchaj... – zaczął.

– Nawet nie mam zamiaru. Jeśli ty tak zawsze długo szukasz wymówki, to idź jej szukać gdzie indziej! Aha, jeszcze jedno. Jesteś gejem?

– Nie – popatrzył na mnie z tak ogłupiałą miną, jakbym go spytała, czy kupuje chleb na Allegro.

– A, to przepraszam. Jak rozumiem, jesteś tylko waginosceptykiem. Żeby być gejem, trzeba być facetem. A żeby być facetem, trzeba mieć jaja, a tych najwyraźniej ci zabrakło.

Boże, jak ja to wytłumaczę ojcu? Oczywiście, nie orientację praktykanta, bo tu raczej nie ma czego wyjaśniać, ale to, że bratałam się z wrogiem. Teraz chyba nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zbratać się z alkoholem, gdyż jak powszechnie wiadomo, alkohol to twój wróg.

Nina

– To co z nim zrobimy? – spytałam, żeby w końcu coś ustalić, bo była sobota, śniadanie stygło, a ja co prawda zaszczepiłam się na grypę, tężec i gruźlicę, ale wciąż kwestią otwartą pozostawały: japońskie zapalenie mózgu, afrykańska gorączka krwotoczna i nasz PROBOSZCZ.

– Mam pewien pomysł... – powiedział ojciec z taką miną, jakby znalazł sposób na to, żeby nie zmieniać czasu na zimowy. Albo odwrotnie.

– Zamordujemy!!! – wrzasnęła Maria.

No tak, Maria. Nie wiem, co ją bardziej ubodło: to, że praktykant pracuje dla Alberta, to, że okazał się gejem, czy to, że... okazał się gejem. Jeśli jesteś facetem, pamiętaj: kobieta nigdy nie wybaczy ci dwóch rzeczy – tego, że zgasiłeś jej światło w łazience, kiedy się malowała, i tego, że jesteś gejem. No i może jeszcze tego, że nie zauważyłeś jej nowej fryzury.

– Myślę, że go za... – zaczął ojciec.

– Zamordujemy!!! – ryknęła Maria.

– ...zatrudnimy.

– Co??? – wydarła się.

– Masz lepszy pomysł? – zwrócił się do niej ojciec. Był NAD WYRAZ spokojny, jak na kogoś, kto przyjął pod swój dach człowieka pracującego dla naszego wroga (wroga, któremu życzysz wszystkiego najgorszego, głównie wielu schyleń po mydło w męskiej ubikacji). Mogłabym nawet zaryzykować stwierdzenie, że w tym momencie miał w sobie olimpijski spokój, gdyby nie fakt, że spokój i olimpiada wzajemnie się wykluczają. Czy on nie powinien teraz rwać włosów z głowy, drzeć szat i gryźć mebli, tak jak zawsze to robi, kiedy w trakcie ulubionego serialu widzi niczym nieuzasadniony napis: „W następnym odcinku”. No chyba że teraz niby spokojnie grzebie sobie w jajecznicy, a pod stołem trzyma odbezpieczony granat albo tarkę do sera, gotowy na MASAKRĘ TARKĄ RĘCZNA.

– Zatrudnimy go – powtórzył ojciec.

Głupi wyraz twarzy Marii świadczył jednak o tym, że moja siostra ciągle za lepszy uważa własny pomysł. No bez przesady, aż tak jej nie zależy na naszym zakładzie, żeby mordować praktykanta.

– Nie znam lepszego sposobu, żeby zamknąć mu usta. – Ojciec rozłożył ręce.

– Skąd wiesz, że się zgodzi? – spytała podejrzliwie Maria.

Boże, mówi tak, jakby nie znała Alberta. Otóż Tłusty Albert, mimo że nie był skarbem państwa ani Zakładem Ubezpieczeń Społecznych, słynął z tego, że miał węża w kieszeni. Kiedy jak każdy normalny człowiek nabierał ochoty na coś orzeźwiającego w piątek wieczorem, otwierał okno; kiedy zużył papier toaletowy, oddawał go do PRALNI; a gdyby się z kimś założył o złotówkę, kto dłużej wytrzyma pod wodą, to z pewnością by utonął. Jak sobie myślę o Wielkim Kanionie, to jestem przekonana, że zanim powstał, Tłusty musiał tam zgubić dwa złote. Dlatego jestem pewna, że kto jak kto, ale Albert z pewnością zatrudniał tylko NIELEGALNYCH imigrantów, którym od razu zabierał paszport i kazał opłacać cło. O pensji milczał, a jeśli wspominali coś o powrocie do ojczyzny, to im łaskawie przypominał, że jeśli coś ich ciągnie do kraju, to jest to jedynie list gończy i prokurator. Dlatego ja akurat nie miałam żadnych wątpliwości, że praktykant ucieszy się z propozycji ojca i z tej radości nie będzie wiedział, w co go całować. LEPIEJ, żeby pozostał z tą niewiedzą.

– Wciąż nie mamy pewności, ile wie – ośmieliłam się zauważyć. Co innego chodzić na nasze pogrzeby, a co innego pchać się do zakładu pogrzebowego od kuchni i zaglądać nam do garnków. Swoją drogą, ostatnio nie mogłam znaleźć jogurtu...

– Myślisz, że Albert już wie o filetach z kurczaka? – Ojciec aż wstrzymał oddech.

– Jakich znowu filetach? – spytała totalnie zszokowana Maria.

– Wypełniliśmy nimi piersi tej kobiety, która zdmuchiwała po raz ostatni świece na urodzinowym torcie – wyjaśniłam jej naprędce. To była zresztą odpowiedź na pytanie jej chłopaka, który przez całe życie (jej życie, oczywiście) zastanawiał się, czy jego dziewczyna ma silikonowy biust. W tej sytuacji nie było już o czym mówić. No a my nie mogliśmy pochować jej przecież bez piersi. Chociaż moim skromnym zdaniem lepiej bez piersi niż bez BRWI. Tak czy siak, filety z kurczaka to był nasz popisowy numer (Albert prawie umarł, jak to zobaczył, ale się w porę zreflektował, że komu jak komu, ale przedsiębiorcy pogrzebowemu raczej nie wypada tego robić). Zresztą, czego my nie robiliśmy... Czasami stajemy w obliczu wyzwania, wobec których mycie okien w KOPALNI to naprawdę pestka. Na pewno wiecie, o czym mówię: to niezręczne uczucie, kiedy chowamy kogoś bez nóg, a rodzina sobie życzy, żeby go pochować w JAPONKACH...

– Nie wiem, ile wie, ale musisz to załatwić – powiedziałam do ojca, jakby chodziło o zlikwidowanie kuriera doręczającego ci paczkę z nielegalnym oprogramowaniem, które zamówiłaś na Allegro. Swoją drogą, to jeden z bardziej ŚWIŃSKICH kawałów, jakie wyciął nam Albert. Musiał wiedzieć, że ojciec zrobi wszystko dla mięsa.

Jakub

Co robicie w sobotę rano? O ile nie jesteście jeszcze intubowani w karetce po wczorajszej imprezie albo nie zastanawiacie się właśnie, dlaczego słońce dziś tak GŁOŚNO świeci, popijając w międzyczasie wodę z żelazka. Jeśli możecie wstać o własnych siłach, idziecie prosto do sąsiada i pytacie, czy ma coś na wątrobę.

– Masz coś na wątrobę? – spytałem.

– Piwo, wino, ogórek kiszony? – usłyszałem w odpowiedzi.

No cóż. Abstynencja dobra rzecz, ale – jak wszystko – trzeba ją zachowywać z UMIAREM.

Maria

– Postanowiliśmy cię zatrudnić – powiedział ojciec takim tonem, jakby brał udział co najmniej w KONKLAWIE. – To jedyny sposób, żeby zamknąć ci usta. Na zawsze.

– Nie bardzo rozumiem. – Praktykant miał śmierć w oczach. No i dobrze, niech się boi. Nie zadziera się z przedsiębiorcą pogrzebowym. Ani z FRYZJEREM.

– Jesteś od Alberta, tak? – zaczął ojciec. Nie wiem, co prawda, co ojciec ma w swoim repertuarze w ramach odpytywania na taką okoliczność, ale mam nadzieję, że na liście znajduje się łamanie kołem, wrywanie paznokci i oglądanie *Hannah Montany* na przemian z *Hello Kitty*.

– Zgadza się. Właściwie to od brata Alberta. – Praktykant powiedział to takim głosem, jakby brał udział w biegu na orientację. Seksualną, rzecz jasna.

– Nie wiedziałem, że Albert ma brata – zmarszczyła brwi Nina.

– Ja też nie! – Ojciec spojrział na nią osłupiały, jakby właśnie dowiedział się, że stół Durczoka wcale nie był brudny.

– Dziwne... – Nina jeszcze mocniej zmarszczyła brwi.

– Bardzo dziwne... – Ojciec potarł dłonią podbródek.

– Co ma z tym wszystkim wspólnego brat Alberta? – ryknęła Nina do praktykanta. Wyglądała tak, jakby miała go zaraz przywiązać do krzesła i odczytać osiemdziesiąt stron przepisów BHP.

– Niewiele – rozłożył bezradnie ręce praktykant.

– Mówiłeś, że jesteś od brata Alberta! – zagrzmiał ojciec. – Nie kręć mi tutaj!

– Jestem od brata Alberta. Parafii brata Alberta.

O Jezu. A więc przysłał go proboszcz. Wolałabym, żeby przysłał go Tłusty Albert niż nasz proboszcz. Zdecydowanie. Dlaczego? To bardzo proste. Jeśli miałabym OPRYSZCZKĘ, nazywałabym ją imieniem naszego proboszcza. Wystarczy?

– Czy to znaczy, że... – zaczął ojciec.

– ...jesteś... – kontynuowała Nina.

– ...księdzem? – zawiesił głos ojciec.

– Tak jest.

A więc nie jest gejem. Jest księdzem. Brawo. Świetnie. Przez moment panowała okrutna cisza. Zaczęłam się obawiać tego, że mój ojciec nie jest moim ojcem, tylko arcybiskupem Canterbury albo kardynałem Richelieu, a Nina, no cóż, Nina okaże się po prostu MIŁA.

– Dlaczego w takim razie umawiałeś się z moją córką? – zagrzmiał w końcu ojciec. W jego głosie słychać było prawdziwą ojcowską troskę. Ojcowie nie lubią, kiedy ich córki się umawiają. Nawet z księżmi. ZWŁASZCZA z księżmi.

– Nie umawiałem się. – Praktykant skrzyżował na wszelki wypadek i ręce, i nogi. – Pańska córka chyba źle mnie zrozumiała... – zaczął.

Jasne. A ksiązę Karol jest przystojny.

– To po co chciałeś wyjść, draniu?! – nie wytrzymałam.

– Żeby porozmawiać.

– O czym? – zapytał ojciec.

– Proboszcz mówił, że pana córka to taka uduchowiona osoba. Chciałem jej zaproponować uczestnictwo w naszej oazie. Spotykamy się w każdy piątek o dziewiętnastej.

W jakiej oazie, do jasnej cholery??? Nawet gdybym została z nim sama na pustyni, wolałabym wypić sobie wodę z KOLANA, niż przyjąć zaproszenie do jego oazy. Na dodatek pomylił siostry, palant jeden. Proboszcz nigdy w życiu nigdzie by mnie nie polecił. No chyba że do szybkiej eutanazji. Ojciec popatrzył zupełnie zdezorientowany najpierw na niego, a potem na nas.

– Nina – powiedział w końcu. – Co ty na to?

– Ja??? A co ja mam z tym wszystkim wspólnego? – wrzasnęła Nina, jakby ktoś jej wsadził głowę pod wodę. Świeconą, żeby nie było wątpliwości. – Chyba wiesz, gdzie ja to mam!!! To Maria się z nim umawiała!

Dzięki, Nina. Jak widać, jej poczucie przyzwoitości jest nadal nieobecne. Albo chore i zostało u lekarza.

– CO??? – wrzasnął ojciec. – To byłaś ty???

– Ja! No i co w związku z tym? Zrobiłam to dla naszego wspólnego dobra! – odwrzasnęłam.

– Jasne – mruknęła Nina.

Wiem, zabrzmiało to tak, jakbym odcięła Edwardowi przyrodzenie na skutek nagłego ataku PMS-u.

– Myślałam, że on naprawdę pracuje dla Tłustego – postanowiłam brnąć dzielnie w to dość mętne usprawiedliwienie.

– Przed tym czy po tym, jak myślałaś, że idziesz z nim na randkę? – zauważyła złośliwie Nina. Jak Boga kocham, zgłoszę ją kiedyś do *Sprawy dla reportera*. Albo do koreańskiej edycji *You Can Dance*.

– Chciałaś się z nim umówić? – Ojciec chyba był załamany. – Przecież to ksiądz!

– Skąd mogłam wiedzieć? Nikt mu tego nie wydrapał widelcem na czole. Nie powinno martwić cię bardziej to, że mam męża, a chciałam się umówić z innym facetem? – podsunęłam życzliwie.

– Masz męża? – zdziwił się praktykant. To znaczy ksiądz. O, przepraszam, teraz to niech on się wypcha.

Co go to obchodzi???

– Wiesz, co myślę na temat twojego męża – powiedział ojciec z taką miną, jakby nie wiedział, w jakim języku do mnie przemówić, więc na wszelki wypadek postanowił pójść w ślady Andrzeja Wajdy podczas ceremonii rozdania Oscarów i zdecydować, że jednak „będę mówił po polsku”.

– A wiesz, co ja myślę na temat twojej fryzury?

Znów zapadła ta niezręczna cisza.

– To może byście obie przyszły? W piątki o dziewiętnastej w salce katechetycznej parafii brata Alberta? – zaczął nieśmiało. – A z mężem możesz przyjść na spotkania dla młodych małżeństw. W piątki o osiemnastej.

Bo ja naprawdę nie mam co robić z Edwardem w piątek wieczorem... Boże, oczywiście, że nie mam co z nim robić, ale AŻ TAK nam się nie nudzi, żeby chodzić do kościoła w piątek wieczorem, kiedy wszyscy modlą się, aby w sobotę nie obudzić się nago na plaży w Pucku ze wstęgą: „Nigdy Cię nie zapomnimy. Żegluga Nadbałtycka”. Bez względu na to, jakiej jesteś płci.

Nina

Jeśli kiedykolwiek pomyślałam, że fakt, iż Pablo obudził się kiedyś w jednym łóżku z kobietą, która miała brodę, wąsy i na imię Darek, to kanał, to odwołuję te myśli natychmiast. To jest dopiero KANAŁ! Nie wiem tylko, co w tym wszystkim najgorsze: że praktykant okazał się księdzem, że biedna Maria prawie się z nim umówiła, że ja i Pablo tak głupio pomyliliśmy się co do jego orientacji seksualnej, czy to, że ojciec ma głupią fryzurę???

Edward

I tak się kończy moje mocne postanowienie napisania kolejnego zdania... Zupełnie jak postanowienia noworoczne robione 1 stycznia, które zaczynają się od: „W przyszłym roku zrobię...”.

Jakub

No i życie jest piękne. Nadal nie śpię, ale przynajmniej nie muszę się martwić, że obudzę się w cudzym łóżku. To oczywiście nie byłoby takie złe... Pytanie tylko, czy w namiocie tlenowym Niny jest w ogóle jakieś łóżko?

Maria

Kiedy myślisz, że nie może cię już spotkać nic gorszego niż sytuacja, kiedy próbowałam się umówić z młodszym facetem, mimo że masz męża, po czym facet ten okazuje się być księdzem, a ojciec nadal ma głupią fryzurę, to zawsze możesz jeszcze usłyszeć coś takiego:

– Dzień dobry! Właśnie przechodziłam i pomyślałam, że wstąpię.

O Boże, to matka burmistrza. Czy ona PRZYPADKIEM nie była na tej liście w kolejce do pogrzebu? Z tego, co widzę, ma się całkiem nieźle i raczej nie wygląda, jakby się wybierała na tamten świat, ale raczej na wycieczkę Radia Maryja do TVN-u.

– Jasne, proszę, proszę – zaprosiłam ją do środka, chociaż miałam ochotę pokropić ją wodą święconą,

nakarmić czosnkiem i podsunąć srebrną łyżeczkę.

– Jest ojciec?

Ojciec... ojciec... A, ojciec. Mężczyzna, który jest wpisany w twoim akcie urodzenia w rubryce „ojciec”, często występujący pod pseudonimem NN. Ojciec jest u proboszcza. Proboszcz, jak znam życie, pokazuje mu właśnie figurki Matki Boskiej, co oznacza, że ojciec wyjdzie stamtąd mniej więcej w okolicach czwartego tysiąclecia. Podczas gdy inni zbierają znaczki, śmieci albo PUNKTY KARNE, proboszcz zbiera plastikowe Maryje z odkręcaną głową. Dwa razy do roku bierze udział w targach dewastonaliów, to znaczy dewocjonaliów, a raz do roku jedzie na zjazd miłośników plastikowych pojemników na wodę święconą w kształcie Matki Boskiej, który odbywa się na Jeleniej czy Jasnej Górze, chociaż najpewniej na bazarze w Licheniu, gdzie zbierają się na dorocznych zjazdach wielbiciele OSCYPKA, wyrobów galanterijnych i muzyki disco polo.

– Ojciec, gdzieś tu był... – tradycyjnie udałam, że wiem, o co chodzi. – Czy coś się stało?

– Nic się nie stało. Wszystko jest w porządku. Po prostu przechodziłam i postanowiłam wpaść zapytać, jak się sprawy mają – oświadczyła, jakby przyszła spisywać liczniki.

– Jakie sprawy? – upewniłam się.

– No z moim pogrzebem.

To ona JUŻ wie, że jest na liście ojca?

– W końcu zdecydowałam się uporządkować sprawy. Młodsza nie będę. Masz coś na zębach, kochanie – zasugerowała mi taktownie, jakbym miała tam tyle, że konieczne byłoby usuwanie tego widłami. Dyskretnie przesunęłam językiem po zębach.

– Nie da rady – stwierdziła z miną znawcy. – Musisz wyjąć i opukać. Ja tak zawsze robię.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo to moje zęby.

– Aha.

– No więc wracając...

Boże, gdzie jest Nina? Co ja mam teraz zrobić? Pół biedy rozmawiać z rodziną zmarłego o pogrzebie, ale rozmawiać z matką burmistrza o pogrzebie matki burmistrza to już zupełny dramat. Problem polega na tym, że – niestety – matka burmistrza należy do tych osób, w przypadku których NIEWSKAZANE byłoby darzenie ich sympatią, bo to oznaczałoby, że możesz się właściwie od razu spakować i zamieszkać w Toruniu. I w moherowym berecie. Matka burmistrza lubi skandale, głównie te ze swoim udziałem. Jakiś czas temu głośno było o portrecie pamięciowym ubranego w kominiarkę sprawcy napadu na kolekturę totolotka. Biedny mężczyzna chyba nie do końca wiedział, czym jest kolektura totolotka i że nie znajdzie tam głównej wygranej. Było i jest to mniej więcej tak samo pewne, jak to, że obudzisz się kiedyś w świecie bez podatków i Radia Maryja. Matka burmistrza, która akurat tamtędy przechodziła, zasłynęła podaniem PERFEKCYJNEGO portretu pamięciowego kominiarki. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że prędzej znajdą OWCE, z których zrobiona była ta kominiarka, niż sprawcę, ale matka burmistrza w osiedlowym klubie seniora zyskała pewną popularność. Co gorsza, na tyle jej się to spodobało, że jej nowym hobby – oprócz grania w brydża w klubie seniora i wyglądania w międzyczasie (czyli w czasie niespędzonym na brydżu) przez okno – stało się bycie świadkiem naocznym przestępstw. Matka burmistrza jednak niedowidzi, co – niestety – stanowi spory problem, bo trochę utrudnia pracę policji. Gdyby wierzyć podawanym przez nią portretom pamięciowym rzeczonych przestępców, policja musiałaby aresztować: proboszcza, burmistrza (!), toster i Pałac Kultury. Dobrze, że matka burmistrza nie jest japońską wycieczką, bo wtedy byłaby w stanie dostarczyć dwa miliony zdjęć zrobionych sprawcom przestępstw.

– Herbaty? – zapytałam, żeby zyskać na czasie.

– A, chętnie.

Wpadłam do kuchni, gdzie Nina najspokojniej w świecie oddawała się swojej ULUBIONEJ lekturze, czyli datom ważności na opakowaniach.

– Nina, biegnij po ojca! – ryknęłam.

– Po co? – burknęła, nie podnosząc nawet głowy.

– Przyszła matka burmistrza!

– To ją obsłuż – odpowiedziała, jakby zapomniała, że jeszcze nie tak dawno razem z ojcem modlili się zażarcie i żarliwie, żeby matka burmistrza powiększyła grono martwych pań wyglądających przez okno.

– ONA CHCE OJCA!!!

– Jezus, ojciec jest u proboszcza. To potrwa. Proboszcz ma nowe plastikowe Maryje.

– Nie wiem, o czym z nią gadać.

– Dobra, ja zostanę, ty idź po ojca – westchnęła.

– Ja??? Oszalałaś? Do proboszcza?

Do proboszcza??? Czy ona oszalała??? Proboszcz mnie nienawidzi, od kiedy jakieś piętnaście lat temu usiłowałam pocałować się z Edwardem w zakrystii. A potem było już tylko gorzej...

– Czy zakaz seksu przedmałżeńskiego dotyczy też tych, co nie zamierzają zawierać małżeństwa? – spytałam go kiedyś na religii.

– To może... zaśpiewajmy *Barkę* – szybko zagadnął proboszcz.

I tak przez jakieś osiem lat śpiewaliśmy co najmniej raz na czterdzieści pięć minut *Barkę*. WSZYSTKIE pięć zwrotek. Nina chyba też musiała to sobie przypomnieć, bo nagle wstała.

– Dobra, idę. A ty ją zagadaj.

Super, świetnie, zagadam ją. Tylko o czym mam gadać z osiemdziesięcioletnią kobietą? A, no tak, możemy porozmawiać o pogrzebie.

Nina

To, że proboszcz lubi mnie, a nie Marię, oznaczać może tylko to, że muszę należeć do tej części parafii, która zamiast się na niego skarżyć do kurii tudzież stroić z nim ołtarze na Boże Ciało i robić bramę na weselach, ma go po prostu w dupie, co on zapewne odczytuje po swojemu jako wyraz głębokiego szacunku. Proboszcz, który każe wszystkim wierzyć, że Jezus urodził się gdzieś pod Wałbrzychem i NA BANK nie miał długich włosów, bo długie włosy mają tylko sataniści, przychodził do swoich parafian raz w roku z nakazem kolędy, a co niedzielę wysyłał im e-mailem ogłoszenia parafialne, spis pieśni na daną mszę i numer konta bankowego, w razie gdyby WYPALENIE tego numeru zapalniczką na czole nie poskutkowało. I tak się właśnie zagrzewa do wiary. O ile nie interesowałaś się radiotechniką i nie żywiłaś głębokiego przekonania, że w piekle można spotkać Judasza i Harry'ego Pottera, a Ziemia nie kręci się wokół Słońca, bo Kopernik to Żyd, mason i kobieta, to mogłaś sobie darować znajomość z proboszczem. Niestety, ustawa póki co nie przewiduje, żeby chować parafian bez udziału proboszcza, więc ze względu na obowiązki służbowe, muszę (mówię za siebie, nie wiem, jak tam ojciec i jego zamiłowanie do nalewek z Tyńca...) pamiętać, żeby zachowywać się zgodnie z wymogami unijnymi. Nawet jeśli po raz kolejny musisz mu tłumaczyć, że NIE MASZ zeszytu od religii, bo szkołę skończyłaś sześć lat temu, i NIE BĘDZIESZ śpiewać w chórze parafialnym, bo musiałbyś najpierw zapuścić wąsy, zacząć wyrabiać twaróg i zmienić imię na Halina. A to co? Jezus, znowu jakieś ogłoszenia parafialne. No i co tym razem? „W każdy poniedziałek spotykają się młode mamy. Na panie, które pragną do nich

dołączyć, czekamy w zakrystii we wtorki wieczorem”. Brawo. A to? „A oto temat przyszłotygodniowego kazania: Wiesz, jak wygląda piekło?”. Wyjęłam długopis i szybko dopisałam „Jeśli nie, przyjdź posłuchać, jak śpiewa nasz organista”. Nie to, że nie lubię organisty, ale pewnych rzeczy naprawdę nie da się ukryć. Ognia, kaszlu i ŚPIEWU naszego organisty.

– ...a tę przywiozłem z Lichenia... – usłyszałam głos proboszcza.

Jak widzę, zabawa trwa w najlepsze...

– Pochwalony, ja do ojca – mruknęłam na widok proboszcza, który właśnie ustawiał na kominku (czyli tam, gdzie wszyscy normalni ludzie trzymają zdjęcia rodzinne, prochy wujka Johna z Chicago i flaszkę whisky) kolejną Matkę Boską z odkręcaną głową. Ojciec siedział rozparty w fotelu i pił herbatę z fajansu wrocławskiego.

– Chodź, chodź, pokażę ci moją najnowszą figurkę... – Proboszcz zachęcająco pomachał do mnie ręką, której nie chwyciłabym nawet wtedy, gdybym się topiła (i miała jeszcze do wyboru brzytwę i żyletkę). Nie, dziękuję, postoję.

– No tego... Widziałam właśnie, jak ktoś dopisywał coś na tablicy z ogłoszeniami parafialnymi – burknęłam, nie patrząc mu w oczy. I tak pomyśli, że to Pablo. Pablo zawsze dopisywał jakieś BREDNIE do ogłoszeń parafialnych. Na przykład, że chce sprzedać konsolę albo że ktoś zostawił u niego biustonosz rozmiar 80C i że zgubę może odebrać po mszy. Jak widać, Pablo mentalnie żył jeszcze w czasach, kiedy w kościele można było ustalić, który mamy rok, kto z kim sypia, a kto chce sprzedać cielaka.

– Tato! – syknęłam, kiedy proboszcz zniknął za drzwiami. – Matka burmistrza jest u nas.

– Chwalmy Pana! Nie żyje?

– Żyje, ale chce porozmawiać o swojej ostatniej woli. Z tobą. I tylko z tobą – podkreśliłam ostatnie słowo, jakby chodziło o ślub, a nie pogrzeb.

– No cóż. Nasz klient, nasz pan. – Ojciec podniósł się z fotela. – Obowiązki wzywają! – krzyknął do proboszcza. – Do karawanu! – wrzasnął do mnie.

Proboszcz powinien zrozumieć. W końcu mają tego samego szefa.

Edward

– No i co teraz? – spytałem, bo właśnie skończyła się butelka.

– W jakim sensie?

– Jaki jest status waszego związku?

– Jakiego związku?

– No waszego. Najłatwiej to ustalić przez stopień zazdrości. Oddałbyś ją innemu facetowi? Byłoby ci żal?

Jakub

Pomyślmy. Czy oddałbym Ninę, która jest niemiła jak zapach kawy w kawie po irlandzku i woli ibuprom ode mnie? Czy byłoby mi żal?

– Ale w sensie tego faceta?

Mój Boże, oczywiście, że nikomu bym jej nie oddał. Musiałbym potem od razu zrobić temu komuś obdukcję, a może nawet wypisać akt zgonu. I po co?

Nina

– Gdzie ona jest? – ryknął ojciec, kiedy wpadliśmy do domu. To znaczy do zakładu.

– Tam. – Maria wykonała jakiś nieokreślony ruch ręką, co mogło oznaczać salon, ale równie dobrze Nowy Sącz.

– Dlaczego ona leży? – spytał ojciec na widok matki burmistrza leżącej na naszym ŚWIEŻO wypranym dywanie. Wiem, co pomyślał: buty by chociaż zdjęła. – No nie przesadzaj, nie jechaliśmy znowu tak długo, żeby zasnęła.

– Problem w tym, że ona nie śpi. – Maria głośno przełknęła ślinę.

– To co robi? – ryknął ojciec.

– Nie żyje.

– Jezus, Maria, miałaś ją zagadać, a nie zanudzić na śmierć – westchnęłam. Boże, zostaw Marię sam na sam z kimkolwiek. O, może ją zostawię kiedyś z proboszczem. Ojciec tymczasem podszedł do matki burmistrza, oszacował straty wynikające z tego, że kobieta nie zdjęła butów przed wejściem na dywan, po czym fachowo zmierzył jej puls.

– Nie żyje – oświadczył.

No to pięknie.

– Jak to się stało? – Ojciec rzucił piorunujące spojrzenie Marii, która zmieniała kolor twarzy co dziesięć sekund.

– Nie mam pojęcia – zabrzmiała tak szczerze, że prawie jej uwierzyłam.

– Co robiłyście? – Po oględzinach ojciec przystąpił do śledztwa.

– Rozmawiałyśmy, ona mi pokazywała zdjęcia wnuków, potem poczęstowałam ją herbatą i miętową czekoladką.

– Czym??? – ryknęłam.

– Miętową czekoladką z pudełka – powtórzyła Maria.

– Z jakiego pudełka?

– Z tego na kominku.

– Ono leży tam od 1989 – zauważyłam.

– Naprawdę?

– Otrułaś ją.

Otruła ją. Bez dwóch zdań. Ta czekoladka powaliłaby KONIA.

– To był wypadek. – Maria była prawie granatowa na twarzy.

– Jesteś pewna, że to był wypadek? – indagował ojciec.

– Może to coś innego? – zasugerowałam życzliwie.

– Herbata? – pisnęła Maria.

– Zawał, idiotko – syknęłam.

– Tak czy siak, spadła nam z nieba – orzekł ojciec. – Potrzebujemy lekarza.

– Lekarz tu chyba już nie pomoże – stwierdziła Maria, która się prawie upozowała do reanimacji.

– Ktoś musi stwierdzić zgon, kretynko – warknęłam.

– Przygotuję miejsce na dole – zatarł ręce ojciec.

Brawo. Tego jeszcze w tym zakładzie nie było, żeby ludzie sami zupełnie przypadkiem przychodzili i schodzili. No ale przynajmniej znów wracamy do gry. To znaczy do wyrabiania NORMY.

Maria

– Mam zwłoki na dole – oświadczył ojciec po powrocie.

Ma zwłoki na dole. Przypominam, że ojciec nadal jest przedsiębiorcą pogrzebowym. Nic się od wczoraj nie zmieniło.

– Masz zwłoki na dole, tak? – upewniłam się.

– Tak.

– Może dlatego masz zwłoki na dole, bo jesteś PRZEDSIĘBIORCĄ POGRZEBOWYM, więc MUSISZ mieć zwłoki na dole!!!

Ojcu przydałby się urlop. Najlepiej WIECZNY.

– To nie są moje zwłoki – powiedział. I było to tak oczywiste jak fakt, że w windzie nadal nie ma klamki. Ojciec jest zdecydowanie przemęczony. Spojrzałam na Ninę, żeby udzieliła mi wsparcia, ale ona akurat wyglądała na zainteresowaną.

Nina

– Masz na dole nie swoje zwłoki – upewniłam się. – Zajumałeś je Albertowi?

– Ukradłeś zwłoki? – ryknęła Maria.

– Tam zaraz ukradłeś... – zaczął krygować się ojciec, jakby nagle wyszło na jaw, że jest twórcą podatku VAT.

– Pożyczyłeś??? – kontynuowała Maria mniej więcej w tej samej irytująco wysokiej tonacji. – No chyba nie chcesz mi powiedzieć, że same do ciebie przyszły.

– No tak jakby...

Nie ma rady. Trzeba zejść na dół. Zwłoki same do ciebie nie przyjdą, wbrew temu, co nastąpiło właśnie przed chwilą.

– Kto to? – spytałam na widok kobiety leżącej na podłodze w takiej pozycji, jakby tylko czekała, żeby policja odrysowała kredą kontury jej ciała.

– Nie mam pojęcia. Już mówiłem – powtórzył ojciec. Nie wiem, czy nie trzeba będzie mu podać tlenu, a za chwilę i plasterka cytryny, żeby przestał się uśmiechać.

– Musi chyba mieć jakieś dokumenty – próbowałam zachować chociaż minimum rozsądku.

– Jest stara, po co jej dokumenty. Jej PESEL to 0001 – mruknęła Maria, podczas gdy ojciec przeszukiwał torebkę denatki.

– Pastyłki miętowe na zgagę, wełna, szydełko, chusteczki, kot, a nie... to znów wełna. A to co? Karta członkowska klubu seniora. – Wyjął i pokazał zgromadzonym.

– O Jezu... – zaczęłam.

– Co, źle wyszła na zdjęciu? – zerknęła mi przez ramię Maria, zapominając, że ŻADNA kobieta mająca około stu lat nie da swojego zdjęcia do żadnego dokumentu. Nawet fotografie nagrobne pochodzą zwykle z czasów komunijnych. Dlatego karty seniora, przynajmniej te dla kobiet, nie mają zdjęć.

– To jest matka Tłustego Alberta – powiedziałam, sama nie wierząc we własne słowa.

– O Jezu, pokaż! – Maria wyrwała mi legitymację z ręki.

– Co ona tutaj robi? – ryknął ojciec, jakbyśmy z Marią to wiedziały, tylko nie chciały mu powiedzieć.

– Nie wiem, leży – mruknęłam.

– Wpadła na chwilę i umarła? – wrzasnęła Maria, której twarz zaczynała wreszcie nabierać normalnych kolorów.

– Wszystko na to wskazuje – pokiwałam głową, nie mając pojęcia, co ona tutaj robi i co robi z nami Tłusty Albert, kiedy się dowie, że ona tu leży zwarta (a właściwie już po stężeniu pośmiertnym) i gotowa

do pochówku w konkurencyjnym zakładzie pogrzebowym.

– I co teraz? – jęknęła Maria.

– Mamy dwa trupy. Od przybytku głowa nie boli – próbowałam ustalić fakty, chociaż trudno było o bardziej oczywisty materiał dowodowy.

– Ale co ona tutaj robiła? – wrzasnęła Maria. Nie wiem, czy chodzi jej o to, że to matka Alberta, czy właśnie zrozumiała, że KAŻDA z nas będzie kiedyś upinała włosy w kok i nosiła torebkę foliową na zęby.

– Może przechodziła...

– Myślicie, że Albert ją przysłał? – Maria była bliska spazmów.

Boże, ciekawe po co? No ale to Albert, z nim nigdy nic nie wiadomo. Być może matkę po mieście wozi, staruszkę, żeby nas tylko wrobić.

– Potrzebny nam lekarz, żeby stwierdził zgon – powiedział ojciec, który zachował jak zwykle zimną krew, bo tym interesie trzeba przez cały czas utrzymywać stałą (czyli ściętą w żyłach) temperaturę krwi.

– Dwa zgony – uściśliłam. – I raczej potwierdził, bo one prawie na pewno nie są pod wpływem Kaszpirowskiego.

– Musimy ją oddać – zawyrokowała Maria.

– Oszalałaś? – ryknął ojciec.

No tak. Prędzej odda krew niż zwłoki.

– To ty oszalałaś! Nie możemy tu trzymać matki Alberta. Jeszcze pomyśli, że ją zamordowaliśmy. – Maria z nerwów zaczęła gryźć paznokcie. – Trzeba ją podrzucić.

– Lekarza! – wrzasnął ojciec.

– Słabo ci? – spytałam na wszelki wypadek.

– Nie. Musi stwierdzić zgon.

A ten znowu swoje.

– Zadzwoń do tego, co zawsze – poradziłam, chociaż nie wiem, czy to akurat był dobry pomysł, bo ten lekarz wydawał się dosyć nerwowy i zawsze, kiedy słyszał: „Lekarza!”, zdejmował kitel, robił z niego flagę i krzychał: „Jestem niewinny!”. Poza tym był całkiem w porządku, zwłaszcza że zajmował się głównie świadczeniem ostatniej posługi, to znaczy usługi, kiedy to zaraz po stwierdzeniu zgonu wykręcał numer do ojca.

– To musi być ktoś, kto nie wyklepie – zasępił się ojciec.

– Nina tak zupełnie przypadkiem zna lekarza – mruknęła Maria.

– I co z tego? O tej porze raczej nie przyjmuje – uświadomiłam ją. W sobotę wieczorem to już pewnie zajmuje się nim (jak wszystkimi) inny lekarz. Patolog.

– Trzeba wynieść zwłoki – zarządziła Maria.

– Które? – spytałam dla ścisłości.

– Jedne na dół, drugie do Alberta – wyjaśniła krótko.

Jezu, że też one nie mogły się zamienić...

– Dobra, to bierzemy! – ryknęłam.

– Nie dacie rady we dwie – pokręcił głową ojciec.

– Jest nas trójka. – Maria spojrzała na niego podejrzliwie.

– Ktoś musi chyba zostać z matką burmistrza – oświadczył ojciec.

– To kto nam pomoże? – załamała się Maria.

No cóż... Wiem, kto nam NA PEWNO nie pomoże. Nasz praktykant. To znaczy nasz BYŁY praktykant. Chyba nie muszę dodawać, że po tym, co zaszło, raczej do nas nie wróci. Nie, nie, ojciec go nie zamordował, tak jak sobie tego życzyła Maria. Ojciec go pouczył. Boleśnie. Na szczęście to ksiądz, więc

i tak nie zamierzał się rozmnażać.

– Może Pablo? – zaryzykowała Maria. – Gdzie on jest?

– Na próbie chóru – odpowiedziałam.

– Na próbie czego???

Pablo nie był muzykalny, ale NIKOGO to nie obchodziło. Ani jego ojca (ktoś przecież musiał odziedziczyć w spadku organy), ani proboszcza (który najwyraźniej też nie miał słuchu), a już na pewno nie obchodziło to tych wszystkich pobożnych niewiast, które przychodziły do kościoła specjalnie po to, żeby nagrzeszyć myślą (o tyłku Pabla), mową (do koleżanki obok), czynkiem (wciśnięciem mu w tylną kieszeń dzinsów kartki z numerem telefonu) i zaniedbaniem (pluciem sobie w brodę, że nie zdążyły go poderwać).

– To może kościelny? – próbowała dalej Maria.

– Kościelny robi dziecko świętej Annie. W kościele – dodałam dla jasności.

– Organista?

Jeśli pił dzisiaj z ojcem (choć dziś sobota), to zapewne jest w stanie śmierci klinicznej.

– Trudno, dzwoni do Edwarda. – Nie wierzyłam, że to mówię, ale feminizm kończy się w momencie, kiedy trzeba wynieść zwłoki.

– Nie odbiera – wrzasnęła, jeszcze zanim zdążyła wybrać numer.

– Trudno, weź karawan. Jedziemy po niego! – Rzuciłam jej kluczyki.

Nie było czasu na ustalanie, czy telefon Edwarda jest na parę wodną i że sam zainteresowany musi najpierw włączyć żelazko i wyprasować mundury całej chińskiej armii, żeby telefon zaczął działać, czy po prostu Edward nie umie go obsługiwać.

– Boże! Dlaczego nie odbiera? – gorączkowała się dalej Maria, jakby Edward był właśnie na biegunie i groziło mu nagłe roztopienie. Biegunowi, nie Edwardowi.

– Może śpi – podsunęłam jej, żeby się wreszcie zamknęła.

– Jasne, o siódmej wieczorem?

– Boże, nie wiem, to może wyszedł.

– Edward?

OK. To rzeczywiście było nie na miejscu. Edward nie wychodzi przecież z domu. A przynajmniej robi to WYJĄTKOWO niechętnie. Albo mniej więcej z taką samą chęcią, z jaką człowiek płaci podatki. Nie wydaje mi się jednak, aby niechęć Edwarda do wychodzenia na zewnątrz miała coś wspólnego z podatkami. Na pewno jednak ma coś wspólnego z jego głową. Jak widać, samo posiadanie głowy NIE GWARANTUJE posiadania rozumu. No trudno. Pojedziemy po niego. Jak znam życie, siedzi teraz zabarykadowany w mieszkaniu w namiocie z koca rozbitym na środku pokoju i świeci sobie latarką po oczach. Chyba przyznam rację ojcu. Że też ona nie mogła wyjść za syna organisty! Albo za samego organistę. No albo ewentualnie za Brada Pitta.

Maria

– Edward?! Otwórz te cholerne drzwi!!!

Jeśli twój mąż nie odbiera telefonu i nie otwiera drzwi, istnieją tylko dwie opcje. UMARŁ. Albo cię zdradza. A jeśli Edward mnie zdradza, to JUŻ nie żyje, więc nagle z dwóch opcji zostaje tylko jedna. A jeśli on mnie naprawdę zdradza???

Z młodszą? Albo co gorsza – w moim wieku???

No w końcu, otworzył. Teraz już wszystko jasne. Zdradza mnie z mężczyzną. Jak wujek Hubert, który nie czekał na ołtarz, sypanie ryżem i takie tam, tylko zaraz po wieczorze kawalerskim uciekł ze swoim najlepszym

przyjacielem do Holandii.

- Edward???
 - Maria???
 - Kto to jest???
 - To jest...
 - No?!
 - Eeee.... Eeee...
 - Kłam szybciej! – zniecierpliwiłam się.
- Boże, chyba szybciej sama to ustalę, niż on.

Nina

- Jakub???

Jakub

- Nina???

Maria

- To mój lekarz – powiedziała Nina. I to takim tonem, jakby właśnie informowała nas o swojej chorobie wenerycznej.
- Twój... lekarz???
- Brawo. Zdradza mnie z jej lekarzem. Jezu, niezły ten lekarz. Co on widzi w Edwardzie???
- To ta pacjentka, z którą chcesz się przespać? – ryknął Edward.
- To twoja żona, z którą nie chcesz się przespać? – zdziwił się lekarz.
- Co???
- wrzasnęłam.
- Co???
- ryknęła Nina.
- Dostyc! – walnęłam ręką w stół. – Mamy dwa trupy.
- No co ty, Maria, przecież nic się nie stało... – zaczął Edward.
- Zamknij się! Mamy dwa trupy w zakładzie – obwieściłam.
- Maria, twój ojciec pracuje w zakładzie pogrzebowym... – zauważył nieśmiało Edward.
- To nie jego. To znaczy... to nie jego zwłoki – poprawiłam się.
- Tak, to rzeczywiście zmienia postać rzeczy – wymamrotał.
- No co się tak gapisz? Bierz dupę w troki i się zbieraj! Chyba nie myślisz, że będę sama dźwigała trupa. Ty – pokazałam na lekarza. – Pojedziesz z nami. Ktoś musi stwierdzić zgon.
- Nie pytaj, po prostu chodź – mruknęła do niego Nina, która stała obok z bardzo niewyraźną miną.
- Zaraz. – Podeszłam do Edwarda, bo COŚ mi się zaczęło nie zgadzać w jego wizerunku. I nie mam tu na myśli koszulki włożonej na lewą stronę. – Pięś?
- Maria, błagam cię... – westchnęła Nina. – Jedźmy już! Potem możesz z nim zrobić, co zechcesz...
- Oczywiście, że zrobię! Tylko że wtedy będzie musiał sobie wyrobić nowy dowód ze względu na ZMIANY w rubryce „płeć”.
- To moja wina... – zaczął lekarz.

– Zamknij się! Bo zaraz stwierdzisz jego zgon. A potem swój. Jedziemy!

– Poczekaj, tylko się czegoś napiję – wymamrotał Edward i jak gdyby nigdy nic potruchtał do lodówki.

Rozumiem, kac nastąpił WCZEŚNIEJ, niż się tego spodziewaliśmy.

– Gdzie jest woda mineralna? – wrzasnęłam na widok lodówki pełnej wina.

– Najwyraźniej Jezus tu był – mruknęła Nina.

Boże, to się skończy tragicznie i ojciec będzie miał sześć trupów zamiast dwóch.

Edward

Boże, zapomniałem relanium! Powiedzieć Marii, żeby zawróciła? Eeee... Może jednak zaczekam, aż jej przejdzie... Chyba sam nie wierzę w to, co mówię. To oznacza, że już nigdy nie zobaczę relanium. Relanium to jeszcze nic. Mogę już nigdy nie zobaczyć siebie w aktualnej wersji.

Jakub

To jakieś wariactwo. Idziesz napić się z kumplem, a chwilę później już jedziesz karawanem z nim, jego żoną (o której myślałem, że jest brzydka i dlatego on nie może z nią uprawiać seksu. A ona po prostu okazuje się tak atrakcyjna, że każdy mężczyzna na wszelki wypadek woli się z nią nie kochać, bo ze stresu i presji przyciąganie ziemskie okazałoby się silniejsze od międzyludzkiego) i wreszcie z dziewczyną, która musiałaby wziąć milion tabletek, żebym mógł ją zaciągnąć do łóżka. Nasennych, oczywiście. Jezu, jest SUPER!!!

Nina

Boże, co on robił u Edwarda? Chyba od mojej ostatniej wizyty nie zmienił orientacji? No chyba że po tym, jak go pocałowałam, postanowił zostać gejem i zamieszkać z moim szwagrem. Jezu, czy to możliwe, żeby miał tak fatalny gust?

Maria

Wiedziałam, że ten fryzjer jest do dupy. Zostawił mi dwa siwe włosy z prawej strony. Chyba że... to są dwa nowe!!!

Nina

– No nie żyje – stwierdził krótko Jakub, kiedy dotarliśmy na miejsce i pochylił się (który to już raz?) na zwłokami matki burmistrza.

– Tyle to i my jesteśmy w stanie stwierdzić bez studiów medycznych – mruknął ojciec. – Ale dlaczego nie żyje?

– Gdzie są jej zęby? – spytał ni z tego, ni z owego Jakub.

Zęby? Boże, czy to naprawdę jest teraz najważniejsze?

– Może wyjęła – mruknęła Maria.

– Raczej połknęła – mruknął Jakub.

Dobrze, że własne, a nie cudze. Słyszałam o takich przypadkach. Czytałam kiedyś o kobiecie, która tak namiętnie pocałowała swojego partnera, że jego zęby zostały w jej ustach. Chyba nie muszę wam mówić, że raczej nie żyli potem długo i szczęśliwie. Na nowe zęby trzeba trochę poczekać.

– Połknęła czekoladkę – przypomniała wszystkim obecny Maria.

– Razem z zębami – dopowiedziałam.

– Nastąpiło więc samoistne zakrztuszenie, podczas którego został odcięty dopływ powietrza, a zwieracz krtani... a potem...

Jezu, ależ on jest seksowny, kiedy operuje tymi wszystkimi medycznymi terminami... Chociaż teraz wolałabym, żeby się zamknął. A właściwie SAMA chciałabym mu zamknąć usta.

– Co z tą drugą? – spytał rzeczowo ojciec.

– Oprócz tego, że nie żyje? – Jakub zadał pytanie retoryczne. – Trudno powiedzieć. Jak na moje oko zawał, ale potrzebna jest sekcja.

– Nie mamy tyle czasu – orzekł ojciec, jakby Jakub proponował, że zrobi sekcję, jak tylko wytrze sobie ręce w spodnie.

– Chyba nie powinienes się do niej tak przywiązywać, tato – zauważyła ostrożnie Maria. – Trzeba oddać matkę Albertowi.

– W takim razie trzeba ją tam zawieźć – stwierdziłam.

– A co z matką burmistrza? – spytała Maria.

– O Boże, nic. Powiemy, że to był wypadek i pochowamy za pół ceny. Zresztą, burmistrz od dawna ostrzył sobie zęby na jej mieszkanie, więc... – Ojciec, jak widać, był gotów balsamować ją od razu. Jezu, że też zawsze musi chodzić o mieszkanie. Co za czasy, żeby nawet burmistrz musiał czekać na śmierć matki, aby zamieszkać w większym mieszkaniu. Albo po prostu już we WŁASNYM.

– Dobra, wypisz mi tu, kochaniutki, kartę informacyjną, że pani uprzejma była połknąć własne zęby i możecie sobie iść – zaświergotał ojciec.

– Nie możemy sobie iść, bo musimy wynieść zwłoki i podrzucić je Albertowi – zauważyłam oschle.

– Przywieziecie kogoś w zamian? – spytał, jak zawsze konkretnie, ojciec.

Boże, mało mu???

– To jedziemy! – ryknęła Maria.

– Karawanem? – spytał Edward, kiedy matka Alberta znalazła się już w worku na progu naszego zakładu.

– A czym? – mruknęła Maria. – Zwłoki przewozi się karawanem.

– Ale nie chcesz chyba karawanem ojca zawieźć martwej matki Alberta pod jego dom? – Tym razem musiałam, niestety, zgodzić się z Edwardem. Nawet tak głupi Edward wie, że nie będzie tam jak zaparkować. – Dobra, pojedziemy samochodem organisty – powiedziałam w końcu.

– Organista... – zaczęła Maria. Tak, wiem, pewnie pije już ze świętym Piotrem czy Burgundem, czy kto tam jest patronem pijaków.

– Wiem, gdzie trzyma kluczyki do samochodu. No co? – Wzruszyłam ramionami. – Pablo mi powiedział.

Zaraz po tym, jak ja mu powiedziałam, gdzie trzymamy kluczyki do karawanu. Ale tego Maria NIE MUSI wiedzieć.

– Ale to niezgodnie z przepisami – wtrącił się Edward.

– Oczywiście, że nie, w końcu podrzucamy zwłoki – rzuciłam. Boże, może zostawimy Edwarda razem z matką Alberta? Albo jeszcze lepiej: zostawimy Edwarda, a matkę Alberta zatrzymamy sobie.

– Gotowi? – spytała Maria, kiedy znaleźliśmy się w samochodzie. Zabrzmiało to tak, jakby chciała nam

powiedzieć, że miło było nas poznać. No to jedziemy. Kradzionym samochodem organisty, z ciałem matki Alberta w bagażniku, z dwoma wstawionymi kolesiami na tylnym siedzeniu. Byłe tylko nie trzymali się za ręce.

– Ładnie wyglądasz – mruknął ni z tego, ni z owego Jakub, kiedy przypinałam go pasem. Edwarda nie dotknę. To PONIŻEJ moich możliwości.

– To pewnie przez owulację – wyjaśniłam.

– Nie... To nie to...

– To może przez... – powąchałam go. – ... Martini.

Boże, poczekam, aż wytrzeźwieje. Komplement na trzeźwo liczy się podwójnie. Po alkoholu WSZYSCY wydają się ładni, rozszerzają ci się naczynia krwionośne i grono znajomych. Sama nie wiem, dlaczego zabrania się tego nastolatkom? Aaaa, zapomniałam, czasy są takie, że seks możesz oglądać po skończonym osiemnastym roku życia, a uprawiać, jak skończysz piętnaście. Dlatego małolaty nie uprawiają seksu w lodówce. Tam nie można zgasić światła. A to co...

Maria

– ...do jasnej cholery?! Bo przecież chyba nie policja??? – syknęła Nina. Moja siostra najwyraźniej była wierna przekonaniu, że nie można wierzyć temu, co jest napisane, i że napis POLICJA na rozklekotanym samochodzie w kolorze twarzy twojego faceta przyłapanego z kimś, kto nie jest tobą, wzbudził w niej poważną wątpliwość. Boże, jeszcze tego brakowało! Przecież nie wiemy, czy w samochodzie organisty nie znajdują się (oprócz standardowego wyposażenia samochodu, czyli puszek po piwie, papierków po snickersach i gaśnicy wyprodukowanej jeszcze w ZSRR) jakieś używki, świerszczyki albo INNE zwłoki.

– I co teraz? Co im powiemy, jak pytają, co mamy w bagażniku? – wrzasnęła Nina.

Boże, nic. Po prostu poproszę ją, żeby była MIŁA. Nie, to nie jest dobry pomysł. Chociaż z drugiej strony... Skutek tego, że Nina stanie się miłą, może przejść nasze najśmielsze oczekiwania.

– A dlaczego mieliby nas pytać, co mamy w bagażniku, hm? – zdziwiłam się.

– To nie jest zabronione, prawda? – wtrącił Edward, który niestety nie był zbyt ciasno zapięty pasem, więc mógł oddychać i co za tym idzie, mówić.

– Co? Wożenie zwłok? Czy może wożenie zwłok matki Alberta? – zapytałam uprzejmie.

Czy oni każą nam się zatrzymać? Nie, to jest chyba jakiś żart. Jedziemy przepisowo, nie mamy przy sobie broni ani pięciu kilogramów kokainy. Mamy TYLKO zwłoki.

– Jezu, to już koniec... – pisnął Edward.

– Co robimy? – szepnęła Nina.

– Nic nie robimy. Zachowujemy się normalnie – odpowiedziałam.

Aha. Tylko jak się zachowuje normalny obywatel tego kraju, który przewozi zwłoki w bagażniku?

– Dobry wieczór! Kontrola drogowa. Prawo jazdy i dowód rejestracyjny pojazdu poproszę! – nadęła się policjantka. No proszę, nie wiedziałam, że równouprawnienie dotarło już do policji. Aaaa, zapomniałam: głupota i biurokracja nie posiadają płci.

Boże, Boże, tylko niech nie zagląda do bagażnika! Żeby to chociaż był facet. Z facetem wiadomo, jak rozmawiać. Jak z idiotą. Ale z kobietą?

– A ilu pasażerów tu mamy? – zerknęła szybko do tyłu. Uff, na szczęście przypięliśmy ich pasami. Jezu, dlaczego ona się tam tak długo gapi? Że co? Że w fotelikach powinni siedzieć?

– To pan!

O Boże! O nie! Kolejna napalona wielbicielka PSZENNO-BURACZANEJ twórczości Edwarda. Dziwne, nie wyglądała na 50+, ale kto wie?, może sobie po prostu przestawiła „plus”.

– To pan zdiagnozował u mnie zapalenie wyrostka!

Co??? Co on jej niby zdiagnozował???

– Cała przyjemność po mojej stronie – usłyszałam nagle głos lekarza Niny.

Uff. Chociaż już sama nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Zaraz się okaże, że wcale nie miała zapalenia wyrostka i skończymy na posterunku, a może nawet przed trybunałem w Hadze.

– A dokąd się wybieramy o tej porze? – zaczęła policjantka.

Czyli jednak diagnoza była słuszna. Gdzie on się uchował? Nie powinien być teraz w Anglii, żeby ratować życie tych Polaków, którzy utrzymują Zjednoczone Królestwo, a do kraju wracają tylko RAZ: po żonę i psa?

– No wie pani... – zaczął lekarz, obniżając głos, jakby miał przystąpić do badania ginekologicznego.

– A rozumiem, rozumiem, podwójna randka, tak? – zabuczała policjantka tak seksownie, jak seksowna może być skarpetka w sandale. – A w bagażniku pewnie...

– To, co zwykle – powiedział z rozbijającą szczerością lekarz. – Dwa koce i apteczka.

Czyli zestaw obowiązkowy podwójnych randek. Uff. Dzięki ci, Boże, za wyrostek robaczkowy! Tak, tylko Bóg mógł wymyślić wyrostek robaczkowy. I faceta. W zasadzie na jedno wychodzi. Masz go, ale tak jakbyś go nie miała, a kiedy znika z twojego życia, okazuje się, że wcale nie był potrzebny.

Nina

– Dobra, to wy go zagadajcie, a my ją podrzucimy do środka – wyjaśniłam chłopakom, co i jak, kiedy dotarliśmy w końcu do zakładu pogrzebowego Alberta. Zakład ten, o DZIWO, nie przypominał chatki na kurzej łapce, a w pobliżu nie kręcili się Jaś i Małgosia.

– Nie możemy jej zostawić przed domem? – zapytał, jak zwykle bez sensu, Edward.

– Oszalałeś? To ma wyglądać na naturalną śmierć – spróbowałam przemówić do niego wolniej i głośniejszym głosem, czyli tak, jak rozmawiasz z obcokrajowcem w swoim języku, który jest (według ciebie) jedynym obowiązującym, dlatego zupełnie nie wiesz, dlaczego oczy twojego rozmówcy robią się coraz większe w miarę twojego wywodu.

– Przed domem nie będzie naturalnie? – spytał Edward, który NAJWYRAŹNIEJ postanowił pielęgnować swój długo wypracowywany wizerunek idioty.

– Nie.

– Dlaczego?

– Jezu, bo to matka Alberta. Na pewno miała wielu wrogów. Każdy mógł ją zamordować i zostawić na progu – westchnęłam. – Poza tym, jak ty to sobie wyobrażasz? Zostawimy ją na progu i nikt się nie dowie. Albert będzie wniebowzięty, że zwłoki same do niego przyszły. Przypomni sobie o tym, że ma matkę, dopiero wtedy, kiedy skończą mu się czyste skarpetki.

Jezu, jestem pewna, że jeśli chodzi o czyste skarpetki, to każdy facet od razu wysłałby wszystkich znanych mu świadków Jehowy na poszukiwania matki, żeby mieć pewność, że zapukają do KAŻDYCH drzwi.

– Ale dlaczego MY mamy go zagadać? – zaczął znów Edward.

Wiedziałałam, po prostu wiedziałałam. To, że on nie ma mózgu, to naprawdę szczegół; on po prostu NIE MA jaj.

– Jak ci się wydaje? Co pomyśli sobie Albert, kiedy zapukają do niego w sobotę wieczorem córki

faceta z konkurencyjnego zakładu pogrzebowego? – spytałam, starając się brzmieć spokojnie, chociaż najchętniej bym go bardzo humanitarnie wysterylizowała. Humanitarnie to znaczy NATYCHMIAST.

– Że umarł? I jest w niebie?

– Nie ciebie pytam! – syknęłam do Jakuba.

– Ale co mamy mówić? – spytał Edward, jakby dopiero co dołączył do świadków Jehowy.

– Nie wiem... że przyszlście wybrać trumnę czy coś w tym stylu – poinstruowałam go szybko. – Boże, Edward, nie byłeś nigdy w zakładzie pogrzebowym? Przypominam ci, że twój teść pracuje w zakładzie pogrzebowym. I cię NIE LUBI – dodałam.

Czy to zabrzmiało jak groźba? No i dobrze. Miało tak zabrzmieć.

– W porządku, ja będę mówił – powiedział w końcu Jakub.

Uff. Czyli jest nadzieja, że nie zostaną odwiezieni w kaftanie do najbliższego szpitala psychiatrycznego, zanim Albert otworzy im drzwi.

– No to życzie nam szczęścia – rzucił, puszczając do mnie oko.

Dlaczego on mi się tak przygląda? Boże, niech nie przesadza, nie jedzie przecież na wojnę. Fakt, z zakładu Alberta też może NIGDY nie wrócić. I co ja mam teraz niby zrobić? Skąd mam wiedzieć, co się robi „na szczęście”. Mam mu uścisnąć dłoń? Powiedzieć: „Zadzwonimy”? Albo: „Skontaktujemy się drogą mailową.”? A może mam go pocałować? Pójść z nim do łóżka? No bez przesady! Skąd mu łóżko o tej porze wezmę?

Jakub

– Przepraszam, że tak późno, ale rozumie pan, śmierć nie wybiera... – To chyba nie zabrzmiało zbyt przekonująco. Jeszcze nas weźmie za chłopaków z Wołomina. Ostatecznie za świadków Jehowy. Drzwi otworzył zwalisty facet w garniturze i z przedziałkiem. Wyglądał jak mój wujek Zdzisław, a właściwie jak ciocia Maryla.

– Proszę, proszę – ożywił się. No tak. Aż chce się umierać, jak go widzisz.

– A więc... – splótł ręce.

Siedzieliśmy z Edwardem w salonie pogrzebowym, gdzie nad kominkiem z jednej strony wisiał portret papieża, z drugiej – głowa dzika. Czyli wystrój jak w KAŻDYM normalnym polskim mieszkaniu. Naprawdę nie wiem, czego się spodziewałem. Wszystko było jak należy: linoleum, kredens, meblościanka, dużo kryształu i fajansu, a na zasmażkę fototapeta z palmą i kolekcja płyt Krzysztofa Krawczyka. A, i jeszcze, oczywiście, radyjko. Nastawione na JEDYNĄ słuszną stację, która odbiera nawet wtedy, kiedy nie masz radia. No dobra. Teraz zacząłem się trochę bać. Ostatni raz tak się bałem, kiedy szedłem w nocy do łazienki.

– Kto odszedł? – spytał z grobową, to znaczy w pełni profesjonalną miną.

– Mój... dziadek – westchnąłem i pokiwałem głową, kiedy Edward w tym samym momencie mówił „wujek”. – Mój dziadek był jego wujem. To skomplikowane – pospieszyłem z wyjaśnieniem, zanim Facet z Przedziałkiem wyciągnie brystol i ołówek i każe mi narysować drzewo genealogiczne, dzięki czemu okaże się, że OBAJ pochodzimy od małpy. Jezu, czy on już nas zdemaskował, czy chodzi TYLKO o nasze fryzury? Facet z Przedziałkiem zaczął nam się uważnie przyglądać, zupełnie jakbyśmy byli winni tego, że panie w okienku na poczcie mają ośmiogodzinną przerwę na kawę.

– Przepraszam, panowie razem?

Edward

A więc czas zmienić status związku na Facebooku...

– W jakim sensie? – spytałem na wszelki wypadek.

– W sensie razem ten pogrzeb chcecie zorganizować? – upewnił się Facet z Przedziałkiem.

Aaaa...

– Tak, tak, wszystkim chcemy się zająć sami. Wujek, to znaczy dziadek, nie miał nikogo oprócz nas... –

Pokiwałem głową, gapiąc się usilnie w linoleum. Czy to wystarczy, czy może powinienem teraz rzucić się na ziemię, gryźć futrynę i skrobać drzwi paznokciami. Nigdy nie byłem w tym dobry. Może dlatego drzwi dziekanatu NIGDY się przede mną nie otwierały...

– To co z tą trumną? – Na szczęście Jakub był bardziej przytomny niż ja. W końcu jest lekarzem, więc pewnie śmierć ma we krwi.

– Przyniosę katalog – poderwał się Facet z Przedziałkiem.

Spojrzelismy na siebie z Jakubem. Jeśli dziewczyny nie zdążą, to w zasadzie możemy już wybierać trumnę dla siebie.

Nina

– Myślisz, że teraz możemy? – Trąciłam Marię łokciem, kiedy stałyśmy już dobre pół godziny (a może tylko dziesięć minut) we trzy w żywopłocie (a może w drucie kolczastym, trudno orzec po ciemku) za domem Tłustego Alberta. To znaczy stałyśmy TYLKO ja i Maria. Matka Alberta wciąż leżała. Maria nerwowo paliła papierosa, a w przerwach między jednym buchem a drugim rzucała mięsem. Dziwne, myślałam, że jest WEGETARIANKĄ.

– Myślałam, że palenie sprzyja starzeniu – mruknęłam, chociaż faktycznie był to teraz kiepski moment na przyspieszoną katechezę odnośnie do rzeczy ostatecznych, z których jedną jest na pewno bycie panią Krystyną z dziekanatu, Jadwigą z poczty, ewentualnie Basią z *M jak miłość*.

– „Palenie może uszkodzić nasienie i zmniejszyć płodność” – przeczytała na głos. – Eeee tam. Nic mi nie grozi.

Boże, na co nam to przyszło? I to jeszcze w sobotni wieczór, kiedy KAŻDY statystyczny obywatel tego kraju spędza czas w teatrze, operze, filharmonii czy innym miejscu rozrywki, jak chociażby w autobusie MZK, do którego wsiadł (jak zwykle przypadkiem, bo w jakim innym celu?) Cygan z akordeonem, ewentualnie na dyskotecę szkolnej, weselu w remizie bądź też przywalony CEGŁĄ w drewnianym kościele (i nie jest to ten sam, który siedzi w remizie). A my co? Tkwimy w krzakach z matką Alberta. Jeszcze tylko musimy włamać się do jego domu, zostawić jego martwą matkę w fotelu, ewentualnie upozować ją w kuchni: przy zlewie, obieraniu ziemniaków albo w pozycji bocznej ustalonej, a potem będziemy mogły wybrać sobie JEDNĄ z powyższych rozrywek. Boże, to jednak nie na moje nerwy... Zerknęłam na matkę Alberta. A właściwie na matkę Alberta w worku. Nie wyglądała na zmartwioną. No tak, martwi się już nie martwią, ponieważ nie mogą być bardziej martwi. Poza tym nigdy nie wiadomo, co czai się w krzakach. Na przykład kleszcze. Czasami może to być policja, a innym razem choroby weneryczne. Jak tylko wrócę, przeczytam sobie ULOTKĘ albo opakowanie leków, żeby się uspokoić. A może zupełnie przypadkiem mam jakąś przy sobie? Spojrzałam na Marię. Miała łzy w oczach. Wiem, wiem, dla mnie to też nie jest łatwe, ale co zrobić? Tym bardziej że nie mogę znaleźć żadnej ulotki, o dołączonym do niej ibupromie nie wspomnę.

– Maria, nie płacz. – Poglaskałam siostrę po ramieniu, chociaż dużo mnie to kosztowało. Wiem, że nie chciała się mieszać do naszych interesów, a skończyła, przewożąc zwłoki w bagażniku samochodu

ukradzionego (pożyczanego, pożyczonego, pożyczonego!) organiście. Stała teraz pod domem faceta, który ma awersję do naszego ojca i tłuste włosy. Czekwała na dogodny moment podrzucenia do środka jego martwej matki. – No nie płacz...

– Nina – powiedziała Maria przez łyzy i zaciśnięte zęby. – Stoję po kostkę w gównie.

No tak. Tego właśnie nam brakowało. BRUDNYCH butów.

Edward

Boże, co on tam robi tak długo? Drukuje ten katalog czy przepisuje go na pergamin? Mam nadzieję, że dziewczyny zdążą. I że on w tym momencie nie chowa ich właśnie razem z własną matką na tyłach domu...

Maria

– Dawaj ją tu! – syknęłam do Niny, kiedy wlokłyśmy matkę Alberta na taras. A wierzcie mi, nie było to łatwe w butach na obcasach i w spódnicy. Gdybym wiedziała, że będziemy dziś wynosić zwłoki, założyłabym coś pasującego na tę okoliczność (coś mało rzucającego się w oczy i wygodnego). Nie wiem, może DRES? Dres – oczywiście, poza salą gimnastyczną – zawsze sprawia, że wszyscy nagle patrzą w drugą stronę. Poza tym – w przeciwieństwie do minisukienek – nie grozi niekontrolowaną utratą bielizny. No ale nie mam ze sobą dresu. Mam za to REKLAMÓWKĘ z Biedronki. Może wystarczy. Jest dyskretna, poręczna i nie budzi kontrowersji, przynajmniej dopóki nie spotkasz kogoś z reklamówką z Lidla.

Zapamiętać: Zwłoki wynosimy w czymś czarnym i wygodnym. Na przykład w worku.

– Jezu, ale ciężka – wysapała Nina, kiedy dobrnęłyśmy w końcu całe i zdrowe na tyły domu Tłustego Alberta. Na szczęście drzwi kuchenne cudzego domu otwiera się zawsze w ten sam sposób. Za pomocą KLAMKI. A więc to jest dom Alberta...

– Widziałaś? Ma krasnale ogrodowe z Lichenia – rzuciła Nina. – Myślisz, że są na wodę święconą?

Nie, na baterie. Boże, oczywiście, że są na wodę święconą, w końcu po co innego wiesziesz krasnala z Lichenia? Ciekawe, co im się odkręca...

– Widziałam – ucięłam szybko. – Dawaj ją do kuchni!

– Gdzie tu jest, do diabła, kuchnia?

Dobre pytanie. Rozkład domu Alberta był cokolwiek dziwny. Zaraz, zaraz, skoro weszłyśmy drzwiami kuchennymi, to chyba jesteśmy w kuchni, prawda? Prawda??? Dziwna ta kuchnia... Nie było w niej pieca dla Jasia i Małgosi, wieńców, czosnku na wampiry ani suszących się na sznurku torebek herbaty na następny dzień, jak w każdej normalnej kuchni. Ale jest za to radyjko, co oznacza, że Albert z matką przestrzegają jednak JAKICHŚ standardów. A nie, to chyba mikrofalówka.

– Chodź, zobaczymy, co ma w lodówce – szepnęła ni z tego, ni z owego Nina, zostawiając matkę Alberta na progu. Czy ona oszalała??? Co może być w lodówce faceta, prócz energii świetlnej? A tak, Albert mieszkał przecież z matką.

Boże, przecież tu można znaleźć w zasadzie wszystko... Nie ma chyba takiej formy życia na ziemi, która nie zostałaby zamarynowana/upieczona/usmażona/uduszona i nie trafiła do lodówki Alberta. Brakowało tylko Latającego Potwora Spaghetti. Jestem pewna, że za chwilę znajdziemy kiełbasę

WYBORCZĄ. A więc Albert ma z naszym ojcem więcej wspólnego niż im obu się wydaje.

– Nie dotykaj! – warknęłam, kiedy Nina włożyła łapę w głąb lodówki. – Wiesz, z czego są parówki?

– No z czego? – najeżyła się Nina.

– Z NIESPRZEDANYCH parówek.

Mam nadzieję, że to ją powstrzyma na jakiś czas. Chociaż szczerze w to wątpię. Podczas gdy wszyscy uzdrawiają się siłą woli po zapoznaniu się z ulotką załączoną do opakowania, Nina przeżywa podczas lektury NAGŁE załamanie stanu zdrowia i sama odwozi się na ostry dyżur. Boże, te parówki to nie był najlepszy pomysł. Nina właśnie zmieniła kolor na twarzy. To oznacza, że zatrąła się nimi jeszcze PRZED ich zjedzeniem. Jezu, jeśli teraz mi powie, że musi iść do lekarza...

– Muszę iść do lekarza...

Brawo.

– Jak mi zaraz nie pomożesz, to żaden lekarz ci już nie pomoże – warknęłam. Matka Alberta, jak na złość, zaczęła właśnie stawiać opór, a to raczej uniemożliwiało dyskretne przeciągnięcie jej przez próg.

– Pomóż mi ją rozpakować!

Worek foliowy to fajna sprawa, ale spróbuj go otworzyć bezszelestnie...

– Nina! – syknęłam, bo Nina wciąż stała obok lodówki z miną „na kierowcę PKS-u, który zapomniał zabrać wąsów”. – Opanuj się! Jezu, pomyśl o czymś przyjemnym.

Nie myślałam, że to zadziała, ale po kilku sekundach twarz Niny wróciła do stanu sprzed najskuteczniejszej metody na odchudzenie, zwanej potocznie „na dwa palce”. OK. Pomyślała o ibupromie.

– Zostaw ją tutaj – poinstruowałam Ninę, kiedy matka Alberta znalazła się mniej więcej na środku kuchni, chociaż biorąc pod uwagę jej rozmiary (kuchni, nie matki Alberta), mógł to być dopiero jej przedsionek. Poza tym pozostaje jeszcze kwestia worka. Przydałby się nóż. Skąd tu nóż? Jakbym była facetem, to bym wyciągnęła scyzoryk, który jest stałym wyposażeniem każdego macho na wypadek niespodziewanej randki, kiedy to trzeba sobie SZYBKO wyskrobać brud spod paznokci. Jezu, przecież jesteśmy w kuchni...

– Musimy ją przenieść. – Spojrzałam sceptycznie na matkę Alberta leżącą na podłodze. Bez worka wcale nie wyglądała lepiej. – Ma wyglądać naturalnie, nie? To może... tu...

– Tu: to znaczy gdzie? – spytała jak zwykle bez sensu Nina. A skąd ja mam wiedzieć gdzie?

– Na krześle. Będzie po domowemu – spróbowałam zabrzmieć profesjonalnie, chociaż nie wiem, czy oglądanie *CSI. Kryminalne zagadki Las Vegas* wystarczy do pełnego profesjonalizmu w tej materii.

– Bez sensu. Chcesz ją jeszcze w dres przebrać, żeby wyglądała bardziej po domowemu? – syknęła Nina. No tak. Cholera wie, co kobieta robi w kuchni?

– I jak? – spytała Nina.

Stanęłyśmy w pewnej odległości, żeby ocenić efekt. Matka Alberta siedziała już wygodnie, rozparta na krześle przy kuchennym stole. A przynajmniej wydawało nam się, że jest jej wygodnie. – Może jednak położymy ją z powrotem? – spytała Nina.

– No to jedynie twarzą do ziemi – zauważyłam cierpko.

– Hmm... Tak też nie wygląda dobrze – westchnęła Nina, kiedy matka Alberta leżała z powrotem na podłodze.

– Nina, ona raczej nie będzie już lepiej wyglądać. Nie żyje.

Co nie znaczy, że wcześniej wyglądała lepiej.

– OK, zmywamy się stąd – pogoniłam Ninę. W końcu nie będziemy tu czekać do czasu, aż matka Alberta się rozłoży.

– A worek?

– Wyrzuć. Jezu, albo zabierz sobie do kanapek! – Boże, czy ona musi utrudniać nawet wtedy, kiedy podrzucamy zwłoki.

– A chłopaki? – Nina zatrzymała się w progu.

– Poradzą sobie.

To znaczy MAM NADZIEJĘ, że sobie poradzą. A jak sobie nie poradzą, to ja zostanę wdową, a Nina będzie musiała znaleźć sobie innego lekarza. Proste, nie?

Edward

– Zdecydowali się już panowie? – spytał Facet z Przedziałkiem, kiedy obejrzelśmy wszystkie osiemset pięćdziesiąt cztery modele trumien.

– Prawie – mruknąłem. Wiem, że mówiłem to już osiemset pięćdziesiąt trzy razy, ale wciąż nie mam pewności, czy martwa matka tego faceta jest już na SWOIM miejscu. To znaczy w fotelu na biegunach albo przy obieraniu cebuli. Albo po prostu tam, gdzie normalnie można znaleźć zwłoki.

– Może mają panowie jakieś specjalne życzenia? – zasugerował.

– Może szklankę wody? – odważyłem się. Obawiam się, że jest to jedyna rzecz, jaką można w tym zakładzie dostać za darmo. Oprócz dostania w ryj, oczywiście.

– Myślisz, że już? – zapytałem szeptem Jakuba, kiedy Facet z Przedziałkiem zniknął w kuchni. – Daliśmy im chyba sporo czasu – zerknąłem na zegarek. Chyba godzina w zupełności wystarczy, żeby odpowiednio upozować nieboszczkę.

– O Boże! – usłyszeliśmy z kuchni.

Alleluja! Znaczy, że wszystko jest na swoim miejscu. Nieboszczka w kuchni, a Maria z Niną tam, gdzie pieprz rośnie. Czyli na Archipelagu Malajskim. Wpadliśmy obaj do kuchni, jakbyśmy właśnie odkryli, że woda jest nam jednak bardziej potrzebna do dalszego lania wody niż do tego, żeby zapobiec odwodnieniu własnego organizmu. Matka Faceta z Przedziałkiem leżała na podłodze. I była równie martwa jak godzinę temu.

– O Boże! – krzyknąłem na wszelki wypadek. – Nie żyje?

– Nie żyje – powiedział śmiertelnie poważnie Facet z Przedziałkiem.

– A to co? – spytałem, wyciągając jej spomiędzy palców legitymację klubu seniora. Boże, mogły jej jeszcze wizytówkę zakładu ojca Marii wcisnąć. I palmę wielkanocną.

– Karta członkowska klubu seniora. – Pokiwałem głową. Od tego kiwania jak nic zaraz mi odpadnie. – To pańska matka. To będzie trudne: pochować własną matkę.

Facet z Przedziałkiem spojrzał na mnie całkowicie ogłupiały.

– Jak ja mogę matkę pochować, kiedy moja matka siedzi z tyłu.

Spojrzelśmy w głąb korytarza, gdzie na fotelu siedziała kobieta w kuloodpornych okularach i dziergała coś na drutach. Pewnie kamizelkę. Też KULOODPORNĄ.

– O Boże, kto to w takim razie jest? – zawołałem w najgłębszej i nawet nieudawanej rozpacz.

– Nie mam pojęcia – powiedział absolutnie szczerze Facet z Przedziałkiem. – Mamo, komu znowu pożyczyłaś swoją kartę członkowską? – krzyknął.

– Tej grubej koleżance matki burmistrza. Miały iść grać w brydża czy gdzieś – odkrzyknęła, nie przerywając dziergania. Ładny mi brydż... Czyli co? Wpadła przed brydżem z koleżanką do zakładu pogrzebowego i umarła? Przecież z tego, co mówiła Maria, wynikało, że to matka burmistrza szykowała się do własnego pogrzebu! Boże, to straszne. To jak chodzenie z przyjacielem do baru. Idziesz poderwać dziewczynę, a to on wychodzi z nią pod rękę.

– No cóż, w każdym razie nie żyje! – odkrzyknął Facet z Przedziałkiem.

– Nie przejmuj się. Nie lubiłam jej – uspokoiła go.

Tak, to zdecydowanie załatwia sprawę.

– Ale co ona TUTAJ robi? – wrzasnął Facet z Przedziałkiem.

– Pewnie przyszła oddać kartę – wzruszyła ramionami matka.

– Że też musiała umrzeć akurat w naszej kuchni – pokręcił głową Facet z Przedziałkiem. Przedziałek ani drgnął. – I co teraz, mamó?

– Jak to co? Powiesz, że to był wypadek, i pochowasz za pół ceny.

Wspaniale. Nie ma to jak porada mamusi. Szkoda, że nie poradziła mu niczego w sprawie fryzury.

Maria

– No i?! – wrzasnęłam, kiedy minęło kolejne pół godziny (a może tylko dziesięć minut), a ja zaczęłam się przygotowywać do roli WDOUY. Chłopaki wreszcie wyszli z domu Alberta. O dziwo, to znaczy na szczęście, frontowymi drzwiami. Wyglądało na to, że wszystko mieli na miejscu (co zresztą okaże się przy bliższych oględzinach), więc chyba poszło zgodnie z planem, prawda? Prawda???

– W porządku. To nie jego matka – mruknął lekarz Niny.

– Co???

– To jakaś znajoma, której matka Alberta pożyczyła legitymację klubu seniora – wysapał Edward.

Aha. Wiecie, jak jest. Za młodu podrabiasz i pożyczasz dowód, potem już tylko legitymację seniora.

– Czy to oznacza, że właśnie dołożyliśmy się do interesu Alberta? – ryknęła Nina. – Umarła w naszym zakładzie, więc należy do nas!

Taaak. Czyli zgodnie z zasadą: towar macany należy do macającego. No bo chyba nie do macanego, któremu raczej jest już wszystko jedno.

– Ojciec nas zabije – powiedziała Nina przez zęby.

– Cicho! Nie powiemy mu – syknęłam. – Zresztą każdy ma po jednych zwłokach, więc jest po równo. A właściwie z nadwyżką, bo matka Tłustego żyje.

– No i super! To co robimy? – ucieszył się Edward.

– Ty wracasz pisać, ja muszę zjeść ciastko z kremem – warknęłam.

A RESZTA mnie nie obchodzi.

Nina

– A my? – spytał Jakub.

Jakie znowu MY?

– Idziemy spać – powiedziałam krótko.

O Boże... Nie to miałam na myśli... Chyba.

– To może pokażę ci w końcu mój... – zaczął, jakby mówił o herbie rodowym, który zupełnie przypadkiem wytatuował sobie na tyłku.

– Dobra, dobra, daruj sobie – zgasiłam go szybko. – Idziemy do ciebie.

Najwyżej będziemy PIERWSZĄ parą na świecie, która PRZEGRAŁA grę wstępną.

Jakub

Nie wierzę, ale Nina jest w mojej sypialni. Na dodatek jest tam w samej bieliźnie. Nie, nie nawdychałem się świeżo malowanych ławek i nie jestem w trakcie wstrząsu ANAFILAKTYCZNEGO. Zrobię sobie jeszcze szybki test na udar: podnieś ramiona, uśmiechnij się, powiedz proste zdanie... Jezu, to chyba test na podryw...

– To co? – rzuciła, kiedy skończyłem już swój monolog wewnętrzny.

– Słuchaj? Dlaczego ty właściwie nie masz chłopaka? – spytałem, bo jakoś tak głupio było nie zamienić kilku słów, zanim przejdziemy na język ciała.

– Bo nie jestem gotowa na chłopaka. A ty dlaczego nie masz dziewczyny? – odparowała.

– Bo ty nie jesteś gotowa na chłopaka.

– Aha.

Aha.

– To co? Gasimy światło? – spytała.

– A gra wstępna? – zdziwiłem się.

– Co?

– Może porozmawiamy?

– O czym? – zdziwiła się.

– Czy to nie straszne, co się dzieje w...

– Gównu mnie to obchodzi.

– W zasadzie mnie też.

No to gasimy. Świat może być ze mnie dumny. Nie dość, że zaoszczędzimy energię elektryczną, to jeszcze zasoby wody się nie skurczą, jeśli rano weźmiemy RAZEM prysznic.

Edward

Jeśli myślicie, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, usiądę sobie jak gdyby nigdy nic i zacznę pisać, to... macie rację. Boże, przecież i tak nie mam NIC innego do roboty.

Nina

– Nina?

– Nie. Stenia Kozłowska. Czego? – syknęłam.

Wiedziałam, że to był błąd. Odbieranie telefonu przed seksem to mniej więcej tak samo dobry pomysł, jak pchanie drzwi do siebie i dziwienie się, że się nie otwierają.

– Umieram! – ryknęła Maria.

– Co mnie to obchodzi? Dzwon do ojca – warknęłam.

– Ale ja naprawdę umieram!

Jezu, akurat teraz, tak? Nie możesz poczekać? Oprócz podatków ze wszystkim można poczekać.

– Nina, ostrzegam cię, jeśli za dziesięć minut cię tutaj nie będzie, to ci powiem, z czego są parówki!

To było naprawdę świńskie z jej strony. Prawie tak świńskie, jak nazwanie wieprzowiny świnią.

– Gdzie jesteś? – westchnęłam.

– W cukierni.

Brawo.

– Dobra, jedziemy – westchnęłam raz jeszcze.

No to się przewietrzymy przed spaniem.

Jakub

No bez jaj...

Maria

Umieram. Nie będę nawet tłumaczyć, jak z cukierni (gdzie siedziałam najspokojniej w świecie nad ptysiem z bitą śmietaną) znalazłam się nagle na ostrym dyżurze, zastanawiając się, czy już UKRADLI mi nerkę, czy może czekają jeszcze na chloroform. Albo raczej na pavulon. Sobotni wieczór to czas, kiedy na ostrym dyżurze po wszelakich rozrywkach ląduje całe miasto. Ludzie po równie OSTRYM co dyżur zakładzie, którzy na przykład połknęli parówkę i zaczęli świecić w nocy albo wepchnęli sobie dwustuwatową żarówkę do nosa i też im się zaświeciła. Ludzie, którzy zgubili portfel, pomylili autobus albo żonę. Są tu też tacy, którzy po prostu nie mieli, co robić, więc przyszli. Tak jak ja. Bo ja naprawdę nie mam co robić, jak tylko siedzieć w towarzystwie Niny i jej lekarza, który właśnie ogląda mój rentgen! Miał niewyraźną – i coraz bardziej niewyraźną – minę. A jeśli to rak? O Boże, nie chcę umierać! Mam w nosie odrysowane od szklanki brwi i trwałą ondulację!

– A to co? – Lekarz Niny przyjrzał się bliżej zdjęciu, jakby znalazł tam nożyczki i pilniczek do paznokci (ten, którego szukałam od miesiąca).

– Gdzie? – zainteresowała się Nina.

Wiedziałam. Umieram!

– Co jadłaś? – spytał ni z tego, ni z owego lekarz Niny.

Ale że co? Że jedzie ode mnie czosnkiem czy co?

– Lody. Waniliowe, kakaowe, truskawkowe, śmietankowe...

Przy pistacjowych mnie tak zemdliło, że nie byłam już w stanie wyliczyć tego nieszczęsnego ptysia ze śmietaną...

– Nie zauważyłaś niczego dziwnego? – spytał lekarz Niny.

Czego na przykład? UFO? Angeliny Jolie bez ust? Ojca bez uniformu pogrzebowego?

– Właściwie to... lody były truskawkowe, a ja zamawiałam malinowe...

– Obawiam się, że kelner się pomylił i przyniósł zamówienie kogoś innego.

O Boże, kogo? Chłopaków z Pruszkowa? Teściowej?

– Znam takie numery zaręczynowe – mruknął lekarz Niny. – Bywają ciężkostrawne.

– Zeżarłaś czyjś pierścionek zaręczynowy?! – ryknęła Nina.

O. Mój. Boże.

– I co teraz???

– Teraz przez ciebie ktoś nie wyjdzie za mąż – zarechotała Nina.

– Co teraz???

– zwróciłam się do kogoś rozsądniejszego niż moja siostra, chociaż biorąc pod uwagę to, że ona ma T-shirt na lewą stronę, a on rozsunięty rozporek, oboje mają teraz rozsądek tam, gdzie słońce nie dochodzi. Czyli na biegunie podczas nocy polarnej.

– No cóż... – uśmiechnął się zakłopotany Jakub. – Chyba musimy trochę poczekać, aż go znowu zobaczymy... To znaczy... ty na pewno zobaczysz go pierwsza.

– Wracam do domu – oświadczyłam.

Wolałabym obejrzeć ten pierścionek BEZ świadków.

Edward

Jezu, kto znowu dzwoni do drzwi? Myślałem, że kiedy Maria poszła na ciastko, a Jakub do łóżka z Niną, będę miał święty spokój i skończę wreszcie tę przekłętą książkę, zanim ona skończy ze mną.

– Jezus, Maria!

– Gdzie jest łazienka??? – ryknęła Maria.

Eeee... jeśli powiem, że tam, gdzie zawsze, to będzie dobra odpowiedź.

Nina

– To na czym staństwo? – spytałam, kiedy wróciliśmy do punktu wyjścia, czyli do NICZEGO, na którym skończyliśmy.

– Jestem gotowy – oświadczył Jakub.

Ale ja nie.

– Daj mi pół minuty.

Dobra, to teraz muszę zrobić to wszystko, co kobieta musi zrobić przed pójściem do łóżka z facetem, a więc umyć zęby, ogolić nogi, zrobić makijaż, a potem pranie, iść na pocztę, obejrzeć wiadomości, pojechać po azbest do USA, wrócić – koniecznie na piechotę – i poprawić raz jeszcze makijaż. No to chyba z grubsza jestem gotowa. Nie wierzę, zasnął! Zasnął PRZED, a nie PO. Wszyscy faceci zasypiają PO. I co teraz? Są dwie opcje. A właściwie już tylko jedna. On jest kobietą, a ja jestem lesbijką.

Maria

Uff... Nareszcie. Udało się. Wyszło. Hmmm... I co zrobić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem?

Edward

O Jezu, o Jezu, o Jezu. Dlaczego ona mnie ciągnie do sypialni? Dlaczego ja nie protestuję? I dlaczego jeszcze nie grzeją w całym bloku? I dlaczego ja się w ogóle nad tym zastanawiam???

Jakub

O Boże. Zasnąłem. Naprawdę zasnąłem! Słyszycie?! ZASNAŁEM. Nie mogę w to uwierzyć!

– Ja też – usłyszałem głos Niny.

Uuups. Ale skoro już się obudziłem...

– Długo mnie będziesz tak rozbierał wzrokiem? Czy w końcu użyjesz rąk? – warknęła.

– Masz rację.

No cóż... Albo masz rację, albo masz dziewczynę. Proste, nie?

Edward

Książka, którą napisałem zaraz następnego dnia, nie była może hitem...

Maria

Książka Edwarda się nie sprzedała. Zawsze znajdzie się ktoś, kogo książka będzie bardziej popularna od twojej. Niestety, NIGDY nie masz szans z autorem książki telefonicznej.

Edward

...niemniej jednak jakoś niespecjalnie się tym przejąłem. I to nie po zażyciu relanium.

Maria

Edward postanowił zrobić większą karierę niż facet od książki telefonicznej. Zaczął pisać NEKROLOGI.

Edward

Maria nie opowiada już studentom o Szekspirze. Teraz opowiada bajki w zakładzie ojca.

Maria

Ojciec nadal go nie lubi. Szekspira, rzecz jasna.

Jakub

Nadal nie śpię. Nie z powodu bezsenności. Z powodu Niny. Ale na to nie ma lekarstwa.

Nina

Czym się zatrueś, tym się lecz.

Jakub

Z Niną zabawa w doktora zyskała nowy wymiar.

Nina

Chodzenie do lekarza jeszcze nigdy nie było tak przyjemne.

Jakub

Jest moją adrenaliną. Zwłaszcza kiedy próbuję rano przeciągnąć kołdrę na swoją stronę.

Nina

Kocham go. Ibuprom, oczywiście.

Maria

Nadal się starzeję. Ale się tym nie przejmuję.

Edward

Maria polubiła relanium. Na razie tylko na Facebooku.

Jakub

No i w końcu zrozumiałem, o co chodziło Ninie, kiedy mówiła, żebym ją pocałował w cztery litery. Ona zawsze miała na myśli USTA.

Nina

NIEPRAWDA! No ale skoro się upiera...

Edward

Ta historia nauczyła mnie przynajmniej jednego. Zawsze bądź sobą.

Maria

Chyba że możesz być Bradem Pittem. Wtedy zawsze bądź Bradem Pittem.

Edward

Zawsze bądź sobą.

Maria

Chyba że jesteś Edwardem ze *Zmierzchu*. Wtedy nie musisz.

Edward

A nawet nie powinienes.

SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[* * *](#)